



ANNA WALCZAK
SPALONA RÓŻA

ANNA WALCZAK

SPALONA RÓŻA

Największe zło to tolerować krzywdę.

Platon

Kocha się za nic. Nie istnieje żaden powód do miłości.

Prolog

Następny dzień dobiegał końca. Kolejne mijające minuty świadczyły o beznadziejności życia. Absurdalnie intensywne światło z kominka raziło mnie w oczy. Klaustrofobiczny wystrój pomieszczenia sprawiał, że odczuwałam na twarzy języki ognia.

Nie dało się tu wytrzymać bez wody; moje gardło było wysuszone, paliło. Co chwila dolewałam wody do szklanki o cienkich ściankach. Tylko człowiek siedzący naprzeciw mnie zdawał się być przyzwyczajony do panującego tu mrocznego klimatu. Jego demonicznie czarne oczy skrywały głęboką nienawiść. Posyłał mi wrogie spojrzenia, a ja odwzajemniałam się tym samym. Mierzyliśmy się wzrokiem, choć moje jasne tęczęwki niknęły w nienawiści.

Tak wyglądało moje życie. Wieczna bitwa zakończona klęską. Mimo że walczyłam do utraty tchu, nie byłam w stanie wygrać.

Atmosfera w pokoju przerastała mnie. Gęste powietrze, unoszący się zapach aromatycznych kadzideł i olejków... To wszystko otumaniało moją biedną, zmęczoną głowę, tylko demon siedział spokojnie ze wzrokiem utkwionym we mnie.

Nie chciałam po raz kolejny wpaść w złość i wylądować na izbie przyjęć. Wstałam, drżąc na całym ciele. W dłoni trzymałam szklankę z wodą. Zamierzałam wyjść z salonu.

Marzyłam o zaczerpnięciu świeżego, czystego powietrza. Nim się obejrzałam, ciepłe, delikatne ręce spoczęły na moim nadgarstku i obróciły mnie w stronę demona. Tym razem jego oczy były martwe i zimne. Szklanka spadła na podłogę, a on zbliżył się na niebezpieczną odległość.

Rozdział I

Powiew złych wspomnień

Jesień. Pochmurna i deszczowa jak nigdy dotąd. Ani jeden promyk słońca nie chciał się przebić przez szare niebo.

Ciemność unosiła się nad wysokimi budynkami z brudnej czerwonej cegły.

Smog zmniejszał widoczność. Wszystko było szare. Ta dzielnica była jedną z najniebezpieczniejszych. Domy miały powybijane szyby, wiele z nich nosiło ślady bójek i popisów graffitiarzy.

W jednym z takich domów siedziała dwudziestotrzyletnia kobieta. Długie jasnobrązowe włosy spływały na jej ramiona, piękne zielono - niebieskie oczy patrzyły na album ze zdjęciami. Nagle jedna łza spłynęła na brzoskwiniowy policzek kobiety.

Na jednym ze zdjęć była ona - siedemnastolatka ubrana w niemodną czarną spódnicę i jeszcze gorszą białą bluzkę. Na nogach miała za małe, obtarte buty w kolorze błota.

Obok niej stał wysoki blondwłosy chłopak - ubrany modnie i elegancko. Jego wzrok wbity w fotografa wyrażał kpinę, wręcz irytację.

Kobieta zerwała się ze starego fotela i zatrzasnęła album, aby odrzucić złe wspomnienia.

Wszystkie momenty, w których ją poniżał. Wróg, który wiedział o wszystkim. Który nie pomógł, lecz zrównał z ziemią.

- Nic niewarte śmieci! - krzyknęła.

Jej głos mimo wyczuwalnej złości i bezsilności był gładki jak aksamit.

Spojrzała w okno. Pogoda nie przytłaczała jej, wręcz przeciwnie - dodawała siłę i energii. Szare chmury i brak słońca - to było jej teraz potrzebne.

Spojrzała na stłuczony zegar wiszący na ścianie. Ogarnęła swoim morskim spojrzeniem cały pokój. Wszystko było utrzymane w porządku, lecz ciężko było mówić o schludności.

Starła się utrzymywać czystość. Nie zawsze jednak było to możliwe.

Kochała noc. To była ta pora dnia, w której ojca nie było w domu. Upijał się. Codziennie. Zwyczajnie. Normalnie.

Szedł do baru niedaleko domu i nad ranem wracał pijany.

Kiedy ona była w swoim ulubionym miejscu...

Lecz czy „ulubionym miejscem” można nazwać zapuszczony park, pełen starych gazet i puszek po napojach?

Gdzie drzewa są uschnięte, a wychudzone psy wyzerają resztki jedzenia ze śmietnika? Gdzie zatacza się obdarty pijak?

Pasowała tylko do tego miejsca.

Na ławce nad rzeką siedział młody mężczyzna. Krótkie, starannie obcięte, postawione blond włosy nadawały jego twarzy wyraz młodzieńczej bystrości. Nie miał nastu lat, ale w czym mu to przeszkadzało? Te naiwne siedemnastolatki i tak się w nim kochały.

Czarne oczy patrzyły w nieosiągalny punkt poza widnokretem, który tylko on dostrzegał. Bo widział wspomnienia.

Te wszystkie dziewczyny pamiętał jak przez mgłę. W szkole był uznawany za najprzystojniejszego chłopaka. Jednak nigdy nie miał trzech dziewczyn naraz. Owszem, zdarzało mu się mieć dwie...

Albo ta... Jak jej tam było... Medison? Ta brązowowłosa dziewczucha. Kochał sprawiać jej przykrość. Dobrze wiedział, że te siniaki to nie wina upadku ze schodów. Nie omieszkał powiedzieć, kim jest jej ojciec... Chociaż to jego rodziców zabili, hmm, przyjaciele...

I aż do teraz nic się nie zmieniło. Mimo dwudziestu trzech lat na karku nie wyrósł z głupich rozrywek, był niepoprawnym kobieciarzem, kochał... poniżać innych? Zrównywać ich z ziemią? W jego życiu toczyła się wieczna walka o pieniądze.

Po co mu to było? Od zawsze był bogaty! Nigdy nie brakowało mu pieniędzy. Nawet nie musiał pracować w tej durnej firmie, pozostawionej mu przez ojca. Nie chciał być z nim utożsamiany. Nie z... bandytą.

Żył od zakładu do zakładu. Żył, bo wygrywał. Żył, bo... musiał!

Nie był draniem. Więc dlaczego to zrobił? Żeby zranić kolejną? Tylko którą?

Nagle z zamyślenia wyrwał go dźwięk telefonu. Odebrał go znudzony, przysięgając sobie, że przy najbliższej okazji wyrzuci go do rzeki.

- Słucham... - rzucił w przestrzeń.

- Spotkaj się ze mną jutro o szesnastej na Moście Północnym - szybko rzucił kobiecy głos.

Nie znał go. A może... Ale nie przypominał go sobie.

- Czekał... Kim jesteś? - zapytał, wstając gwałtownie.

Nerwy? To nie było w jego stylu.

- Nieważne. Przyjdź. Będę czekać - rzekła kobieta i natychmiast odłożyła słuchawkę.

Nie zdążył zapytać o nic więcej. Po co? I tak by mu nie odpowiedziała! Ale coś mu podpowiadało, że powinien pójść na spotkanie. To przecież była kobieta.

W samą porę...

Rozdział II

Być znienawidzonym przez wieki Jasny brąz jej włosów, poszarzała cera i morskie oczy zupełnie nie pasowały do pogody tego dnia. Poranek był ciepły i słoneczny.

Siedziała w fotelu i uparcie wpatrywała się w rozbity zegar. Teraz był jej stróżem. Nie mogła się spóźnić. To była jej jedyna szansa.

Jeszcze raz spojrzała przez okno na brudne budynki, oświetlone blaskiem jesiennego słońca.

Miała nadzieję, że to się zmieni. Czy się bała? Przecież wiele razy stawiała czoła przeszkodom stojącym jej na drodze.

Nie bała się nawet ojca, który był zaliczany do grona najgroźniejszych osób w okolicy.

Więc co to było? Uczucie, którego nigdy nie doznała. Nie było to strach ani zniecierpliwienie. Nie chciała wiedzieć.

Ten dom pasował do otoczenia. Wielki niczym zamek,

zbudowany z czarnej cegły. Mroczny, zimny...

Nieczuły. W jednym z jego pokoi stał blondyn o czarnych oczach. Pasował do tego miejsca. Wyraz jego twarzy nic nie mówił. Nie można było określić, co ten człowiek czuje.

Spojrzał na zegarek. Była piętnasta trzydzieści. Miał pół godziny.

Westchnął cicho, narzucił na siebie modną czarną marynarkę i wyszedł na podwórze.

W twarz uderzyło go zimno. Poranek był ciepły niczym nadzieja. Teraz pogoda zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni.

Niebo było zachmurzone, padał zimny deszcz, wiatr uderzał z dziką prędkością we wszystko, co spotkał na swej drodze.

Mimo to mężczyzna ruszył w stronę Mostu Północnego.

Idąc, rozmyślał. Kim była ta tajemnicza kobieta, która poprosiła go o spotkanie? Czy ją znał? Czy to któraś z jego byłych dziewczyn? Czego od niego chce?

Nie znał odpowiedzi na te pytania. Potrząsnął głową, chcąc wyrzucić te myśli z głowy. Nic to jednak nie dało.

Kolejny natłok pytań sprawiał, że coraz bardziej bolała go głowa. Za dużo myślał. Nie chciał, ale musiał. Coraz więcej pytań, żadnych odpowiedzi.

W końcu dostrzegł cel swojej podróży. Most Północny był jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Szare, zardzewiałe metalowe poręcze były mokre od nieustannie padających kropli deszczu, kałuże tworzyły na ziemi mętną ciecz, woda w rzece zdawała się jeszcze brudniejsza.

Ponownie spojrzał na zegarek: była piętnasta pięćdziesiąt pięć. Rozejrzał się: był sam.

Znów westchnął, oparł ręce na barierce i spojrzał w nieprzeniknioną toń rzeki. Tworzyły się na niej małe wiry, przygotowując go o zawroty głowy.

W końcu po kilku długich minutach usłyszał odgłosy zbliżającej się osoby.

Spojrzał w kierunku wejścia na most.

W odległości stu metrów zobaczył szarą postać. Była ubrana bardzo biednie, żeby nie powiedzieć - żałośnie. Na nogach miała przemoknięte, rozwalające się półbuty, spodnie bojówki w popielatym kolorze, bluzę khaki. Spod podziurawionej czapki wystawały jasnobrązowe włosy.

Kroczyła ku niemu coraz szybciej. W końcu znalazła się obok niego i oparła dłonie o barierkę.

Był pewny, że to ona chciała się z nim spotkać.

- Czego chcesz? - zapytał.

Był rozczarowany. Myślał, że ten gładki głos będzie należał do jakiejś kobiety o długich nogach i włosach blond, modnie ubranej.

Tymczasem stała obok niego jakaś... żebraczka?

- Czemu chciałaś się ze mną spotkać? - zapytał ponownie szorstkim głosem.

Nie mógł dostrzec jej twarzy, co trochę go irytowało.

Chciał już mieć za sobą to spotkanie, a jednocześnie pragnął rozwiązać zagadkę, którą postawiła przed nim ta kobieta...

W końcu spojrzała na niego. Jasnobrązowe włosy okalały jej twarz. Patrzyły na niego zielono - niebieskie oczy. Kobieta miała spierzchnięte, ale pełne usta. I rysy jej twarzy... Skądś ją znał... Tylko nie wiedział skąd...

- Zaskoczony? - zapytała, uśmiechając się kpiąco.

Odpowiedź spadła na niego niczym grom z jasnego nieba.

Jak mógł od razu jej nie poznać? To z pewnością była ona.

Ten sam głos, ten sam styl ubierania się, te same oczy...

- Medison Carpen... - zaśmiał się. - Nic się nie zmieniłaś.

- Ty też. Daniel Broogins, jak zawsze elegancki i pewny siebie - odrzekła.

Zapadło milczenie. Daniel nie mógł otrząsnąć się z szoku, jaki go przed chwilą spotkał. Stała przed nim kobieta, dawniej dziewczyna, której szczerze nienawidził... za nic.

Jej sytuacja z pewnością się nie zmieniła. Spojrzał na jej żalosne ubranie i uśmiechnął się kpiąco.

- Jak tam tatuś? - zakpił.

- Dobrze się trzyma. Chyba widać - odrzekła.

Ponownie go zaskoczyła. W szkole mógł obrażać ją, jej ojca, śmiać się z niej, a ona nie reagowała. Zamykała się w łazience, nieraz płakała przez niego na lekcji.

Teraz bez najmniejszego zawahania odpowiedziała na jego pytanie. Przecież temat jej ojca zawsze był drażliwy.

Zaskoczyła go.

- A jednak zmieniłaś się... - rzekł.

- Życie zmienia każdego - odparła.

Kolejna chwila milczenia. Napięcie i niepewność, co się zaraz zdarzy.

- Czego chciałaś? - zapytał.

Kobieta odgarnęła z czoła brązowe włosy, spojrzała w głęboką toń rzeki i rzekła: - Chciałam ci złożyć pewną matrymonialną propozycję.

- Mianowicie? - niecierpliwził się.

- Mianowicie: ożeń się ze mną - powiedziała spokojnie.

Daniel usłyszawszy odpowiedź, upuścił do rzeki telefon, który właśnie wyciągał.

Wypowiedziała te słowa tak spokojnie, że aż głupio zabrzmiały.

- Że co?! - krzyknął.

Nie ukrywał już zaskoczenia i zdenerwowania.

- Głupi jak zawsze - mruknęła tak cicho, aby jej nie usłyszał. - Ożeń się ze mną.

- Niby czemu? - zapytał.

Było to najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek mógł zadać.

- Sam wiesz, że nie masz wyjścia - zaśmiała się.

Zdenerwowanie Daniela sięgało zenitu. Czy ona o wszystkim wiedziała? Od kogo? Czemu się tu zjawiała? Jednak spostrzegł, że sytuacja jest sprzyjająca. Zreflektował się i zapytał: - Czemu chcesz wyjść akurat za mnie?

- Nie zadawaj głupich pytań - zirytowała się. Jeszcze nie wiedział?

Spojrzała

na niego.
Wyglądał

na zdezorientowanego. Westchnęła. Tak, najwyraźniej nie wiedział.

- Ślub z tobą będzie świetną okazją na wzbogacenie się...

Jeśli mogę to tak ująć.

- Twoja sytuacja aż tak bardzo się pogorszyła? - zaśmiał się.

- Tak, moja sytuacja pogarsza się z dnia na dzień... Myślę, że doskonale o tym wiesz - zakpiła.

Rozmowa zaczynała go już denerwować. Ta mała żebraczka za dużo sobie myślała.

- Słuchaj, Carpen, nie pozwalaj sobie - zaczął znudzonym tonem. - Powiedz, czemu akurat mi składasz taką propozycję?

- Nie udawaj - zachnęła się. - Sytuacja sprzyja nam obojgu... Myślisz, że nie wiem o tym zakładzie? - zaśmiała się, widząc zdziwienie malujące się na jego twarzy - A więc widzisz, twój przyjaciel bardzo głośno mówił w pubie, że z pewnością wygra zakład z tobą, ponieważ nie chcesz się ustatkować. Myślę, że moja propozycja nie jest aż taka zła.

Daniel patrzył na nią. Musiał przyznać, że jej propozycja nie była zła. Był pewien, że takie małżeństwo bez zobowiązań nie będzie przysparzało mu kłopotów.

- I że niby ja wygram zakład i będę cię utrzymywał? - zakpił.

- Mniej więcej coś w tym stylu... - westchnęła kobieta.

Jego głupota przekraczała wszelkie granice.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia.

Patrzyli sobie w oczy. On w jej morskie, idealnie pasujące do brzoskwińowej cery i jasnobrązowych włosów. Ona w jego czarne, puste, kontrastujące z bladą cerą i blond włosami.

Żadne z nich nie chciało przerwać tego milczenia.

Wrogowie od zawsze i na zawsze... A teraz małżeństwo?

Fikcyjne. To mógł być najlepszy interes w jego życiu.

Podjął decyzję. Spontaniczną i nieprzemyślaną. Był jednak pewny, że właściwą.

- Zgoda - rzekł, patrząc na nieokreślony punkt nad rzeką.

- Słucham? - zapytała Medison.

- Jak zwykle wolno myślisz, Carpen - zaśmiał się Dan.

Spojrzał na jej twarz, którą teraz oblał rumieniec. A jednak coś zostało z dawnej Medison. Znowu poniżona, znowu onieśmielona...

- Nie sądziłam, że tak szybko się zgodzisz - rzekła drżącym głosem.

- Ach... - westchnął - Wiesz, to może być najlepsza inwestycja w moim życiu. Dostanę pieniądze praktycznie za NIC.

- Nie podkreślaj tego słowa, bo z moją pomocą sam tak skończysz - warknęła.

- Wydaje mi się czy mi grozisz? - zachichotał. - Nieważne - uciał, gdy kobieta już otwierała usta. -

Widzimy się jutro - w tym samym miejscu o tej samej porze.

I nie czekając na odpowiedź, odszedł. Pozostawił Medison Carpen samą na tle szarego nieba.

Rozdział III

W mej duszy będziesz tylko kamieniem Chodziła w kółko po pokoju. Gdy kładła nogi na szarym dywanie, wzbijały się niemrawe obłoczki kurzu. Ten dzień stanowił kompletne przeciwieństwo wczorajszego. Na niebie nie było ani jednego białego obłoczka, błękit był niczym przezroczysty woal, słońce natomiast świeciło z zaskakującą siłą. Jakby chciało dodać ludziom otuchy...

W końcu usiadła na fotelu. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co stało się wczoraj. To poszło tak łatwo... Za łatwo... Musi być jakiś haczyk...

Zawsze dopatrywała się w dobrym czegoś złego. Ale czy to było dobre? Związać się na zawsze z człowiekiem... Z

TYM człowiekiem. Z wrogiem.

On, który kocha kobiety, który na pewno spodziewał się pięknej blondynki, a ujrzał ją... Dziewczyne

w przykrótkich spodniach, starej kurtce, szarej chuście i wytartej czapce... Bez makijażu, którym nigdy nie splamiła swojej twarzy, będącej w stanie gorszym niż nędzny. A jednak zgodził się... Czy wiedział, na co się pisze? Czy zdawał sobie sprawę, że to zobowiązanie na całe życie? Wyraźnie słyszała, co o tym zakładzie mówił jego przyjaciel: „Na całe życie, uwierzysz?!”

Daniel i jakaś kobieta całe życie w jednym domu! Jak tylko któraś ze stron złoży pozew o rozwód, Daniel oddaje mi pieniądze! Ach, wydaje mi się, że już niedługo bardzo się wzbogacę...”

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się godzina spotkania.

Powoli wstała z miejsca. Podeszła do szafy i otworzyła ją.

Była niemal pusta. Wisiały w niej trzy pary spodni.

Wyciągnęła jedne z nich, te, które uważała za najschludniejsze. Były to szerokie, bezkształtne dżinsy w jasnym odcieniu błękitu. Do tego założyła białą bluzkę z krótkim rękawem i czerwoną bluzę. Następnie spojrziała przez okno i wyszła z domu.

Niemal natychmiast pożałowała wyboru ubrania. Choć słońce zdawało się świecić mocno, jego blask był chłodny, a ostre, zimne powietrze przechodziło przez cienki materiał bluzy i dotkliwie kąsało każdy skrawek jej ciała. Objęła się ramionami i krzywiąc się z zimna, ruszyła w kierunku Mostu Północnego.

Kałuże zalegały na tłocznych ulicach od poprzedniego dnia. Pomimo mrozu ludzie wychodzili z domów i szli do miasta na spotkania, zakupy i inne przyjemności. Czy ona kiedykolwiek myślała o zakupach? O przyjemnościach, jakie niosły ze sobą spotkania ze znajomymi? Nie miała przyjaciół.

Uczucie chłodu pogłębiło się. Czy ona, Medison Carpen, naprawdę jest taka niepozorna, szara, że wszyscy o niej zapominają? Nie dostrzegają jej w tym kolorowym świecie, niepoprawnie optymistycznym.

Tyle się słyszy o katastrofach, o dzieciach umierających z głodu, o samobójstwach... A ludzie idą sobie spokojnie ulicą, wdychając świeży zapach jesieni. Czy tylko jej oczy są szeroko otwarte? Czy tylko ona dostrzega uderzającą niesprawiedliwość?

Rozmyślając, niemalże ominęła miejsce spotkania.

Weszła na most tą samą drogą co wczoraj. Dostrzegła człowieka w czarnej kurtce, który ze znużeniem opierał ręce na barierce. Dłuższe kosmyki jego blond włosów unosiły się pod wpływem wiatru. Czarne oczy patrzyły na tak czystą dziś wodę.

Stała obok niego, nie spojrzawszy mu w oczy. Nie wiedziała, co będzie dalej. Nie śmiała nawet o tym myśleć.

Jeszcze dobre kilka minut stali tak, nie wiedząc, co robić.

W końcu Daniel spojrział na nią. Jego oczy zwęziły się.

Zmierzył ją wzrokiem i rzucił szorstko: - Idziemy.

I odszedł wolnym krokiem.

Medison stała jeszcze kilka minut, po czym ruszyła za nim szybkim krokiem. W końcu zrównała się z Danielem. Szli w milczeniu. Nic nie mówili. Nie dlatego, że nie wiedzieli, co powiedzieć. Nie chcieli ze sobą rozmawiać. Nawet dla Daniela, tak bezwzględnego, ta sytuacja była dość dziwna, aby uznać ją za podejrzaną.

- Gdzie idziemy? - zapytała w końcu Medison ze wzrokiem utkwionym w chodniku.

- Do sklepu - odrzekł krótko Daniel.

- Jakiego - chciała wiedzieć Medison.

- Naprawdę jesteś tak tępa czy tylko udajesz? - zakpił, po czym jeszcze raz na nią spojrział.

Popatrzył na jej cienką czerwoną bluzę, westchnął i poszedł dalej. Medison chcąc nie chcąc, ruszyła za nim.

Dopiero gdy zatrzymali się przed dużym sklepem jubilerskim, zrozumiała, o co mu chodziło.

- Już teraz? - zdziwiła się.

- Nie mam zamiaru robić ceregieli z tego naszego „układu” - warknął. - Zdejmuj bluzę.

- Co?! - krzyknęła Medison.

- Nie krzycz tak - obejrzał się nerwowo przez ramię. - To elegancki sklep i nie obchodzi mnie, czy będzie ci zimno, czy nie, masz dorównywać mi wyglądem. Albo chociaż przypominać człowieka. Czesłaś dzisiaj te swoje... włosy? Ta biała bluzka jeszcze jakoś wygląda...

Medison zmrużyła oczy, zacisnęła szczęki i powolnymi ruchami zaczęła zdejmować bluzę.

Łzy stanęły jej w oczach, gdy ukazała mały skrawek gołej ręki. Krótki rękaw białej bluzki był lekko naderwany. Mimo to zdjęła bluzę i wrzuciła ją do malej torby.

Daniel spojrział krytycznie na jej małą, skurczoną postać.

Gęsia skórka i łzy w oczach nie zrobiły na nim większego wrażenia. Uchwycił spojrzeniem naderwany rękaw jej bluzki, ponownie westchnął i objął ją ramieniem, zasłaniając tym samym defekt.

Medison przeszły lekkie dreszcze. Na początku poczuła jeszcze gorszy chłód, materiał kurtki był lodowaty. Z czasem jednak robiło się jej coraz cieplej.

- Nie musisz się tak poświęcać - warknęła.

- Nie poświęcam się dla ciebie - odparł. - Masz się zachowywać kulturalnie i nie odgrywać żadnych scen. Mam zamiar załatwić to szybko, to żadna przyjemność.

Nadal obejmując ją ramieniem, wszedł do sklepu.

Było tam gorąco, co sprawiło, że po ciele Medison przeszły dreszcze. Razem z Danielem podeszła do lady sklepowej, za którą stała ekspedientka w średnim wieku, ubrana w szary kostium. Na jej twarzy malowało się zmęczenie, co nadawało jej surowy wygląd. Medison nie wiedziała, co ta kobieta może sobie pomyśleć o jej ubraniu.

Jednak ekspedientka uśmiechnęła się na ich widok. Rysy jej twarzy stały się bardziej zaokrąglone, twarz wypogodniała.

- W czym mogę państwu pomóc? - zapytała.

- Chcielibyśmy kupić pierścionek zaręczynowy... - zaczął

Daniel.

- Hmm... Większość mężczyzn chce, aby to była niespodzianka dla ukochanej... - zaczęła, ale Daniel przerwał jej.

- Moja dziewczyna ma... wysokie wymagania.

- Rozumiem. A która z nas ich nie ma, prawda? - uśmiechnęła się jeszcze szerzej ekspedientka. - W takim razie proszę za mną.

Kobieta poruszała się w kostiumie sztywno, ale z gracją.

Manewrowała między kolejnymi regałami z naszyjnikami i bransoletami. W końcu stanęła przy stoliku, w którym pod szybą leżały poukładane w równych szeregach złote pierścionki. Chwilę patrzyła na szczupłe palce Medison, po czym wyjęła cztery pierścionki o odpowiedniej średnicy.

- To edycja limitowana. Każdy z nich został wyprodukowany tylko raz, więc są wyjątkowe. Mogę zagwarantować, że nie spotka pani drugiej osoby noszącej taki pierścionek.

Medison popatrzyła ze zmrużonymi oczyma na cztery wyjątkowe pierścionki. Każdy wydawał się skrywać tajemnicę. Każdy wyjątkowy na swój sposób, każdy inny.

- Który ci się podoba... kochanie? - zapytał Daniel, szybko dodając ostatnie słowo.

- Wszystkie są wyjątkowe - odrzekła Medison. - Może ty wybierzesz?

Mogłaby przecież wybrać najdroższy albo jeszcze długo marudzić, ale nie robiła tego. Wbrew pozorom była bardzo dobrze wychowana. Lecz czy o to jej chodziło?

Nie znała się na biżuterii. Może chciała uniknąć krępujących pytań, jakie mogłaby jej w tej sprawie zadać ekspedientka. Nie chciała zaprzepaścić jedynej szansy... Tu chodziło o jej interes.

Daniel przez chwilę mrużył oczy, po czym wybrał pierścionek z małym czarnym oczkiem, oplecionym białą - zieloną masą, która tworzyła miniaturowe listki.

- Myślę, że ten będzie najodpowiedniejszy - odparł.

- Będzie pasował do pani pięknych oczu - uśmiechnęła się ekspedientka.

- Tak. Jest piękny - szepnęła Medison, gdy Daniel wsunął go na jej palec.

To był drogi pierścionek. Bardzo drogi. Nie wiedziała, dlaczego wybrał akurat taki.

- Chciałem szybko załatwić tę sprawę - odpowiedział obojętnym tonem, gdy wyszli ze sklepu. - I co, już nie jest ci zimno?

Zaabsorbowana oglądaniem pierścionka, Medison nie odczuwała zimna ani lodowatego wiatru.

- Nie - odrzekła, cały czas oglądając pierścionek. Daniel, zobaczywszy to, prychnął mimowolnie.

- Skręcamy - mruknął i pociągnął ją w jakąś boczną uliczkę.

- Gdzie mnie znowu ciągniesz? - zapytała Med. Nie odpowiedział.

- Zadałam ci pytanie - powtórzyła po chwili.

I tym razem nie odpowiedział. Otworzył natomiast drzwi pewnej obskurnej kafejki i wszedł pierwszy.

„Ani krzty kultury” - pomyślała Medison, zamykając za sobą drzwi. Następnie dosiadła się do stolika Daniela.

- Po co tu przyszedliśmy? - niecierpliwiła się.

- Żeby obgadać szczegóły naszego... „związku” - odrzekł

Daniel.

- W TAKIM miejscu? Nie mogłeś wybrać czegoś... odpowiedniejszego? - wydusiła.

- Chciałem, żebyś się poczuła jak u siebie w domu - zaśmiał się. - Poproszę dwie kawy - powiedział

do młodej kelnerki. Mrugnął do niej, a kobieta zarumieniła się i potknęła o własne nogi.

- Nie trzeba - wycedziła Medison.

- Daruj sobie - odparł znudzony. - Miałaś nie robić przedstawień. To publiczne miejsce. Nikt cię nie

nauczył, jak trzeba się zachowywać w takich miejscach? Mniejsza z tym - uciał. - Czego oczekujesz?

- Niczego wielkiego - rzekła Medison. - Dachy nad głową i pieniędzy.

- Pieniądzy... które zawsze traktowałaś z przymrużeniem oka... - zakpił. - Nie podejrzewałem, że usłyszysz od ciebie: „Potrzebuję pieniędzy”...

- Teraz to ty sobie... daruj - wycedziła. - A ty? Czego oczekujesz?

Daniel upił trochę kawy z filiżanki, po czym powiedział: - Masz się nie mieszać w moje sprawy i nie przynosić mi wstydu. I chociaż udawać idealną żonę. Resztę wytrzymam.

Twoją obecność... W końcu ślub z tobą przyniesie mi duże zyski.

- Więc... kiedy mam się wprowadzić? - zapytała. Bała się zadać to pytanie. Jednak nie chciała dopuścić do siebie myśli o strachu. Medison Carpen, która boi się ślubu? W jej słowniku nie było słowa „strach”. Po prostu... Nie znosiła swojej niepewności... Nie wiedziała, jaką odpowiedź usłyszy.

- Jak najpóźniej - odrzekł Daniel. - Teraz możesz codziennie do mnie wpadać, żebyśmy sprawiali wrażenie „zakochanej pary”. Na nieszczęście mam wścibskich sąsiadów - w tym miejscu prychnął ironicznie. - Za kilka dni wydam małe spotkanie dla moich przyjaciół, żeby się dowiedzieli, że się pobieramy. Oficjalnie zamieszkasz u mnie w dniu ślubu.

- Czy to przyjęcie jest konieczne? - zdziwiła się.

Chociaż czy to było zdziwienie? Ton jej głosu zaskoczył ją samą. Załamywał się. Czemu?

- Według mnie TAK - wycedził. - Jeśli ci to nie odpowiada, nie przychodź. Chociaż będzie to wtedy trochę dziwnie wyglądało...

- Nie martw się - odpowiedziała. - Nie mam zamiaru popsuć tak dobrego interesu.

Wstała z krzesła, zostawiając na stole nietkniętą kawę.

Podbiegła do drzwi i wyszła z kafejki.

Rozdział IV

Plama brudnej krwi

Jakie to chore... Jakie to... Nienormalne... Jeszcze pięć dni temu chowała się przed pijanym ojcem, trzymającym w dłoni szczątki filiżanki. Jeszcze cztery dni temu siedziała na strychu swojej kamienicy z paczką chusteczek w ręku. Wykręcane dłonie jeszcze ją bolały, chociaż pręgi nie były już widoczne.

Tydzień temu leczyła rozciętą wargę. Dwa tygodnie temu zdjęli jej szwy ze skroni.

Wszystko goiło się zaskakująco szybko, nie zostawiając żadnej pamiątki.

Już niedługo jej życie miało się zmienić. Miała przestać uciekać. Już niedługo miała żyć w bogactwie - u boku wroga...

Ale czy to było teraz takie ważne? Nie przejmowała się, że będzie mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, który zawsze ją poniżał. Za dużo przeszła, aby pozwolić na to kolejnemu mężczyźnie. Zmieniła się. Życie nauczyło ją wielu nowych rzeczy. Nie była już tą samą nastolatką z przeszłością, zostawioną przez matkę na pastwę losu. Dziewczyną, która litowała się nad biednymi. Teraz każdy jej krok był przemyślany.

„Teraz możesz codziennie do mnie wpadać, żebyśmy sprawiali wrażenie zakochanej pary” - powiedział Daniel.

Hmm... A gdyby tak odwiedzić narzeczonego?

Spojrzała na piękny pierścionek. Czarne oczko mieniło się w blasku słońca, którego promienie wpadały przez okno. Białe listki tak piękne z nim kontrastowały. Lubiła się w niego wpatrywać...

Czemu by nie spróbować?

Wyjrzała przez okno. Ach, ten klimat północnej Anglii...

Prawie codziennie wpatrywała się w szare chmury, w przejrzyste krople deszczu. Codziennie słyszała odgłos małych kropelek, które z hałasem uderzały o dach kamienicy.

Codziennie dreptała po kałużach w przemokniętych, podartych butach. Dzisiaj nie chciała krążyć bez celu.

Zamierzała odwiedzić dom swojego „ukochanego”.

Szybko narzuciła na siebie kurtkę, założyła buty i wyszła na szare ulice swojego miasta. Po raz kolejny poczuła niemiłe kąsania wiatru. Szczelniej otuliła się kurtką, po czym truchtem ruszyła drogą.

Często chodząc po mieście, zapuszczała się w tę najbogatszą okolicę. A mieszkanie swojego wroga rozpoznałaby od razu, w końcu tak często widywała je w gazetach...

Dom Daniela stał w znacznej odległości od kamienicy Medison. Dziewczyna pół godziny szła pustymi ulicami, zanim ujrzała piękny, duży dom, z pewnością należący do zdrajcy.

Jak bardzo różnił się od jej niechlujnej kamienicy! Tutaj chodnik był śnieżnobiały, spływające strużki deszczu nie zostawiały na nim żadnej skazy. Medison powoli po nim przeszła, delikatnie stawiając na każdej płytce stopy, tak jakby chodnik mógł się w każdej chwili złamać. Przy drzwiach spojrzała na marmurowe kolumny podtrzymujące taras. Szary dom był mroczny, ale zadbane, po obu jego stronach rosła niewiarygodnie zielona o tej porze roku trawa. Medison spojrzała na piękne czarne, rzeźbione drzwi. Po dłuższej chwili wahania nadusiła dzwonek przy drzwiach. Rozległ się przerażający, mrozący krew w żyłach odgłos gongu.

Chwilę później drzwi otworzyła starsza kobieta. Jej twarz była gładka, tylko na czole majaczyło kilka wąskich zmarszczek. Czarne włosy z siwymi odrostami związała z tyłu w ciasny koczek.

- Czym mogę służyć? - zapytała spokojnie.

- Ja przyszedłam... do... - zająknęła się Medison.

Sama była zdziwiona, że się jąka. Nigdy nie okazywała niepokoju, jednak ten wystawny dom napawał ją niepewnością, przerażeniem.

- Do... - kontynuowała.

Strasznie niezręcznie się czuła. Stała w drzwiach tego domu, przed nią była kobieta, najwyraźniej służąca, a ona nie potrafiła powiedzieć, do kogo przyszła!

- Ach, to ty, Carpen - usłyszała aksamitny męski głos.

Daniel błyskawicznie pojawił się za plecami służącej. - Wpuść ją, Olivio.

- Tak, już - odpowiedziała kobieta, po czym ze sztywną miną wpuściła Medison do środka.

Niepewnie przekroczyła próg domu. Gdy postawiła nogę na ciemnym dywanie, natychmiast ogarnęła ją atmosfera bogactwa i nienormalnej wręcz elegancji.

Wszystko było tu obce, nieprzyjazne. Pokojówka, mierząca ją nienawistnym, pełnym pogardy spojrzeniem, najwyraźniej stała się jej wrogiem numer dwa. Wygląd domu był tak smutny, przytłaczający...

Białe marmurowe ściany na korytarzu pokryte były ogromną liczbą dzieł znanych artystów. Czarny dywan wyraźnie rysował się na tle białych marmurowych kafelków.

Dokładnie na środku tego pomieszczenia wisiał czarny żyrandol. Pięknie rzeźbiony, nadawał temu pomieszczeniu jeszcze bardziej złowrogi wygląd. Czarnobiałe masywne schody prowadziły na górę. Z tej perspektywy Medison dostrzegła jeszcze kilkanaście par innych drzwi, znajdujących się na piętrze.

- Aż tak cię zatkało? - zakpił Daniel. - Może lepiej wezwę karetkę, zanim doznasz jakiegoś wstrząsu?

Zaciskając zęby, Medison przestała podziwiać kolejne zdobienia żyrandola. Obróciła się na pięcie w stronę Daniela, po czym posłała mu pełne nienawiści spojrzenie.

- Więc prowadź - syknęła.

Daniel wykrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

- Tak więc za mną, Carpen. Tylko się nie zgub.

Po czym szybkim, pełnym gracji krokiem przeszedł przez korytarz i otworzył trzecie drzwi po prawej.

W Medison wszystko wrzało. Spojrzała jeszcze raz na służącą, której twarz wykrzywił pełen pogardy uśmiech. Nie mogąc dłużej znieść tego widoku, weszła za Danielem do - jak się okazało - salonu.

Był to pokój o wiele mniejszy od korytarza, w którym przed chwilą się znajdowali. Ciemnogranatowe ściany zlewały się z podłogą w tym samym kolorze. W czarnym kominku trzaskały płomienie, rzucając ciepłą poświatę na ciemny drewniany stół. Na stole stał piękny kasztanowy wazon ze sztucznymi czarnymi różami w środku. Szare skórzane fotele były najjaśniejszym fragmentem tego pomieszczenia.

Ciemność napierała na oczy Medison, a kontrast pomiędzy granatowymi ścianami a światłem z kominka sprawił, że rozboleła ją głowa. Pocierając oczy, bez słowa usiadła na jednym ze skórzanych foteli.

- Tak - zaśmiał się Daniel. - Czuj się jak u siebie w domu... Ale czy to możliwe, jeśli całe życie mieszkało się praktycznie w śmietniku?

- Ach, Daniel, Daniel - westchnęła. - Zawsze byłeś mistrzem ciętej riposty, prawda?

- Cóż, czy nie powinnaś wiedzieć o tym najlepiej? - zapytał, udając wielkie zdziwienie.

Nie odpowiedziała, ponieważ zauważyła piękny, kosztowny zegar stojący na kominku, przed którym właśnie siedziała. Rzeźbienia przedstawiały różne sceny z życia człowieka - przeciętnego człowieka, którym ani Medison, ani Daniel nie byli. Chrzest - nie mogła pamiętać wydarzenia sprzed dwudziestu trzech lat. Tylko mama opowiadała jej, jaka była wtedy grzeczna, wszyscy podziwiali jej „piękną, małą córeczkę”.

Pierwsza Komunia Święta - tu poczuła niemiły skurcz w żołądku. Właśnie w ten dzień, dzień Pierwszej Komunii Świętej, opuściła ją mama. Wtedy całe jej życie się zawaliło.

Bierzmowanie - do dzisiaj pamięta te szydercze uśmiechy kolegów i koleżanek, gdy przyszła z podbitym okiem.

Pierwszy raz, odkąd sytuacja w domu się popsowała - pierwszy raz od dnia, w którym zostawiła ją mama, dostała w twarz od pijanego ojca.

Gdy patrzyła na sakramenty małżeństwa i śmierci, zaschło jej w gardle. Żołądek podszedł jej do gardła, nie mogła wydusić słowa. Dopiero teraz poczuła, jak do jej suchych oczu cisną się łzy. Przez chwilę miała przed oczami czarne kropki.

Aby nie zemdleć w tym dusznym pomieszczeniu, wzięła kilka głębszych oddechów. Przeszło, ale zakręciło jej się w głowie.

- Czy mogę napić się wody? - zapytała. Serce wciąż waliło jej jak młot.

- Tak - odrzekł oschle - Olivio! Przyniesz szklankę wody... z kranu - uśmiechnął się szyderczo.

Medison jeszcze raz spojrzała na niego, usiłując zabić go wzrokiem.

- Wybacz - odpowiedział na jej spojrzenie. - Chcę, żebyś naprawdę czuła się jak w domu. Nie chcę cię peszyć.

W tym samym momencie do pokoju wkroczyła Oli - via ze szklanką z wodą. Uśmiechała się jeszcze szerzej, co sprawiało, że jej oczy były małe jak szparki, a wokół ust powstały głębokie zmarszczki. Postawiła wodę na stole przed Medison i wyszła z salonu.

- Nie krępuj się - powiedział Daniel. - Pij. Mieszkając w takiej dziurze, na pewno piłaś gorsze rzeczy niż normalna woda z kranu.

Oczy Medison ciskały gromy. Miała swój honor, nie chciała znów być poniżana, a jednak w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu czuła się bardzo źle. Nie miała siły wstać i iść do kuchni. Przecież nawet nie wiedziała, gdzie znajduje się to pomieszczenie! Pozostawało tylko wypić tę wodę, mając nadzieję, że służąca nie dosypała po drodze jakiejś trującej substancji.

Powoli podniosła szklankę. Szkło było tak cienkie, jakby miało za moment się rozkruszyć. Gdy Medison poczuła w ustach zimny płyn, dreszcz przeszedł jej po plecach.

Natychmiast poczuła się lepiej, wróciła jej energia.

- Powiedz mi, Carpen, jak ci się podoba mój dom? - zapytał Daniel. - Czy twój rozum zdołał ogarnąć te dwa pomieszczenia, tak aby następnym razem się nie zgubić?

Wiesz, dziwię się, że w ogóle zdołałaś tu dotrzeć. To jedna z lepszych dzielnic w tym mieście, nie wiedziałem, że potrafisz tu dojść...

- Nie wysilaj się już - powiedziała spokojnie Medison, chociaż była bardzo zdenerwowana.

- Och, nie, mówienie prawdy nie jest dla mnie wysiłkiem - zachichotał. - Chcę tylko powiedzieć, że część znajomych wie już o mojej decyzji, mianowicie - o zamiarze zawarcia małżeństwa. Nie wiedzą tylko, kim ma być moja żona. Tak więc za jakieś dwa tygodnie urządzę małe przyjęcie...

- Za dwa tygodnie? - przerwała mu przerażona Medison.

- ...I zaproszę większość gości. Chociaż pomyślałem, że lepiej ograniczyć się do minimum, bo po pierwsze, chyba zbyt by cię onieśmielali swoją klasą, której ty - nie oszukujmy się - nie masz - zaśmiał się, a Medison poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić, a krew wrzeć. - A po drugie, nie chciałbym, żeby tyle osób widziało, że moja żona pokazuje się w takich - spojrzał na jej ubranie i wykrzywił twarz w podłym uśmiechu - szmatach.

Medison czuła, że zaraz nie wytrzyma tych obelg. Nagle zaschło jej w gardle. Mocniej zacisnęła rękę na szklance i...

- Ała! - wrzasnęła z bólu.

Zacisnęła rękę na szklance z taką siłą, że cienkie szkło pękło. Jej dłoń zaczęła obficie krwawić, krew wypływała spod mocno zaciśniętych pięści i spadała na jasne fotele. Ostre odłamki wbijały się coraz głębiej w jej skórę, lecz ona mocniej zaciskała rękę.

- Idiotka! - syknął Daniel, po czym podszedł do niej i siłą rozwarł jej dłoń. Aż syknęła z bólu, gdy przypadkowo nacisnął na jeden z odłamków szkła, wbijając go mocniej w ranę.

Ponownie na niego spojrzała. Teraz znowu prawie nie czuła bólu. Krew wypływała szybko z otwartych ran, dając ulgę jej nerwom.

- Idziemy - powiedział Daniel, po czym mocno pociągnął ją za rękę.

Chcąc nie chcąc, Medison poszła za nim.

Gdy wyszli z salonu na korytarz, jej policzki musnęło chłodne powietrze. Wzięła głęboki wdech i natychmiast poczuła ostry ból w prawej dłoni.

Szli szybko przez korytarze, po schodach, mijając kolejne drzwi, aż w końcu Daniel pchnął jedne z nich i pociągnął za sobą Medison. Byli w kuchni. Natychmiast odkręcił zimną wodę i wsadził rękę Medison pod kran. Woda zabarwiła się na różowo od ciemnoczerwonej krwi.

- Olivia! - krzyknął. - Olivia!

Nikt się nie odezwał.

- Oddanej służącej nie ma? - zakpiła nerwowo Medison.

Patrzyła, jak krew wypływa, nie zwalniając tempa.

- Zamknij się - warknął.

Ponownie poczuła przypływ agresji. Wyciągnęła spod kranu obficie krwawiącą rękę i zamierzyła się na niego, gotowa do uderzenia. Daniel zauważył to i chwycił jej rękę, gdy była w połowie drogi do jego policzka.

- Jesteś chora psychicznie - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Bardzo możliwe. Zwariowałam przez ciebie! - odparła.

W tym momencie drzwi do kuchni otworzyły się.

Stała w nich kobieta ubrana tak samo jak Olivia, tyle że to nie była ona. Twarz tej służącej była łagodniejsza, pokryta licznymi zmarszczkami. Na jej twarzy przez cały czas błąkał się miły, matczyzny uśmiech.

- Olivii nie ma, skończyła swoją zmianę - powiedziała. -

W czym mogę pomóc?

- Zetrzyj krew z podłogi, Rebeko - odpowiedział. - Mój gość zrobił sobie krzywdę.

Kobieta spojrzała na rękę Medison, po czym przekręciła głowę na bok. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się mała zmarszczka.

Medison dopiero teraz zauważyła, że jej dłoń była cała czerwona, a nadmiar krwi obficie spływał na czarny rękaw koszuli Daniela. On również to zauważył i szybko puścił jej rękę.

- Myślę, że te ranę trzeba opatrzyć - powiedziała Rebeka, a na jej twarzy pojawiła się troska. - Nie wygląda to ładnie.

- Nie mam teraz czasu na jeżdżenie po szpitalach - warknął na nią Daniel. - Zajmij się nią, jeśli potrafisz. Ja wychodzę. Mam spotkanie.

Patrząc z obrzydzeniem na poplamiony krwią rękaw koszuli, wyszedł z kuchni.

- Niech pani pokaże tę rękę - powiedziała Rebeka z troską w głosie. Delikatnie ujęła dłoń Medison niemal przezroczytymi dłońmi i syknęła: - Tu się nie obejdziesz bez szwów.

- Nie! - krzyknęła Med. Ci wszyscy chirurdzy za dobrze ją znali. - Nie... To niepotrzebne. Jeśli ma pani jakiś bandaż, chusteczkę...

- Proszę mi mówić „Rebeka” - odrzekła z uśmiechem. - I naprawdę myślę, że tę ranę trzeba opatrzyć i założyć szwy.

Jest dość głęboka.

Medison westchnęła. Było widać, że Rebeka, razem ze swoją matczyną troską, nie podda się tak łatwo.

- Proszę tylko o chusteczkę - powiedziała twardo. - I tak muszę już iść, przejdę się do tego chole... do szpitala.

Rebeka westchnęła i podała Medison całą paczkę chusteczek higienicznych.

- Dziękuję - Medison jeszcze raz spojrzała na twarz kobiety, całą poraną zmarszczkami. Coś skłoniło ją do uśmiechu. - Do widzenia.

- Do widzenia - odrzekła Rebeka.

Medison szybko opuściła kuchnię. Do wyjścia kierowała się śladami krwi, wyraźnie rysującymi się na białej marmurowej posadzce. Czuła klucie w ręce, wiedziała, że za kilkanaście minut będzie przeżywała katorgi w szpitalu podczas usuwania szkła. Starając się o tym nie myśleć, zesza ze schodów i zdjęła z wieszaka kurtkę. Ponownie spojrzała na rękę. Krew przesiąkała już przez chusteczkę. Zamknęła oczy,

zaciśnęła pięść i starając się nie wydać jęku bólu, wsunęła rękę przez rękaw kurtki.

W końcu wyszła na dwór. Pogoda ani trochę się nie zmieniła. Na niebie pojawiło się tylko jeszcze więcej szarych chmur, zwiastujących ponowną ulewę. Medison szybkim krokiem opuściła teren Daniela i udała się w stronę szpitala.

Ileż to już razy tam była... Co teraz powie lekarzowi? Że była u narzeczonego, który przez cały czas ją poniżał? Że ze złości gołymi rękoma zdusiła szklanke, a on nie odwiózł jej do szpitala, bo miał spotkanie biznesowe?

W końcu znalazła się przed drzwiami szpitala. Otworzyła drzwi i natychmiast poczuła znajomy zapach lekarstw i butli z kroplówkami. Przyprawiał ją o mdłości. Czuła, że pusty żołądek skręca się z głodu, ale i tak było jej niedobrze.

Podeszła do recepcjonistki i już otwierała usta, ale tamta tylko spojrzała na nią, jej rękę zawiniętą w chusteczkę, po czym podniosła telefon i powiedziała: - Doktorze Hogans, pani Carpen przysła. Czy może zejść pan na dół?

Chwilę później odłożyła słuchawkę.

- Doktor Hogans już idzie.

- Dziękuję - bąknęła Medison.

Usiadła na jednym z białych krzeseł. Spojrzała na czerwoną już chusteczkę i zastanowiła się, co tym razem powie jej ten miły doktor Hogans. Można by powiedzieć - jedyny przyjazny jej człowiek w jej otoczeniu.

Chwilę potem zauważyła go. Mężczyzna przed pięćdziesiątką szedł w białym fartuchu, niosąc pod pachą grubą czarną teczkę. Krótko ostrzyżone brązowe włosy, broda tego samego koloru i szare oczy nadawały jego twarzy wyraz wyższości. Pewnie wyglądałby na waźniaka, gdyby nie ten uśmiech - teraz tak podobny do uśmiechu Rebeki.

Doktor Hogans niemal od razu dostrzegł Medison. Położył teczkę na ladzie recepcji, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Witamy naszego stałego gościa - zachichotał. - Medison, co tam dzisiaj? Spadłaś ze schodów czy jeździłaś na rolkach?

- Nic z tego - odrzekła. Gdy zobaczyła dobrodusznego doktora Hogansa (który doskonale wiedział, w jakiej jest sytuacji, ale nie rozmawiał z nią na ten drażliwy temat), jej humor poprawił się. - Tym razem to ja troszkę zawiniłam.

I wyciągnęła ku niemu rękę.

- Ojjoj, no co ty powiesz - zacmokał doktor, delikatnie zdejmując zakrwawioną chusteczkę z jej dłoni. Gdy zobaczył ranę, lekko się skrzywił. - TROSZKĘ zawiniłaś? Hm... Chodź, trzeba to porządnie opatrzyć. Pełno tu szkła.

Medison niechętnie poczłapała za nim do jego gabinetu.

Zapach szpitala był tam jeszcze intensywniejszy. Niechętnie usiadła na krześle. Czuła, jak doktor Hogans zaciska na jej przedramieniu pasek. Teraz spodziewała się najgorszego.

- Jak to sobie zrobiłaś? - zapytał, uciskając niektóre miejsca na jej ręce, aż Medison syknęła z bólu. - Przepraszam.

Chodziłaś na rękach po szkłe? Do tego potrzebne są lata wprawy!

- Nie, ja... - zawahała się - za mocno złapałam szklanke...

AŁA!

W tym samym momencie całą jej rękę, począwszy od środka dłoni, przeszył ból, jakby ktoś przepuścił przez nią prąd elektryczny. Łzy same napłynęły jej do oczu. Wiedziała, że będzie boleć. Ale żeby tak bardzo...?

- No cóż - zamyślił się doktor - chyba powinienem dać ci coś znieczulającego.

- A nie dał mi pan?! - aż krzyknęła Medison.

- Słońce, nie takie rzeczy przecierpiałaś! Pamiętasz, jak oczyszczałem ci tę ranę na przedramieniu? Nie dość, że znajdowały się w niej kawałki szkła, to jeszcze była strasznie zabrudzona ziemią!

Medison westchnęła. Nie było sensu przypominać mu, że była wtedy nieprzytomna. Następne, co poczuła, to wbijanie igły w rękę i powolne drętwienie dłoni.

- I co? Teraz coś czujesz? - zapytał doktor.

- Nie - westchnęła i zamknęła oczy.

- A więc to nie... twój ojciec?

- Nie... Chyba zrobił sobie wolne - zachichotała nerwowo.

Mijały kolejne minuty. Znieczulenie powoli słabło, lecz Medison i tak nic nie czuła poza nieprzyjemnym mrowieniem w rękę.

- No i gotowe! - powiedział doktor po dziesięciu minutach. - Szwy złożone. Przyjdź za tydzień do kontroli, za dwa tygodnie pewnie je zdejmujemy. I może lepiej wybieraj plastikowe kubeczki. Nie mają takiej tendencji do tłuczenia się pod wpływem siły.

- Niech będzie - odrzekła, zupełnie pozbawiona sił. Czuła już pieczenie w rękę, a to był dopiero początek.

- Masz w domu jakieś tabletki przeciwbólowe? - zapytał.

- Ja... Yyy... - i zanim zdążyła dokończyć, doktor Hogans wcisnął jej w zdrową rękę jedno opakowanie tabletek.

- Potraktuj to jako prezent urodzinowy... Do lata jeszcze dużo czasu, ale...

- Dziękuję - burknęła Medison i czym prędzej wyszła z gabinetu. Po drodze spojrzała na recepcjonistkę. Ta uparcie pisała coś na klawiaturze komputera, co chwila zerkając na Medison.

Na dworze tymczasem rozpętało się prawdziwe piekło.

Zaczęło lać, zerwał się potężny wiatr, co jakiś czas mała kuleczka zamarznętego deszczu spadała na głowę Medison.

Nie chcąc za bardzo przemoknąć, zaczęła biec do domu.

Pół godziny później stała przed swoją kamienicą. Szare kałuże przy śmietnikach były o wiele brudniejsze niż te w centrum miasta. Po czerwonej cegle spływała tania farba graffiti. Jak bardzo to otoczenie różniło się od domu Daniela Brooginsa! Medison zaczęła wstydić się swojego mieszkania.

Po chwili wahania weszła do ciemnej, brudnej klatki schodowej. Planowała poczytać książkę, zrobić sobie coś na kolację. Dzisiaj ojciec pewnie znowu wróci nad ranem, około siódmej. Ona zdąży już się wyspać. Jakie marne to życie...

Niewiele myśląc, pchnęła drzwi. Nie weszła jednak do pustego mieszkania. Zdążył wrócić...

Rozdział V

Moje miejsce na Ziemi

Stała sparaliżowana na korytarzu. Drzwi do mieszkania były uchylone. Słyszała skrzypienie podłogowych desek, nie widziała jednak, kto po nich chodzi. Ale to mogła być tylko jedna osoba.

Jak to możliwe? O tej porze nigdy nie było go w domu.

Czy nie powinien siedzieć teraz w pubie, a wrócić dopiero w południe? Co się stało?

Medison nie mogła się poruszyć. Czowała nieprzyjemną woń papierosów. Nie miała wyjścia. Nie było dokąd uciec.

W końcu zebrała się w sobie i otworzyła drzwi. Zamiast świeżego powietrza z zewnątrz wdychała smród alkoholu i papierosów. Mieszkanie było zadymione. Szare chmury dymu unosiły się w powietrzu, ograniczając widoczność. Woń alkoholu nieprzyjemnie drażniła nozdrza. W końcu pośród bałaganu Medison dostrzegła człowieka. On jeszcze jej nie widział.

Mężczyzna był przystojny, ale bardzo zaniedbany. Miał na sobie brudne i porozdzierane w kilku miejscach ubranie. Jego brązowe włosy były rozczochrane, na twarzy widniały szarawe zacieki od deszczu zmieszanego z brudem. Oczy były zamglone, patrzyły w jeden punkt. W dłoni o długich, brudnych paznokciach mężczyzna trzymał niedopałek papierosa.

Samuel Carpen, człowiek, który zniszczył życie sobie i swojej córce. Nienawidziła go z całego serca.

W końcu odwrócił twarz w jej stronę. Dostrzegł ją, stojącą w drzwiach. Gdy zobaczył przerażenie na twarzy córki, uśmiechnął się szyderczo.

- Jesteś - powiedział ochryplym głosem. - Ukrywasz się przede mną?

Nie odpowiedziała. Nie mogła w to uwierzyć. Bardzo uważała, żeby nie spotkać się z nim w domu, obiecała sobie, że nie zrobi jej krzywdy. A teraz... Stał przed nią. Wściekły, uśmiechnięty na myśl o tym, że może się na kimś wyżyć.

- Myślałem, że moja córka będzie w domu i robi mi obiad - jego głos przez cały czas przypominał charkot rozwścieczonego psa - a ciebie nie ma... Nie czekasz na swojego ojca. A ja stoję tu już od godziny... Chyba nie postąpiłaś rozważnie, prawda?

Złowróżbny ton jego głosu sprawił, że przez jej ciało przeszły dreszcze. Chciała się ruszyć, ale nie mogła. Nigdy przed nim nie uciekała, czekała na cios, po którym to on uciekał, aby ponownie się upić. Teraz też nie wybiegła z domu. Nie pozwoliła jej na to... duma?

Samuel podszedł do niej wolnym krokiem. Czowała coraz intensywniejszą woń papierosów. Od dymu zaczęły jej łzawić oczy.

- A co ty tam masz...? - zapytał i spojrzał na jej lewą rękę, na której znajdował się...

„Nie. Błagam, tylko nie to” - myślała. Niestety, było za późno. Zauważył drogocenny pierścionek.

Jak mogła być tak głupia? Wiedziała, że jest w mieszkaniu, była pewna, że jeśli zobaczy pierścionek, wpadnie w szal. Czemu go nie zdjęła?

Zanim zdążyła zaprotestować, podniósł jej rękę i zaczął oglądać drogi przedmiot tkwiący na jej palcu.

- No, no, no... Co ty nie powiesz... - zamruczał, chociaż nie odezwała się ani słowem. - Ukrywać przed tatusiem takie чудо... Nieładnie...

Samuel wykręcił jej rękę.

Krzyknęła. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Cwana się zrobiłaś, co? - warknął, usiłując zdjąć pierścionek z jej ręki. - Ale ze mną to nie przejdzie. O, nie...

Postanowiła zrobić coś, co jeszcze nigdy się jej nie udało.

Podniosła prawą, wolną rękę, po czym z całej siły uderzyła ojca w twarz.

Oszołomiony mężczyzna cofnął się o kilka kroków.

Chociaż bandaż na rękę Medison sprawił, że uderzenie nie było mocne, policzek Samuela zrobił się czerwony. Przez chwilę wpatrywał się w tak samo zdziwioną córkę. Jej umysł nie pracował teraz trzeźwo. Czowała się jak po narkotykach, z emocji nie mogła oddychać.

Chwilę potem dotarło do niej, że może, a właściwie musi uciekać. To było jedyne wyjście.

Przez otwarte drzwi wypadła na korytarz i czym prędzej wybiegła z kamienicy. Wiedziała, że w każdej chwili może ją dogonić, biegła więc, nie zwalniając. Jej serce wciąż mocno biło. Nogi strasznie bolały od nieustannego chodzenia po mieście. Nie zważała na to. Biegła.

Nie wiedziała, gdzie będzie nocować, nie myślała teraz, że nikogo nie zna. Oprócz... Daniela.

Nie! Nie mogła się do niego udać. Nie w takim stanie!

Choćby miała nocować na ławce w parku...

W końcu nie miała już siły. Zaczęła trzeźwo myśleć.

Zimne, ostre powietrze uderzyło ją w twarz. A jednak.

Znajdowała się w parku.

Dopiero teraz zrozumiała, że nie może wrócić do domu.

Nie teraz. Już nie raz ojciec odgrażał się, że jeśli ucieknie, to...

A ona wiedziała, że jest do tego zdolny.

Stała teraz, cienko ubrana, w parku. Z każdej strony otaczała ją ciemność nocy, każde drzewo rzuciło na zaśmieconą aleję złowrogie cienie. Wszystko wydawało się większe, straszniejsze. Usiadła na pobliskiej ławeczce, podciągnęła nogi pod samą brodę i z czystej bezsilności zaczęła płakać.

Jej łkanie brzmiało sto razy głośniej w tej pustej alei.

Obok nie było nikogo. Nikt nie mógł jej pomóc lub dobić.

Było jej prawie obojętne, co się z nią stanie. Może nawet trochę chciała umrzeć, przestać cierpieć. Ból w rozciętej dłoni był nie do zniesienia, Do tego wykręcona ręka dawała o sobie znać. Zimno coraz boleśniej kęsało jej skórę, zdawało jej się, że łyzy powoli zamarzają.

Do tego nagle uświadomiła sobie, że jest strasznie głodna.

Oprócz małego śniadania i szklanki wody od rana nie miała niczego w ustach.

Nagle przestała płakać. Spojrzała wilgotnymi oczyma na niebo. Była pełnia. Księżyc świecił tak jasno... Jednak robiło się coraz ciemniej. Ciemność napierała na jej oczy, chociaż księżyc był wyjątkowo jasny i świecił z niezwykłą mocą.

Powieki ciążyły, więc zamknęła je. Położyła głowę na zimnej ławce, skuliła się i drżąc z zimna, utonęła w otaczającej ją nocnej ciszy.

Niezwykła jasność, nietypowe o tej porze roku ciepło

wypełniało park. Przyjemny ciepły wiatr poruszał lekko liśćmi drzew, trawa zdawała się być zieleńsza niż zazwyczaj.

Wszystkie elementy jesiennego krajobrazu pasowałyby do siebie, gdyby nie jeden szczegół...

Była nim postać dziewczyny skulonej na brązowej ławce.

Jej jasnobrązowe włosy opadały na ramiona. Miała zamknięte oczy. Medison Carpen ciągle spała, nie mogąc podziwiać piękna tego poranka.

Obudziła się. Ze zdziwieniem stwierdziła, że zamiast w

swoim łóżku leży na ławce w parku. Poranek był ciepły, liście na drzewach kołysały się jednak pod wpływem wiatru.

Rozprostowała nogi, po czym usiadła na ławeczce. Nagle dotarły do niej szczegóły ostatniego dnia... Ostatniej nocy...

Jego rozwścieczona twarz, oczy ciskające błyskawice i ten nadrealistyczny zapach tytoniu... Zbyt prawdziwy...

Nim spostrzegła, stało przy niej sześciu chłopaków w wieku około piętnastu lat. Każdy z nich miał bluzę z kapturem i nisko opuszczone spodnie. Prymitywne twarze wyglądały spod kapturów. Widać było łyse głowy.

Nagle jeden z nich chwycił ją za obolałą rękę i przygwoździł do drzewa. Medison zaczęła się wrywać, oszołomiona nagłym pojawieniem się chłopców. Gdy jeden z nich wyjął nóż, ugięły się pod nią nogi...

Zaczęła ich gryźć, kopać, pluć, byle tylko uciec. Nagle zapragnęła żyć. Powoli zaczęły opuszczać ją siły. Nie przestawała jednak walczyć. Widziała chłopaka z nożem, który zbliżał się do niej z szyderczym uśmiechem. Krzyczała, łzy spływały po jej policzkach, nikt jednak nie nadchodził.

Część jej świadomości mówiła, że powinna pogodzić się z losem, druga kazała jej walczyć do końca.

Zimny metal przyłożony do skroni otrzeźwił ją. Na nowo podjęła walkę. Nie poddawała się, ponownie gryzła i kopała.

Już prawie udało się jej uwolnić prawą rękę, gdy otrzymała bolesny cios pięścią w brzuch...

Nagle opuściły ją resztki sił. Poczuła, jak nóż rozcina jej skórę na skroni, nie czuła jednak bólu. Ciepłe krople krwi spływały po jej skroniach, policzkach i wpływały do ust. W końcu oszołomiona kolejnym ciosem w żołądek, upadła na ziemię.

Przez na wpół przymknięte powieki widziała nastolatków, którzy śmiejąc się i lekko popychając nawzajem, odeszli, podczas gdy ona wykrwawiała się na śmierć. Czuła ciepło na brzuchu, twarzy. Zdawała sobie sprawę, że nadchodzi jej koniec. Nagle zaczął padać deszcz. Mieszał się z krwią na jej twarzy. Coraz bardziej oddalała się od siebie. Czy umierała?

W końcu zimne krople deszczu obudziły Medison.

Po pięknym poranku nie było śladu. Zerwał się wiatr, trawa jakby ściemniała. Było mglisto, rozpadało się.

Na brązowej ławce siedziała, cała i zdrowa, ale przemoczona Medison. Bez śladu krwi na skroniach, bez ciemnej czerwonej plamy na brzuchu.

To był tylko sen.

Jednak nie czuła się tu bezpiecznie. Choć było pusto, miała wrażenie, że za chwilę zza krzaków wyłoni się szóstka nastolatków w kapturach...

Nie tracąc czasu na oswojenie się z chłodem, wstała z ławki. Otrzepta ubranie z kurzu i podążyła w stronę wyjścia z parku.

Nie wiedziała, dokąd ma się udać. Wołała nie ryzykować wracania do domu, w obawie, że jej ojciec będzie tam na nią czekał. Może uważał, że przyjdzie, aby się ogrzać, a wtedy pierścionek będzie jego?

Mogłaby iść do szpitala... Jednak obawiała się, że doktor Hogans w końcu przestanie tolerować zachowanie jej ojca i zadzwoni na policję. Wtedy będzie po niej.

Jedyne, co mogła teraz zrobić, to albo wędrować bez celu po mieście, albo udać się do Daniela. Mgła gęstniała, a chmury stawały się coraz cięższe. Perspektywa marznięcia w tym miejscu wydawała się jej co najmniej odpychająca, biorąc pod uwagę ostatnią noc. I znowu, tak jak we śnie, walczyły w niej dwie części jej świadomości: jedna, opiekuńcza, radziła jej iść do Daniela, ogrzać się i uspokoić. Druga, ogarnięta dumą, nakazywała podnieść wysoko głowę i iść przed siebie.

Nagle usłyszała głosy. Szybko obróciła głowę w kierunku miejsca, z którego nadchodziły. Zobaczyła grupę nastolatków.

Mieli te same bluzy, te same twarze, byli w tym samym wieku co oprawcy ze snu.

Jej nerwy napięły się do granic możliwości, krew odpłynęła z twarzy. Czuła, jak nogi się pod nią uginają, więc usiadła na ławce. Pusty żołądek zaczął się buntować i skręcać z głodu. Bynajmniej nie pomogło jej to. Jednak grupa „oprawców ze snu” przeszła obok niej obojętnie. Nikt nie spojrzał na jej postać, bladą i wycieńczoną, siedzącą na ławce.

Jakby była powietrzem.

Medison odetchnęła z ulgą. „Czy ja wariuję?” - zapytała siebie w myślach.

Jednak była pewna, że każdy byłby oszołomiony i zdenerwowany po nocy spędzonej samotnie pod gołym niebem, z jedną ręką naznaczoną pręgami, a drugą owiniętą bandażem.

Nagle Medison poczuła przyptyw sił. Postanowiła, że pójdzie tam, gdzie chociaż w pewnym stopniu będzie bezpieczna. Wyszła z parku i skierowała się w stronę ulicy, na której mieszkał Daniel. Po chwili na nowo zaczął jej doskwierać ból w zranionej ręce. Włożyła ją do kieszeni. Nie było tam tabletek przeciwbólowych. Musiały wypaść z kieszeni, gdy biegła...

Po kilkudziesięciu nieszczęsnych minutach, podczas których wiatr niemiłosiernie smagał jej twarz, a krople deszczu padały coraz gęściej, dotarła do celu podróży. Dom stał, był taki jak ostatnio, nic się nie zmieniło. Woda spływała z jasnych kafelków, nie pozostawiając na nich żadnego śladu.

Medison podeszła do ciężkich, czarnych drzwi i zadzwoniła. Niemal natychmiast usłyszała kroki, a chwilę potem drzwi otworzyły się. W progu stała wrogo nastawiona do niej służąca. Spojrzała na nią przymrożonymi oczyma i uśmiechnęła się krzywo. - Do pana Daniela? - zapytała głosem pełnym jadu.

- A co? Że niby do pani? - warknęła Medison. Szyderczy uśmiech znikł z oblicza Olivii. Teraz jej twarz była napięta.

Wyglądała, jakby założyła na nią maskę.

Olivia uchyliła szerzej drzwi. Medison weszła przez nie.

Myślała, że w środku będzie cieplej niż na dworze, jednak myliła się. Srogie ściany korytarza nie dawały ciepła ani ciału, ani oczom. Po raz pierwszy zapragnęła znaleźć się w przytulnym saloniku.

- Zaraz kończę zmianę. Rebeka powinna tu być za jakieś dziesięć minut. Mam nadzieję, że pani sobie poradzi... - Olivia ponownie zmierzyła Medison od stóp do głów.

Ton jej głosu świadczył jednak o tym, że chciałyby, aby gość wylał na siebie garnek z gorącą wodą albo lepiej - spadł ze stromych schodów z kubkiem wrzątku w ręce. Nie umknęło to uwadze Medison. Założyła ręce na piersi i odpowiedziała: - Gdzie Daniel?

- Pan DANIEL - Olivia podkreśliła to imię, jakby Medison nie wolno było zwracać się na „ty” do... przyszłego męża - jest w salonie. Przegląda ważne notatki i nie chce, aby mu przeszkadzano.

- Chyba zepsuję mu plany - powiedziała Medison.

- A może nie będziesz musiała? - rozległ się za nią męski głos.

Na korytarzu stał Daniel i z ciekawością przyglądał się Medison. Ścisłej mówiąc - ze złośliwą ciekawością. Patrzył na jej ubranie z uniesionymi brwiami. W jego oczach widać było wręcz politowanie.

- Widzę, że upodabniasz się do tego mieszkania - zaśmiała się Medison. - Zmieniasz się w demona? No, no, no... Czarne oczy, blada cera... Jeszcze pofarbuj sobie włosy na czarno, a zacznę się ciebie bać...

- Więc jeszcze nie zaczęłaś? - szczerze zdziwił się Daniel.

Ponownie spojrzął na jej bluzę, która - teraz Medison to zauważyła - nosiła na sobie ślady niedawnego zmagania się z naturą. - Co ja tu widzę? Wybrałaś się wczoraj na biwak?

- Jaki dowcipny... - wycodziła Medison. - Byłam pewna, że biznesmeni wykazują się większą kulturą wobec swoich gości i zapraszają ich do salonu, zamiast dręczyć na korytarzu.

Kpiący uśmiech nie schodził z jego twarzy. Nadal miał uniesione brwi.

- Trafne spostrzeżenie, ale ta zasada dotyczy tylko ludzi na poziomie, a nie tych z marginesu społecznego - zakpił.

- Nie posuwaj się za daleko, ty...

- Dokończ, śmiało! Chcę usłyszeć, kim jestem - zaśmiał się.

- Panie Danielu - powiedziała Olivia, udaremniając dokończenie wypowiedzi przez Medison. - Moja zmiana już się skończyła. Czy mogę wyjść?

- Tak, idź.

- Do widzenia, panie Danielu - zaszczebiotała słodko, tak jakby Medison w ogóle nie było w pokoju.

Olivia zdjęła z wieszaka ohydny płaszcz koloru brudnej żółci i założyła go. Nie spojrzawszy nawet na Medison, wyszła. Zatrzasnęła za sobą potężne czarne drzwi.

Medison stała pośrodku korytarza i patrzyła na znieawidzoną twarz blondyna. Myślała, że gdy będą sam na sam, łatwiej będzie jej zadać to pytanie. Teraz jednak czuła, jak coraz bardziej pieką ją policzki. Nie uszło to uwadze Daniela. Przekrzywił lekko głowę, uważnie się jej przyglądając.

- Mam prośbę - rzekła, a własny głos wydał się jej dziwnie obcy.

Miała nadzieję, że Daniel zrozumie, o co jej chodzi, i bez słowa powie jej, gdzie ma iść. Nic jednak nie wskazywało na to, że domyślił się, z czym do niego przyszła.

Gdy już miała go zapytać, drzwi wejściowe ponownie się otworzyły i weszła przez nie Rebeka. Jej płaszcz miał ten sam krój co nakrycie Olivii, był jednak blado różowy. Rebeka w niczym nie przypominała służącej, bardziej wyglądała jak pani tego domu. Jej szczupła sylwetka i matczyna twarz tak bardzo różniły się od postaci Olivii, która była potężna i zdawała się być przeznaczoną do służenia w choćby najmniejszej posiadłości.

- Dzień dobry - powiedziała Rebeka, uśmiechając się dobrotliwie do Medison i Daniela. - Pan wybaczy, że się spóźniłam.

- Nic się nie stało - odparł sztywno Daniel.

- Zaraz zrobię drugie śniadanie, na pewno są państwo głodni - odrzekła. Następnie spojrzała na Medison i wyczytała z jej twarzy, jaki ma problem. Nietrudno było się domyślić, biorąc pod uwagę szarawy bandaż i brudne ubranie. Daniel musiał udawać, że o niczym nie wie. - Może zechciałaby pani wziąć kąpiel przed śniadaniem? Wygląda pani na zmęczoną.

- Chętnie - Medison spojrzała na Daniela, który z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Patrzył gdzieś na ścianę, a kąciki jego ust lekko drgały.

- Zaprowadzę panią - zaproponowała Rebeka. Przeszła przez korytarz, a Medison ruszyła za nią.

Czarny dywan tłumił ich kroki. W końcu weszły na piętro po czarno - białych marmurowych schodach, po czym skręciły w prawy korytarz. Było tam pełno kwiatów i obrazów w ponurych barwach. Czarne ściany korytarza wyglądały, jakby opłakiwały nieczułe serca mieszkańców tego domu. Białe kwiaty jaśminu zdawały się dawać nadzieję na lepszą przyszłość.

- To tutaj - powiedziała Rebeka, uchylając białe, kontrastujące ze ścianą drzwi. - Zaraz przyniosę pani nowy ręcznik. Proszę się czuć jak u siebie.

- Dzięki - szepnęła Medison i weszła do łazienki.

Drzwi same zatrzasnęły się za nią, a ona stała sparaliżowana, z szeroko otwartymi ustami, wpatrując się w niezwykle rozmiary łazienki.

Była ona wielkości co najmniej jednego salonu. Kafelki na ścianach i na podłodze były barwy ciemnej, niemalże czarnej zieleni. Takiego samego koloru była wielka okrągła wanna z prysznicem. Obok niej wisiał biały grzejnik, na którym nie było ani jednego ręcznika. Pod czarną umywalką leżał dywan tego samego koloru, ledwo widoczny na tle ciemnozielonych kafelków. Nad umywalką wisiała szafka koloru zgniłej zieleni.

Medison podeszła do lustra stojącego obok wanny. Jego brzegi były ozdobione szmaragdowymi kamieniami. Dopiero teraz zobaczyła, jak żałośnie wygląda. Na czerwonej bluzie, którą założyła, były czarne smugi z ziemi, spodnie wyglądały tak samo. Buty całkiem się porozklejały i były rozerwane w kilku miejscach. Na twarzy Medison widać było szare zacieki od deszczu, jej włosy natomiast były potargane, zwisały żałośnie, układając się niedbale na ramionach.

W tym momencie drzwi łazienki otworzyły się i weszła przez nie Rebeka. Niosła ciemnoszary ręcznik, mydło i szampon do włosów. Medison zastanawiała się, skąd w tym domu damskie środki higieniczne. Podeszła do Rebeki i zabrała przyniesione przez nią rzeczy.

- Za pół godziny będzie drugie śniadanie, więc proszę się skierować do jadalni. To pomieszczenie usytuowane obok małego salonu na parterze. W razie problemów proszę mnie zawołać. Życzę miłej kąpieli - Rebeka recytowała te słowa jak wiersz, którego nauczyła się na pamięć.

- Nie ma sprawy. A skąd tu ten szampon? - Medison nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego

pytania.

Rebeka spuściła na chwilę głowę, a potem popatrzyła na Medison udręczonym wzrokiem, jakby szukając właściwej odpowiedzi na to pytanie. Nagle uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- To takie niezbędne rzeczy, zawsze się mogą przydać, prawda?

Uśmiech nie schodził z jej twarzy, jakby był wyuczony.

Medison zastanawiała się przez chwilę, czy wiecznie szczęśliwa postawa nie jest określona w regulaminie pracy służących w tym domu, a potem odpowiedziała: - Jasne. Poradzę sobie.

Poczekala, aż Rebeka wyjdzie, i zaczęła zrzucać z siebie ubrania. Napuściła do wanny gorącej wody i wlała trochę mydła. Woda zaczęła się pieniść, wydobywający się z niej zapach wanilii stawał się coraz intensywniejszy. W końcu wanna była pełna. Medison weszła do niej i zanurzyła się po szyję w gorącej wodzie. Wszystkie mięśnie jej ciała rozluźniły się, zapomniała o bólu, o troskach, o życiu. Teraz czuła tylko ciepło wody, wdychała przyjemny zapach wanilii. Zamknęła oczy. Jeśli tak miało wyglądać jej życie, to zgadzała się nawet na najgorsze docinki Daniela i Olivii.

Minął kwadrans, zanim Medison całkowicie się odprężyła.

Szybko umyła włosy migdałowym szamponem i wyszła z wanny. Niemalże natychmiast poczuła chłód atakujący każdy skrawek jej ciała. Nadpływał z każdej strony od ciemnozielonych kafelków. Medison owinęła się szczelnie ręcznikiem, osuszyła i nałożyła stare ubranie. Mimo że było brudne, po kąpieli w gorącej wodzie poczuła się o wiele lepiej.

Wytarła mokre włosy ręcznikiem, wypuściła wodę z wanny i wyszła z łazienki. Uderzył ją w oczy kontrast pomiędzy białymi drzwiami a czarną ścianą. Przeszła przez korytarz i zeszła po schodach. Środkowe drzwi prowadziły do salonu, więc te z prawej albo lewej strony są do jadalni. Otworzyła pierwsze, znajdujące się niedaleko schodów. Były one wykonane z jasnego dębowego drewna i rzeźbione podobnie do drzwi wejściowych.

Medison znalazła się w owalnym pomieszczeniu, które natychmiast uznała za jadalnię. Ściany nie były tu już tak ciemne jak w pozostałych częściach domu. Na każdej z nich wisiał obraz przedstawiający owoce lub średniowieczne uczy.

Panele skrzypiały lekko. Zdziwiło to Medison. Zaraz jednak zauważyła, że to nie panele, a jej rozdarte buty wydają tak dziwne odgłosy. Zwróciły one uwagę Daniela, który siedział na jednym z krzeseł przy kolistym stole. Spojrzał na nią znad papierów, które przeglądał. Przyjrzał się jej butom i prychnął.

- Siadaj - warknął.

Medison bez słowa usiadła na przeciwległym krańcu stołu.

Mebel ten był wykonany z drewna takiego samego koloru co ściany, podłoga i krzesła.

Minuty dłużyły się nieznośnie; zdawało się, że zegar wiszący naprzeciwko Medison stanął, a jego wskazówki nie zamierzają drgnąć. W końcu po pięciu minutach, które wydawały się jej wiecznością, weszła Rebeka, niosąc na dużej tacy dwa talerze wypełnione po brzegi jedzeniem. Jeden z nich postawiła przed Medison, a drugi przed Danielem, po czym wyszła z jadalni. Po chwili wróciła, niosąc filiżanki z herbatą.

- Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę zawołać - po raz kolejny uśmiechnęła się.

- Możesz już iść - warknął Daniel. Rebeka znikła za drzwiami.

- Nareszcie - wycedził Daniel, zabierając się do jedzenia.

- Mam już dość tych jej słodkich uśmieszków.

- Cóż, to, że przeszedłeś tyle operacji plastycznych i masz problemy z mimiką twarzy, nie jest już niczyją winą - zakpiła Medison, patrząc z zazdrością na jego bladą, gładką twarz.

Zdawała sobie sprawę, że nie przeszedł żadnego zabiegu upiększającego.

- Carpen, zachowuj się - zachichotał. - Wiem, że jakość tego jedzenia musiała cię wprowadzić w stan głębokiego szoku, jednakże chciałbym, abyś w mojej obecności zachowywała się kulturalnie.

- Chyba będę musiała wcześniej u ciebie zamieszkać - wypaliła natychmiast, czując, jak palą ją

policzki.

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się dziwnie duszno, powietrze zgęstniało.

Daniel zakrztusił się porcją sałatki, którą właśnie przełykał.

- Co? - wykrzyknął. - Ustaliliśmy, nie zamieszkaż tu nie wcześniej niż przed ślubem.

- To nie moja wina - warknęła. - To...

Daniel popatrzył na rękę, którą podniosła, aby napić się herbaty. Rękaw bluzy zsunął się, ukazując czerwone pręgi.

Nagle ciszę przerwał śmiech Daniela. Śmiał się tak mocno, że musiał oprzeć się o stół, bo jego krzesło zaczęło się niebezpiecznie trząść. Medison czuła, jak ogarnia ją gniew.

- A więc jednak - śmiał się nadal, ledwo mogąc mówić. -

A więc jednak.

W końcu uspokoił się, otarł z oczu łzy śmiechu i mówił dalej:

- Więc nocowałaś poza domem?

- Spostrzegawczy jesteś - wycedziła.

- No cóż, na początku myślałem, że po prostu straciłaś równowagę i wpadłaś w błoto - wyjaśnił. - A potem zaświtało mi w głowie... Chociaż nie sądziłem, że upadniesz aż tak nisko... A gdzie nocowałaś?

Powiedz... Umieram z ciekawości...

- Cóż... - Medison postanowiła, że nie będzie niczego ukrywała. - W parku.

- Ach... Nie ma to jak dobra szkoła życia - westchnął i wyglądał na rozmarzonego.

- Której ty nigdy nie miałaś - wycedziła.

- Nie narzekam na swoje życie - zmrużył swoje czarne oczy i ponownie zabrał się do jedzenia.

Medison postanowiła nie rezygnować.

- Więc co? - zapytała.

- Co: co? - zdziwił się Daniel.

- Naprawdę jesteś tak głupi, na jakiego wyglądasz? -

Medison spojrzała wymownie w sufit.

Teraz Daniel spojrzał na Medison z taką agresją w swoich czarnych oczach, że odruchowo cofnęła się na krześle. Mebel zaczął się niebezpiecznie trząść. Mroczne, gniewne spojrzenie Daniela nie traciło na intensywności, przeciwnie, widać w nim było coraz więcej agresji.

- Nie jestem głupi, Medison - odrzekł.

- Naprawdę tak cię to zabolowało? - zdziwiła się Medison i poczuła mściwą satysfakcję.

- Jest mi obojętne, kiedy się tu wprowadzisz, bylebyś nie wchodziła mi w drogę, rozumiemy się? - warknął.

Medison ponownie odskoczyła, zaskoczona tą nagłą zmianą.

- Jeszcze przed chwilą mówiłeś... - zaczęła, ale przerwał jej.

- Mam ci coś do pokazania - złowrogi ton jego głosu zawibrował w powietrzu. - Rebeko! Przynieś proszę prezent dla Medison.

- Jaki pre... - zaczęła, ale chwilę potem drzwi otworzyły się i weszła przez nie Rebeka.

- Proszę - powiedziała, cała zarumieniona. Medison siedziała z białym pudłem na kolanach.

Co to było?

- No dalej, Carpen, otwórz - ponownie zaśmiał się Daniel.

- Nie ugryzie cię. Najwyżej doznasz głębokiego szoku.

Medison ponownie spojrzała w te czarne oczy, kontrastujące z blond czupryną, i otworzyła pudło.

Rozdział VI

Niech czarne perły...

Przez każdą komórkę jej ciała przepłynął prąd. Czuła się, jakby wszystkie jej nerwy zamarły.

Co to miało być?!

Siedziała na pięknym drogim krześle przy stole z jedzeniem. Obok niej stała staruszka, jeszcze przed chwilą tak szczęśliwa, uśmiechnięta. Teraz szczęście ustępowało miejsca ni to zdziwieniu, ni to przerażeniu. Naprzeciwko niej siedział blondyn, którego czarne oczy wyrażały pogardę, usta były wykrzywione w szyderczym uśmiechu, który tak często u niego obserwowała.

A na jej kolanach w białym pudle, którego brzegi zdobiły złote litery, spoczywała suknia z czarnego materiału. Tak, to na pewno była suknia.

- Co to ma być?! - zapytała, wcale nie zdziwiona tym, że jej głos drży.

Daniel wzruszył ramionami.

- Zobacz sama - odparł.

Cały czas patrzyła w czarne oczy swojego wroga. Były jak zawsze zimne, obojętne. Martwe, niewyrażające żadnych emocji. Przez chwilę miała ochotę rzucić się na niego, wydrapać mu te oczy, aby ich miejsce zajęła ciepła czerwień krwi. Oparła się pokusie. Wstała i wyciągnęła suknię z pudła.

Nie mogła zaprzeczyć, że była piękna. Lśniąca, czarna, sięgająca do kostek, Ramiączka pokryte były małymi czarnymi perełkami, podobnie jak dekolt i dół sukienki. Na biodrach miała czarny pasek.

- Czarna - wyjąkała.

Nie była w stanie niczego powiedzieć. Po raz kolejny w tak krótkim okresie czasu walczyły w niej dwa uczucia. Jedno mówiło, aby podziękowała - suknia była piękna i na pewno bardzo droga. Drugie nadal uważało Daniela Brooginsa za nędzną szumowinę, której jedynymi celami w życiu były chęć zdobywania pieniędzy i dręczenie ludzi.

- Piękny kolor, nieprawdaż? - westchnął, przypatrując się sukni.

- Będzie odzwierciedlał twój charakter - wycedziła Medison. Ponownie spojrzała na dekolt wyszywany czarnymi perłami. Poczowała ucisk w sercu.

- Perły to łzy - starała się nie patrzeć mu w oczy. Na myśl o sukni czuła upokorzenie i smutek.

- Tak... - przyglądał się sukni z rozmarzeniem. - A czarne przynoszą nieszczęście.

- Dość! - moc, z jaką Medison wypowiedziała to słowo, zadziwiła ją samą. Nie mogła dłużej oglądać tego uśmiechu.

- Ten dzień to będzie spełnienie moich marzeń - wyszeptał, a jego oczy nagle się rozszerzyły. - Nie potrafię sobie wyobrazić tak zabawnego widoku. Medison Carpen w wieczorowej czarnej sukni wyszywanej czarnymi perłami. Kto by pomyślał, Carpen, kto by pomyślał...

Patrzył na nią oczami pełnymi złośliwej satysfakcji.

Czarne tęczęwki były jeszcze zimniejsze, płynął z nich złowrogi magnetyzm. Nikt nic nie mówił. Do oczu Medison cisnęły się łzy złości, do oczu Daniela - łzy śmiechu.

Jak dziwnie musiała wyglądać ta scena! Dwie postacie na dwóch końcach owalnego stołu, wrogo do siebie nastawione.

Pośród nich nic nieznacząca staruszka, patrząca to w jedną, to w drugą stronę z zatroskaną, niepewną miną. Powietrze gęstniało niebezpiecznie szybko, mgła zdawała się unosić w powietrzu, zatykając płuca.

- To ja... Ja może odniosę... - Rebeka podeszła i zabierała się za zbieranie z podłogi lekkiego materiału sukni, który przed chwilą wypadł z ręki Medison.

- Nie, nie, Rebeko! - Daniel nie mrugał oczyma, zdawał się też nie oddychać. - Przynieś jeszcze buty.

Teraz to Medison wstrzymała oddech. Buty? Jej przerażenie sięgnęło zenitu. Już wyobrażała sobie buty na wysokim, dziesięciocentymetrowym obcasie, wykonane z lekkiego jak suknia, czarnego materiału, na czubkach których lśniły czarne łzy.

- Nie, nie przynos - powiedziała bez emocji Medison. -

Nie ma takiej potrzeby

Po chwili znowu usiadła na krześle. Dopiero teraz zauważyła, że nogi trzęsą się jej jak galareta.

- Chciałabym omówić z Danielem poprzednią sprawę.

- Już mówiłem - Daniel też ponownie usiadł. Choć Medison była teraz biała jak ściany na korytarzu, on wyglądał, jakby nic się nie stało. - Jest mi obojętne, kiedy tu zamieszkasz, bylebyś mi nie wchodziła w drogę. I nawet nie waż się wchodzić do salonu, gdy ktoś u mnie będzie - nagle poczuł przerażenie na myśl o tym, że Medison mogłaby znaleźć się w tym samym pomieszczeniu co on i jego goście.

- Nie mam zamiaru przeszkadzać tobie i tym ludziom w interesach - warknęła.

- To dobrze. Mam nadzieję, że nie będę cię często oglądał.

- Ja ciebie też!

Jej wyobraźnia pomknęła jak szalona. W myślach ukazał się pokój o kasztanowych ścianach, na którego drewnianej, ogrzewanej podłodze leżał lśniący czerwony dywan. Na ścianach wisiały drogie, piękne obrazy, parapet obstawiony był kwiatami. Przez okno wlewały się strumienie zimnego słońca północnej Anglii...

Lecz nagle delikatny głos sprowadził ją na ziemię.

- Ja może pokażę... Pokój... - wyszeptała Rebeka.

Medison nie dała po sobie poznać, jak jest zaskoczona bądź zszokowana. „Za łatwo poszło” - myślała. - „Czy tu nie ma jakiegoś haczyka?”. Szybko zganiła się w duchu za takie myślenie. Daniel Broogins jest człowiekiem bezwzględny, lubiącym znęcać się nad innymi. Parę dni go nie zbawi, wykorzysta je, aby ją gnębić.

Parę dni...

Wstała z krzesła - nawet nie tknęła jedzenia. Była śmiertelnie głodna, ale nie chciała dać tego po sobie poznać.

Wiedziała, że w końcu jej organizm zaprotestuje, będzie rozpaczliwie domagał się porcji sytego posiłku. Żołądek już zaczynał skręcać się z głodu. Jednak z kamienną twarzą przeszła przez jadalnię. Medison miała wrażenie, że jest ona większa, przestronniejsza - w każdym razie wydało się jej, że dojście do pięknych drewnianych drzwi zajęło jej więcej czasu niż przedtem.

Zdążyła przyzwyczać się do cieplejszego wystroju jadalni, więc srogie ściany na korytarzu wywołały nieprzyjemne dreszcze na plecach. Była pewna, że nigdy nie przyzwycza się do zimna, które biło od ścian i czekało na ofiarę, pragnąc zaatakować każdy nieosłonięty skrawek jej ciała.

Począpała w rozklejonych butach za Rebeką. Droga po schodach była teraz strasznie męcząca i jakby dłuższa.

Postanowiła już nigdy nie chodzić po tym domu o pustym żołądku.

Za Rebeką skręciła w lewo. Ku jej uldze korytarz był cały biały, na tle ścian wyróżniały się tylko czarne drzwi. Korytarz też wydawał się - a może był - niezmiernie długi. Kroki odbijały się od jasnej podłogi, gdy mijala dziesiąte z kolei czarne drzwi. Przed jedenastymi Rebeka zatrzymała się.

- Ten chyba będzie najodpowiedniejszy - stwierdziła, nie patrząc na Medison.

Medison zdziwiło to, że wyboru jej pokoju dokonała Rebeka, a nie pan domu. Widocznie był zbyt zajęty, nie miał czasu na podejmowanie tak błahych decyzji.

Rebeka otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Za nią ostrożnie wkroczyła Medison. Wszystkie marzenia prysły w jakiś dziwny, nieokreślony sposób.

Obszerny pokój był całkowitym przeciwieństwem tego z jej marzeń. Ściany były ciemnozielone, drewno, po którym teraz stąpała, lśniące, błyszczące, koloru ciemnych kasztanów.

Na nim leżał czarny dywan - wznosił się nad nim uroczy zapach nowości, tak jakby nikt nie odwiedzał tego pokoju, nikt tu nie zaglądał... Ile takich pomieszczeń musiało być w tym wielkim, mrocznym domu?

Na ścianach, owszem, wisiały obrazy - niemal każdy miał czarne tło, na największym namalowany był szary wazon pełen dorodnych, błyszczących, czarnych lilii.

Jednak tak jak w całym domu, panował tu kontrast pomiędzy meblami a kolorystyką ścian i podłogi. Duże, podwójne łóżce było białe, okryte świecącą srebrną kołdrą.

Tego samego koloru poduszki leżały na fotelach stojących na środku pokoju przy białym stoliku do kawy. Półka na książki, stojąca przy drzwiach, była pusta, obok niej szafa na ubrania, która była jedynym ciemnym meblem - jednak gdy Medison podeszła bliżej, zauważyła, że jest ona po prostu zbudowana z grubego szkła, przez które widoczne były ściany.

Okno nad łóżkiem nie przepuszczało promieni słonecznych, widać było tylko czarne, ciężkie chmury - wychodziło na wschód. W tej części Anglii rzadko zdarzało się, aby poranek był słoneczny.

Chociaż pokój stanowił przeciwieństwo tego z jej marzeń, był na swój mroczny sposób piękny. Na początku kontrast pomiędzy białymi meblami a czarnymi ścianami i podłogą był nie do zniesienia, teraz jednak białe elementy wystroju zdawały się jaśnieć w ciemnościach, kolor ścian uspokajał, dając wrażenie bezpieczeństwa.

- Tu jest pięknie - Medison nie mogła powstrzymać się przed wypowiedzeniem tych słów, zaraz jednak pomyślała, że to obelga dla jej honoru.

- Rozdwojenie jaźni? - zapytała Rebeka miłym tonem.

Musiła wyczuć w jej słowach mieszaninę zachwytu i złości na samą siebie.

„Najprawdopodobniej” - pomyślała Medison i znowu zganiła się w duchu.

Chciała usiąść na pięknym łóżku, bała się jednak pobrudzić piękną srebrną pościel. Gdy spojrzała na półkę na książki, dotarło do niej, że nie ma przy sobie niczego - żadnych ubrań, przedmiotów.

- Mogę pani pomóc przynieść najpotrzebniejsze rzeczy - zaproponowała Rebeka.

„Czy ona czyta w myślach?”.

- Mogę przynieść wszystko sama - zaproponowała Medison.

Za nic w świecie nie mogła dopuścić do tego, aby Rebeka poszła z nią do jej domu. Po pierwsze: nie pozwoliłaby, aby ta wąła staruszka niosła do tego domu jej rzeczy - nawet jeśli już jest mieszkanką tego domu, a Rebeka służącą. Po drugie: chyba spaliłaby się ze wstydu. Tamten dom miał być nieprzyjemnym wspomnieniem,

o którym

powinna zapomnieć. Już nigdy więcej nie będzie oglądać brudnych koszy na śmieci, ścian pomazanych graffiti, wychudzonych szczurów, chowających się w studzienkach.

- Idę sama - oświadczyła z mocą i wybiegła z pokoju.

Dopiero z tej odległości zobaczyła, jaki ten korytarz jest długi - dziesięcioro drzwi mocno wybijających się na ścianach optycznie go wydłużało. Medison zaczęła powoli przemierzać korytarz. Gdy usłyszała, że Rebeka nie podąży za nią, puściła się biegiem. Przeleciała przez korytarz - czarne drzwi przelatowały jej przed oczami jak ciemne pociski. Zbiegła szybko po schodach, przeskoczyła ostatnie dwa stopnie i miękko wylądowała na czarnym dywanie. Dopadła do drzwi i wybiegła na zachmurzone podwórze. Zdała sobie sprawę, że bluza, którą miała na sobie, została w jadalni. Nie miała już jednak czasu, aby wrócić. Powietrze było wilgotne, chmury ciężkie, lada chwila mógł spaść deszcz.

Ponownie zaczęła biec, ale już w połowie drogi do domu straciła siły. Przemierzała więc ulice miasta wolnym krokiem, czekając na pierwsze krople deszczu. Los jednak był dla niej łaskawy i pozwolił przejść całą drogę do domu wolnym krokiem i w suchych ubraniach.

W końcu znalazła się przed znieawidzoną kamienicą.

Ściany, jak zwykle pomazane graffiti, napawały ją coraz większym obrzydzeniem. Po cudach, które zobaczyła w domu Daniela Brooginsa, nie mogła patrzeć na bluźnierstwa wypisane różnymi kolorami. Oczy zaszyły jej łzami od tej jaskrawej mieszaniny żółci, różu i zieleni. Zaczęła się zastanawiać, czy już zawsze będzie widziała kolory tylko na czarno i biało.

Drzwi otworzyły się z przerażającym zgrzytem, jakby zapraszając ją do środka. Szła teraz niepewnie po skrzypiących schodach. Nie pomyślała, że zaraz może zejść po nich mężczyzna, który jeszcze kilkanaście godzin temu pozostawił wyraźne czerwone ślady na jej nadgarstku.

Kamienica wyglądała jednak, jakby wymarła.

W końcu znalazła się przed drzwiami numer trzy. Były one uchylone. Z ciężkim sercem weszła do zadymionego mieszkania.

Pośród kłębow dymu tytoniowego zauważyła ciemną postać na kanapie. Na chwilę serce w niej zamarło, a na czoło wystąpiły zimne krople potu. Jednak Samuel Carpen nie ruszał się. Medison podeszła do niego na palcach, aż nieprzyjemny zapach stał się nie do zniesienia. Zebrała się w sobie i szturchnęła go w ramię. Nie poruszył się. Spał.

Wszystko wskazywało na to, że prześpi cały dzień i noc.

Jednak w każdej chwili szczęście mogło się od niej odwrócić.

Szybkim krokiem przeszła do małego pomieszczenia, które odkąd pamiętała, było jej pokojem. Teraz jednak pomieszczenie to wydawało się jej zupełnie obce. Mdły kolor ścian i łóżko przypominające to szpitalne...

Szybkim krokiem podeszła do szafki, w której znajdowały się jej ubrania. Wyciągnęła stamtąd szarą, połataną torbę podróżną i zaczęła pakować potrzebniejsze rzeczy. Dwie pary spodni na razie jej wystarczą - w końcu niedługo stanie się żoną Daniela, a według układu będzie miała pełny dostęp do jego fortuny. Wrzuciła jeszcze cztery bluzki z krótkim rękawem i dwie z długim. Prawie zapomniała o książkach - jedynych przyjaciołach w tym miejscu. Były już bardzo wysłużone. Pozostały jednak nieodłącznym elementem jej życia.

Do torby wrzuciła jeszcze spodnie od dresu oraz podkoszulek na ramiączkach, w którym spała, i zamszowe brązowe półbuty. Rozejrzała się po raz ostatni po tym pokoju - nie czuła jednak smutku czy żalu, tylko ulgę.

Zapięła szybko zamek torby i zarzuciła ją sobie na ramię.

Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy skrzypienie kanapy w saloniku. Serce podskoczyło jej do gardła. Cichym krokiem z ciężką torbą na ramieniu przeszła przez swój pokój i uchyliła drzwi. W salonie na kanapie nie było nikogo...

Czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Zsunęła pierścionek z palca i włożyła do kieszeni spodni. Skoro

nie było go w salonie na kanapie, a nie zmierzał również do jej pokoju, musiał znajdować się w kuchni, gdzie sączył wodę i przeklinał ból głowy. Nie wiedziała jednak, ile już tam siedział. Nie będzie jednak w nieskończoność czekała w pokoju.

Wyszła, a jej własne kroki na tej posadzce wydały się bardzo głośne. Podłoga skrzypiała przeraźliwie - a może to tylko wyczulone zmysły sprawiały, że słyszała każdy szmer, skrzypnięcie dziesięć razy głośniej... Nagle dotarły do niej odgłosy kroków na linoleum w kuchni. Stawały się coraz głośniejsze...

Każdy jej nerw napiął się do granic możliwości, wszystkie kończyny zeszywniały. Zapomniała o czterech kilogramach obciążenia na ramieniu, kuchenne drzwi skrzypnęły, a ona pokonała salon trzema szybkimi krokami, po czym z hukiem wyskoczyła na korytarz. Biegła po schodach, omal nie tracąc równowagi. W końcu otworzyła wyjściowe drzwi kamienicy, potknęła się o próg i upadła na zimny chodnik.

Podniosła się niezdarnie i poczuła piekący ból w nodze, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że spodnie rozdarły się na kolanie, ukazując stróżkę krwi spływającą z otarcia.

Przeklinając się w duchu, poprawiła torbę na ramieniu i odeszła ze swojego domu z nadzieją, że już nigdy do niego nie wróci. Szczęście już jej nie dopisywało, pierwsze ciężkie krople deszczu spadły na jej włosy. Chwilę potem rozpadało się na dobre, ból w kolanie wzrastał się, a torba na ramieniu sprawiała, że Medison ledwo utrzymywała równowagę, pochylając się niebezpiecznie na bok.

Omiatała krótkim spojrzeniem domy, a każdy kolejny zdawał się być schludniejszy od poprzedniego. W końcu mijala wille, które roztaczałyby nad poprzednimi wielkie cienie, górowałyby niczym zamki nad chatami zwykłych śmiertelników. Każdy był mroczniejszy od poprzedniego, jakby zamieszkiwał go jeszcze groźniejszy demon. W końcu dotarła do „swojego” nowego domu i natychmiast pomyślała, że wchodzi do paszczy lwa.

Czarne chmury wisiły nad miastem. Chwilę potem

pierwsza błyskawica przecięła niebo. Ciemne ściany pokoju nagle pojaśniały, rozległ się huk. Deszcz zaczął bębnić o parapet, wystukując głośną melodię, co jakiś czas przerywaną kolejnym grzmiotem.

Medison Carpen wydawało się, że życie w tym domu jest zbyt proste. W całej willi było bardzo cicho, ciemne ściany jej pokoju dawały klaustrofobiczne wrażenie bezpieczeństwa. Nie było żadnych krzyków, odgłosów bójek, które przez wiele lat stanowiły tło dźwiękowe jej życia. Spokój i cisza przez pierwsze kilka dni wydawały się jej nie do zniesienia.

Pierwsze kilka dni...

Pierwszy dzień w nowym domu minął zaskakująco szybko. Medison wróciła ociekająca deszczem i ze zgrozą zauważyła, że w domu jest jeszcze zimniej niż na zewnątrz.

Stojąc na czarnym dywanie, drżała z zimna. Oglądała piękne białe marmurowe ściany, a krople deszczu spływały po jej plecach. Nie zważając na to, że jej buty są brudne, wbiegła po schodach. Pędziła długim korytarzem i zatrzymała się przy jedenastych drzwiach. Lekko je pchnęła. W nowym pokoju właśnie krzątała się Rebeka. Czyściła i tak już lśniące szafki, odkurzała szczotką obrazy.

Kobieta obróciła się, usłyszawszy lekkie skrzypnięcie drzwi. Spojrzała z troską na przemoczoną postać Medison i wyszła z pokoju.

Medison weszła do pomieszczenia, położyła torbę na podłodze i usiadła na łóżku. Mokre ubranie kleiło się jej do skóry. Czuła dziwną, wręcz dziką radość, zmieszaną z niepewnością, strachem...

Wstała i rozpięła zamek błyskawiczny torby. Wyjęła pierwsze lepsze dzinsy i czerwoną bluzkę. Czym prędzej zdjęła przemoczone ubranie i zastąpiła je nowym. Suche spodnie i bluzka przyjemnie ogrzewały jej ciało. Mokre rzeczy rzuciła na łóżko, a pozostałe zaczęła wyjmować z torby.

Wkrótce na pięknych półkach szklanej szafy pojawiły się ubrania. Zwykłe ubrania, zupełnie niepasujące swoją prostotą do szafy i wystroju pomieszczenia. Wyglądały niemalże głupio na tle ciemnozielonej ściany. Książki ułożone na półce przy drzwiach idealnie zgrały się z kolorystyką pokoju.

Nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi. Jeszcze przez kilka sekund nie odrywała wzroku od pięknego pokoju.

Pukanie stawało się jednak coraz bardziej natarczywe.

Zamyślona otworzyła drzwi. Stała w nich Rebeka z pudłem w ręce, w którym musiała znajdować się suknia. Na myśl o niej Medison ponownie odczuła niską temperaturę panującą w pomieszczeniu, jednak gdy dobiegł do niej zapach ciepłego jedzenia, śliska napłynęła jej do ust.

Na tacy postawionej na pudle znajdowały się przeróżne potrawy.

- Pan Daniel powiedział, żebym przyniosła pani coś do jedzenia. Nie tknęła pani drugiego śniadania. I mam tu jeszcze coś - niepewnie spojrzała na Medison. Przeszła przez pokój i postawiła na nim pudło z tacą. - Jakby coś, to proszę wołać.

Medison tylko skinęła głową. Gdy Rebeka wyszła, szybko podeszła do tacy z jedzeniem. Możliwe, że to głód spowodował, iż jedzenie było takie pyszne, a może po prostu w tym domu wszystko miało być wyjątkowe, lepsze? Już po pięciu minutach odstawiła pusty talerz na stolik do kawy.

Niepewnie usiadła na łóżku i otworzyła pudło, w którym leżała suknia.

Piękny, lśniący materiał ponownie ją oszołomił. Dziwiła się, że coś może być lub wyglądać tak idealnie. Zamknęła oczy; chciała wyobrazić sobie siebie w tej sukni schodzącą po schodach. Jednak żaden obraz nie powstał. Nie mogła tak poruszyć swojej wyobraźni, aby zobaczyć siebie w jasnym świetle. Wszystkie jej wyobrażenia były przygnębiające i smutne.

Trzymała w dłoniach chłodny czarny materiał. Przyłożyła go do policzka - ponownie oszołomił ją swoją delikatnością.

Był tak lekki, tak przyjemny w dotyku... Jakby mógł zaraz zmienić się w czarną mgiełkę i rozpląnąć w powietrzu...

Po chwili wstała i podeszła do szafki, w której leżały jej ubrania. Zawiesiła suknię i omal nie wybuchła śmiechem, zobaczywszy kontrast między elegancją wieczorowego stroju a swoimi podartymi szmatami. Usiadła na fotelu. Skrzywiła się; był sztywny, tylko cienkie obszycie pozwalało usiedzieć w nim dłużej niż pół minuty. Podciągnęła nogi pod brodę i zaczęła wpatrywać się w ściany. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegła w nich zieleń. Zawsze wydawały jej się tylko zimne, czarne...

Wszystkie myśli odpływały, otaczała ją błoga cisza, przyjemnie napierająca na uszy. Ciemność opadała na jej oczy niczym lekki czarny woal. Spojrzała w okno i zauważyła, że zapadł zmrok. Chwilę potem ciszę rozproszył czyjś skrzekliwy głos.

- Kolacja... pani Carpen.

Lekko się uśmiechnęła, usłyszawszy swoje nazwisko.

Olivia bardzo zmuszała się do wypowiedzania go.

„Już niedługo nie będzie musiała” - pomyślała Medison.

Zaraz jednak zbeształa się za tę myśl - ona zawsze będzie Medison Carpen.

Wstała z fotela i przeciągnęła się. Całe ciało zeszywniało, nie wiedziała, przez ile godzin wpatrywała się w ścianę.

Pchnęła drzwi i wyszła na biały korytarz. Niemal przebiegła po podłodze, zostawiając za sobą głuchoe odgłosy stóp.

Zatrzymała się przed schodami - była tam rozlana kałuża wody, jakby ktoś przed chwilą je mył. Rzeczywiście - schody lśniły w blasku światła z żyrandola intensywniej niż kiedykolwiek. Ostrożnie zeszła na dół, otworzyła drzwi do jadalni i weszła do pomieszczenia.

Tym razem jadalnia była pusta, tylko przy jednym z krzeseł postawiony był talerz. Wyczuła zapach pieczonych jabłek, cynamonu i olejku waniliowego. W filiżance obok talerza była gorąca czekolada. Niepewnie zasiadła do wieczerzy. Kobieta stojąca w rogu pomieszczenia, której twarz była gładka, nienaznaczona żadną zmarszczką, była w stanie napluć do jedzenia bez najmniejszego zawahania.

Olivia jakby wyczuła tę niepewność. Uśmiechnęła się krzywo i powiedziała:

- To nie ja przygotowałam kolację. Rebeka ją przyrządziła, ja dopiero zjawiłam się w domu.

- To dobrze - odetchnęła z ulgą Medison. Zaraz jednak coś przyszło jej do głowy: - Na schodach jest rozlana woda.

- Wiem o tym - jad w jej głosie zdradzał, jak bardzo żałuje, że Medison nie sturlała się po stopniach. Przecież starcie krwi z białej podłogi i zniszczenie dowodów zbrodni nie zajęłoby wiele czasu. - Zaraz się tym zajmę.

Medison nadziała na widelec kawałek jabłka, gdy kolejne pytanie samo wyszło z jej ust: - A gdzie Daniel?

- Na ważnym spotkaniu. Wróci późno.

Medison uznała, że jej głowy nie zaprzęta już więcej pytań, na które już dzisiaj chciałaby poznać odpowiedź.

Wzięła do ust kęs pieczonego jabłka - przyjemny zapach wanilii i cynamonu uspokoiły ją, delikatne oświetlenie pomieszczenia pozwalało zapomnieć o kobiecie stojącej w rogu. Jedzenie było wyśmienite, ciepło wypełniało żołądek.

Gdy zjadła wszystko, wypła czekoladę. Nie chciało jej się wstać, ponownie wchodzić po schodach i zmierzać długim korytarzem do swojego pokoju. Marzyła tylko o tym, aby jakimś cudem nagle znaleźć się w ciepłym łóżku...

Z trudem podniosła się z krzesła. Spojrzała na miejsce, w którym powinna stać Olivia - służąca tkwiła tam, nadal wyprostowana. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, napięta.

Medison uśmiechnęła się do siebie i wyszła z jadalni na korytarz. Powoli zaczynała przyzwyczajać się do srogiego wystroju tego domu i zimna bijącego od każdej ściany. Na schodach nadal była kałuża wody. Weszła ostrożnie, trzymając się poręczy. Snuła się po korytarzu, aż dotarła do czarnych drzwi swojego pokoju. Lekko je pchnęła. Ponownie uderzył ją zapach nowości, choć teraz już mniej intensywny; stanowił tylko tło dla ciemnozielonych ścian. Medison wyjęła koszulkę i spodnie od dresu, które służyły jej za piżamę.

Przebrała się, lecz z każdym kolejnym ruchem czuła się coraz bardziej pobudzona. Zimno odgoniło senność, powieki przestały być ciężkie. Mimo to położyła się pod srebrną kołdrą.

Łóżko zdawało się być twarde, było jednak miękkie i przytulne. Cienka kołdra nie dawała jednak dostatecznej ochrony przed zimnem panującym w pokoju. Medison objęła nogi rękoma i po chwili przestała się trząść.

Przez dwie godziny przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Kołdra przejęła już ciepło od jej ciała, więc nie było jej zimno. W tym domu było zbyt cicho, zbyt spokojnie.

Żadnych odgłosów z zewnątrz, tak jakby znajdowała się w centrum jakiejś czarnej dziury, całkowicie odcięta od świata.

Ciemność i cisza były nie do zniesienia, wiedziała, że nie zaśnie. Szybkim ruchem ściągnęła z siebie kołdrę i zeszła z łóżka. Dreszcze przeszły po całym jej ciele. Objęła się tylko ramionami, przeklinając swoją głupotę: dlaczego u licha nie wzięła czegoś cieplejszego?!

Szczękając zębami, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Było tu jeszcze zimniej. Spojrzała na dziesiątki drzwi i ogarnęła ją ciekawość: co jeszcze może kryć się w tak wielkim domu?

Podeszła do drzwi usytuowanych obok jej pokoju.

Wyróżniały się na białym tle, lecz mniej wyraźnie niż w dzień. Otworzyła je i z zaciśniętymi zębami weszła do środka.

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia, a usta rozwarły na całą szerokość. Była to sypialnia, która jednak w niczym nie przypominała jej pokoju. Poczwała się, jakby weszła do jakiegoś lochu w średniowiecznym zamku.

Echo jej stóp rozchodziło się po kamiennej posadzce, odbijało od szarych kamiennych ścian. Na

środku pokoju wisiała czarna lampa, bardzo podobna do żyrandola wiszącego na dole. Łóżko również było z kamienia, podobnie jak meble: szafy, regały, komody i stół. Tylko czarna sofa wyróżniała się na tle surowego kamienia. Na każdej ścianie wisiały świece - teraz zgaszone, jednak było widać zastygły wosk.

Pokój przerażał nie tylko wystrojem, ale również temperaturą - było tu zimniej niż w reszcie domu. Poza tym był duży - większa jego część była pusta, meble stały przy ścianach. Medison podeszła do jednego z regałów, na którym stały oprawione w czarną i bordową skórę książki. Czyżby ten pokój ktoś już zajmował? Nie unosił się tu zapach nowości, jaki mogła jeszcze wyczuwać w swoim pokoju. Bardziej pachniało tu różami i drogimi męskimi perfumami.

Tuż obok niej było okno. Unoszący się tu zapach i adrenalina sprawiły, że nie czuła już chłodu. Otworzyła okno.

Od razu uderzył ją zapach świeżego powietrza po deszczu.

Przed nią rozpościerał się wspaniały krajobraz - taki, jakiego nie było jej dane oglądać z żadnego innego pomieszczenia w tym domu

Piękny ogród, teraz pogrążony w ciemnościach nocy, otoczony z każdej strony różami. Pośrodku stało wiekowe drzewo. Dreszcz przeszedł jej po plecach - drzewo sprawiało wrażenie umierającego - pozbawione liści, spróchniałe gałęzie ugiwały się pod powłoką czasu. Pod nim stała ławka - piękna, wykonana z czarnego (a przynajmniej ciemnego) drewna.

W oddali dostrzegła coś, co przeraziło ją jeszcze bardziej niż umierające drzewo, ciemność i majaczący w oddali las.

Przy płocie pośród róż po obu stronach drogiego fotela stały dwa nagrobki...

Wpatrywała się w groby, pod którymi leżały szczątki nieżywych ludzi. W tej samej chwili usłyszała skrzypienie otwierających się drewnianych drzwi...

Rozdział VII

Spójrz mi w oczy, a powiem ci, kim jesteś Pokój na chwilę rozmył się jej przed oczami. Przez ułamek sekundy widziała tylko rozmazane kamienne ściany, a potem wszystko wróciło do normy. Opierała się o parapet przy oknie, a w drzwiach stał nie kto inny, jak Daniel Broogins.

Ubrany był w białą koszulę i ciemnobezwowe spodnie, jakby właśnie wracał ze spotkania. Włosy były w zwykłym nieładzie, lekko rozczochrane. W świetle księżycy jego cera wyglądała na siną, oczy miał lekko podkrążone. Wyglądał jak postać z filmu grozy, jak wampir. Pomyślała, że powinien napawać ją przerażeniem, jednak nie czuła strachu. Nadal był bardzo przystojny.

Wiedziała, że stwierdziłaby tak każda zdrowa na umyśle kobieta, zganiła się jednak za taką myśl.

Daniel zatrzymał się w drzwiach. Przez chwilę na jego twarzy było widać zdziwienie. Zmrużył oczy. Było widać tylko czarne tęczęwki.

- Co ty tu robisz? - zapytał szorstko.

Nagle zimne powietrze na nowo zaczęło atakować jej nagie ramiona. Całe poczucie bezpieczeństwa, które niosła ze sobą ciemność, całe ciepło ulotniło się, gdy w drzwiach stanął jej demon.

- Nie mogłam zasnąć - wyjawiała szczerze. Jej głos trochę drżał. - To twój pokój?

Było to bardzo rzeczywiste, a jednocześnie irracjonalne.

Pokój Daniela mógł właśnie tak wyglądać - zimny tak jak on, mroczny. Z okna mógł podziwiać ogród rodem z horroru, patrzeć na te dwa nagrobki... Z drugiej strony - jego pokój obok pokoju Medison Carpen?

- Nie - jego twarz ponownie wykrzywił szyderczy uśmiech; pewnie pomyślał o tym samym. - Ale lubię tu przebywać.

Przeszedł obok niej obojętnie i usiadł na czarnej sofie.

Dopiero teraz zauważyła tacę z kryształowymi szklankami i butelkę bursztynowego alkoholu. Daniel nalał sobie trunku na spód szklanki, po czym upił odrobinę. Medison śledziła każdy jego ruch; były płynne, jakby codziennie tu pił. Nie mogła jednak wyobrazić sobie Daniela pijanego. Była pewna, że jest

jednym z tych, którzy piją eleganckie alkohole tylko dla towarzystwa lub w stresie. Zataczający się Daniel Broogins nie mógł dostać się do jej wyobraźni - gdy podnosił szklanekę do ust, jego ruchy były eleganckie, chociaż wydawał się być zmęczony.

- Piękny ogród, prawda? - zaśmiał się. Nie miała jednak wątpliwości, że to z niej się śmieje: z jej skupienia na jego ruchach i przerażenia, które wywołało jego nagłe pojawienie się.

- Tak - odparła, nadal spięta. - Czyje to groby? Tam, na tyłach ogrodu...

Daniel ponownie prychnął, zamknął oczy, rozkoszując się smakiem alkoholu. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili: - Moich rodziców - ton jego głosu był kpiący, pozbawiony szacunku.

Daniel spojrzał na jej zszokowany wyraz twarzy i zaśmiał się podle:

- Taak... Dwójka snobów... Nie ma to jak wypełnianie ich ostatniej woli... Nie znieśliby, gdyby pochowano ich na zwykłym cmentarzu, pośród normalnych śmiertelników...

Przecież oni byli nadludźmi, tyle dokonali...

Szydził z nich, w jego słowach wyczuwało się jednak gorzkość i żal. Medison po raz pierwszy pomyślała, że Daniel ma uczucia, chociaż były one tak głęboko ukryte, że wydobyć ich na zewnątrz i ukazać światu jest niemożliwe.

Nie chciała jednak dać po sobie poznać, że odkryła nowy fragment jego duszy, więc zakpiła: - A ty nie uważasz siebie za nadczłowieka? Zaciśnął szczęki i spojrzał na nią. Jego oczy przepełnione były wściekłością, gniewem oraz nieschowaną jeszcze nutą żalu.

Medison nabrała głośno powietrza, teraz już naprawdę przerażona. Jeszcze nigdy nie widziała go takiego wściekłego, tak bardzo podobnego do potwora, mordercy.

- Lepiej idź spać, Carpen, i naucz się, że życie to bardzo cenny dar - warknął.

Medison jeszcze przez chwilę stała, sparaliżowana strachem i jego groźbą. Miała nadzieję, że nie urzeczywistni się ona w realnym życiu, jednak patrząc na jego twarz, nie była tego pewna.

Wyszła z pokoju, czując, że życie w tym domu może nie być tak melancholijne i nudne, jakby się mogło zdawać.

Mroczne korytarze, mroczne pokoje, samotność... Do tego wszystkiego zdążyła się już przyzwyczaić. Z Danielem widywała się tylko podczas wspólnych posiłków, zdarzało się jednak, że o świcie wychodził z domu na spotkanie biznesowe, a wracał z niego po drugiej w nocy.

Ona również znalazła swoje ulubione miejsce w tym domu lub - mówiąc ściślej - na jego terenie. Gdy tylko kończyła posiłek, wychodziła do mrocznego ogrodu. Chociaż trawa po obu stronach domu była niewiarygodnie, absurdalnie wręcz zielona, ta w ogrodzie przypominała drzewo stojące pośrodku - była ciemna i poszarzała, sprawiała wrażenie umierającej.

Według Medison efekt ten był zamierzony. Sama zaczęła się zmieniać pod wpływem otoczenia. Polubiła szare, ciemne kolory,

czasami siadała

bibliotece

(osobnym pomieszczeniu, w którym lubiła przebywać nocami) i wpatrywała się w umierające spróchniałe drzewo - z okna biblioteki nie było widać grobów.

Gdy szła korytarzem z zamiarem ponownego udania się do mrocznego ogrodu, dotknęła ręką policzka. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jej ręce są chłodne, wręcz nienaturalnie lodowate. To głupie, o czym teraz pomyślała, ale

bała się, że z czasem coraz bardziej - jak Daniel - zacznie przypominać demona: jej oczy zrobią się ciemne jak noc, a sama posiędzie mroczny, czarny charakter. Prawda była jednak taka, że nieprzespane noce i chłód bijący od ścian sprawiły, że przyzwyczała się do zimna, nie odczuwała więc, iż jej organizm - w tym także dłonie - bronią się przed otoczeniem.

Otuliła się mocniej żakietem - w jej pokoju pojawiły się kupione przez Rebeke (na prośbę Daniela) nowe ubrania. W szklanej szafie nie było już wytartych dżinsów i bluzek, teraz leżały w niej, starannie poukładane, rzeczy najwyższej jakości.

- Pan Daniel kazał kupić pani ubrania - powiedziała Rebeka, gdy wczoraj wchodziła do jej pokoju, obładowana torbami. - Wzięłam rozmiar z pani rzeczy... Pan Daniel chce, żeby jego narzeczona... nosiła lepsze ubrania.

Medison natychmiast ujrzała w swojej wyobraźni Daniela mówiącego: „Kup Carpen kilka normalnych rzeczy. Chodzi w szmatach, gdyby przypadkiem ktoś ją zobaczył, musiałbym tłumaczyć, że przeżyła poważny szok, związany z jakimś wypadkiem”.

Spojrzała na wewnętrzną część dłoni. Wczoraj była na zdejmowaniu szwów, rany już prawie nie było widać.

Pozostała tylko jedna mała różowa blizna. W zamyśleniu pchnęła drzwi - wielkie, czarne, na których wyrzeźbiona była średniowieczna więzienna krata - i weszła do ogrodu.

Nie mogła powstrzymać westchnienia zachwytu. Za każdym razem, gdy tu przychodziła, nie była w stanie oderwać wzroku od krwistoczerwonych róż. Przeszła obok drzewa i wzdrygnęła się, czuła się, jakby przechodziła obok zwłok umarłego, którego dusza wciąż błąka się po otoczeniu. W końcu usiadła, tam gdzie zawsze - na fotelu pomiędzy dwoma pięknymi nagrobkami.

Oba wykonane były z kamienia, takiego samego, jaki pokrywał ściany owego pokoju, z którego był na nie tak dobry widok. Na każdym z nich leżał pęk krwistoczerwonych róż, a w wazonie stały sztuczne, lecz wyglądające jak prawdziwe, czarne róże. Na nagrobku po jej prawej stronie wyrzeźbiona została twarz kobiety. Przywodziła na myśl surową damę, sztywno trzymającą się zasad panujących w jej świecie.

Jednak gdy spojrzało się w jej oczy - martwe na kamieniu, ale przypominające oczy żywego człowieka - można było dostrzec smutek i samotność. Na drugim nagrobku również wyrzeźbiona była twarz. Oblicze mężczyzny, na które wolała nie patrzeć. Była ta twarz surowa, bezwzględna, gniewna.

Oblicze przystojnego mężczyzny, bardzo podobne do twarzy jego syna. Spojrzała na napis na grobie kobiety.

Orchidea Broogins

Ur. w 1953 roku

Zm. 3 VII 2006 roku

„Życie wieczne jest nam przeznaczone”

Wzdrygnęła się, zobaczywszy cytat pod datą śmierci matki Daniela. Teraz wiedziała, dlaczego mówił, że ona i jej mąż uważali się za nadludzi. Zerknęła na napisy na grobie mężczyzny.

Armand Broogins

Ur. w 1951 roku

Zm. 3 VII 2006 roku

„Życie wieczne jest nam przeznaczone”

Ten sam napis, ta sama data śmierci... To, jak umarli, nie było dla Medison żadną tajemnicą. Oryginalne, stare imiona, wzbudzające szacunek... Tak, z pewnością uważali, że są przeznaczeni do władzy, do sprawowania pieczy nad nieudacznikami. Dopiero gdy przekroczyli cienką granicę, gdy zaczęli posuwać się do oszustw, a nawet dokonywać aktów zła na bezbronnych, opierających się ich decyzji ludziach, stali się zwykłym śmiertelnikami.

Medison wstała z fotela i podeszła do klombu róż. Nie mogła uwierzyć, że pomimo rychłego nadejścia zimy kwiaty nie więdną. Ich łodygi powinny być już nagie, ale puszyste płatki róż chyba nie miały zamiaru opaść w najbliższej przyszłości. Czy powinna być zdziwiona? Tak bogaci ludzie musieli mieć tajemnice, swoje własne sposoby na zachowanie nienaganej estetyki otoczenia. Nawet przeczące prawom natury.

Wyciągnęła z kieszeni zakietu nożyczki, znalezione w kuchni ponad tydzień temu, i ucięła kilka czerwonych kwiatów. Uklękła i położyła je na grobach. Ci ludzie nic dla niej nie znaczyli, nie powinni. Czowała się jednak tak samotna jak ich szczątki przykryte ziemią, zabezpieczone przed zimnem. Nie mogła się powstrzymać przed złożeniem na grobach tej drobnej ofiary.

Wstała z zamiarem wrócenia do domu. Nad lasem gromadziły się już czarne chmury, zapowiadające kolejną wichurę. Zmierzały z zawrotną prędkością w stronę domu, przeganiał je ostry wiatr. Las, tak jak drzewo, wyglądał na wymarły. Iglaste drzewa były ciemne, liściaste sprawiały wrażenie umarłych. Medison odwróciła się w stronę domu i natychmiast zauważyła na tle okna - okna owego kamiennego pokoju - twarz. Strach chwycił ją za serce - oblicze to było białe niczym twarz trupa, czarne oczy wybijały się ostro na jej tle...

Odetchnęła z ulgą, dostrzegłszy blond włosy. Powinna była się domyślić, że to tylko Daniel. W jej wyobraźni układały się jednak coraz gorsze sceny, rodem z horrorów, w których dom ten był nawiedzony przez żądne krwi duchy i trupy. Biorąc pod uwagę wystrój willi, nie byłoby w tym nic dziwnego... Gdyby nie to, że Medison stąpała twardo po ziemi... „No i czego się boisz, idiotko?” - pytała w duchu samą siebie, gdy idąc w nocy ciemnym korytarzem, usłyszała ciche szmery. - „To tylko głupie odgłosy materii”.

Daniel uważnie ją obserwował. Nie wiedziała, od kiedy - czy zauważył, jak obcina kwiaty i kładzie je na grobach, czy też może dopiero podszedł do okna, aby tak jak ona obserwować nadchodzącą burzę? A może przez cały czas stał w oknie, niezauważony?

Nie chciała dłużej się nad tym zastanawiać, otuliła się szczelniej zakietem. Słyszcąc już było ciche grzmoty, jęki wiatru,

powietrze wilgotniało

z każdą sekundą.

Przemaszerowała przez ogród, wzdrygając się, jak zawsze, przy umierającym drzewie. Z ulgą weszła do domu, który teraz wydał się jej dziwnie ciepły. Dotarła do schodów, skakała po dwa stopnie naraz. Pobiegnęła korytarzem do swojego pokoju i pchnęła czarne drzwi. Sama nie wiedziała, dlaczego tak się spieszyła, wręcz miała wrażenie, że ucieka.

Usiadła zdyszana na miękkim łóżku i zaczęła głęboko oddychać. Jej spojrzenie na chwilę zatrzymało się na szafie, w której połyskiwała niezałożona dotąd suknia. Odwróciła od niej wzrok, czując niemiły skurcz w żołądku.

Już jutro...

Nieprzyjemne chwile, to, czego się boimy, zawsze

przychodzi szybciej. Świadomość, że to i tak się stanie, posuwa wskazówki zegara z zawrotną prędkością.

Jeszcze wczoraj składałaś kwiaty na grobach nieznanym ludzi, dzisiaj stoisz w swym pokoju, ubrana w piękną suknię...

Medison Carpen stała w swym pokoju niczym słup soli.

Po raz pierwszy założyła suknię, według niej przeklętą. Czerń była tak głęboka, że od patrzenia na nią bolały ją oczy. Sama Medison czuła się w niej niepewnie. Materiał był tak lekki, jakby rozpląwał się w powietrzu. Jakby delikatna, czarna mgiełka okalała jej ciało. Całe to wrażenie, uczucie błogości, tłumiał ból w stopach.

„Głupie buty” - przeklęła Medison w duchu. Ich siedmiocentymetrowe obcasy napawały ją głębokim przerażeniem. Każdy jej krok był niepewny, mógł oznaczać upadek, złamanie kręgosłupa, czyli paraliż lub śmierć. Choć dla osoby stojącej z boku strach Medison mógłby być powodem do śmiechu, jej samej łyzy cisnęły się do oczu, gdy pomyślała, że ma zejść w tych butach, w tej sukni (tak długiej, że i bez butów mogłaby się w niej zabić) po stromych marmurowych schodach.

Jeszcze chwilę patrzyła w okno niewidzącym wzrokiem.

W końcu usłyszała coraz mocniejsze pukanie do drzwi.

Podeszła do nich i otworzyła. Stała w nich Rebeka. Trzymała w rękach jakąś szkatułkę.

- Przyniosłam kosmetyki - powiedziała. Była cała rozpromieniona.

„Kosmetyki” - To słowo było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Medison wpadła w histerię.

- Kosmetyki?! - wrzasnęła. - Nigdy się nie malowałam!

Jej przerażenie sięgnęło zenitu. Nie dość, że miała zejść po schodach w tych koszmarnych butach i czarnej sukni, to musiała się jeszcze umalować! Jeśli nie włoży sobie tuszu do rzęs do oka i nie połknie szminki, stanie się cud.

- Niech się pani nie martwi - Rebeka nadal była uśmiechnięta, jednak twarz miała spiętą. - Przyproceedziłam profesjonalistkę.

Za drzwiami wychyliła się jakaś kobieta z mocno wytuszowanymi rzęsami i jaskraworóżową szminką na ustach.

Jej paznokcie miały taki sam kolor co szminka, cienie na powiekach były żółto - fioletowe, czerwona kreska zrobiona eyelinerem... Medison jeszcze nigdy nie spotkała tak dziwnej postaci. Jeśli ona za kilka minut również będzie tak wyglądać...

Kosmetyczka weszła śmiało do pokoju. Dotknęła twarzy Medison palcami zakończonymi długimi paznokciami (Medison dałaby sobie głowę uciąć, że to tipsy) i cmoknęła.

- Tu nie ma dużo roboty. Tylko lekko oczy i usta... No i paznokcie - skrzywiła się, gdy spojrziała na poobgryzane paznokcie Medison. - Zajmie mi to najwyżej piętnaście minut.

Piętnaście minut! A podobno „nie ma tu dużo do roboty”!

W takim razie ile trwa profesjonalnie wykonany makijaż, w którym „jest dużo do roboty”?

Coraz bardziej zdenerwowana Medison usiadła na swoim łóżku, a kosmetyczka usadowiła się ze szkatułką z kosmetykami naprzeciw niej.

- Proszę obrócić głowę w stronę światła - powiedziała, delikatnie obracając twarz Medison w kierunku okna. -

Cudownie.

trzeba kłaść podkładu, żadnych niedoskonałości... Tylko puder transparentny... Rzęsy wytuszujemy, a powieki lekko muśniemy grafitowym cieniem, usta na czerwono... Pokaż ząbki, kochanie... Och, ślicznie.

Do Medison nie docierało nic, co mówiła kosmetyczka.

Patrzyła nieprzytomnie w okno, podczas gdy kobieta dotykała jakąś gąbeczką jej twarzy. Ciemne chmury znów zbierały się nad miastem, teraz były już prawie czarne. Ciężkie obłoki, przykrywające błękit nieba... Tak jak teraz grafitowe cienie na powiekach, które zasłaniały ich naturalny odcień... Z zawrotną prędkością przesuwały się w stronę domu, tworząc nad nim spiralę... Jakby chciały powiedzieć, że niedługo nadejdą ciężkie i smutne czasy.

- Gotowe! - okrzyk kosmetyczki wyrwał ją z zamyślenia.

- Cudnie, muszę powiedzieć, że jestem z siebie bardzo zadowolona! Wygląda pani ślicznie! Proszę tylko spojrzeć!

Podążyła Medison lusterko.

Z początku chciała krzyknąć. Patrzyła na nią zupełnie inna twarz - na pierwszy rzut oka oblicze obcego człowieka, bo wciąż była to twarz Medison Carpen. Teraz jednak jej rzęsy były czarne, pogrubione i wydłużone, spojrzenie wydawało się głębsze. Grafitowe cienie nałożone na powieki były bardzo ciemne, idealnie pasowały do sukni. Kolor ust przypominał krwistą czerwień róż, które złożyła na grobach Orchidei i Armanda Brooginsów. Delikatny, transparentny puder sprawił, że cera Medison była trochę jaśniejsza niż w rzeczywistości, nie przybrała jednak niezdrowego, białego czy sinego koloru.

Może powinna była się wystraszyć? Nawet gdyby chciała, nie udałoby się jej to. Sama przed sobą nie mogła wyjść z zachwyty.

Podczas gdy ona wpatrywała się w swoje odbicie, kosmetyczka rozczesywała jej włosy, które miękkimi falami zaczęły opadać na jej nagie ramiona.

- Rozpuszczone będą dobre - mruknęła do siebie kosmetyczka. Wstała i schowała lustro do szkatułki. - Mam nadzieję, że się pani podoba.

- Tak... - mogłaby powiedzieć „bardzo”, ale to słowo dziwnym trafem nie chciało przejść jej przez gardło.

Kosmetyczka wyszła, urażona. Medison jeszcze przed kilka dobrych minut siedziała w pokoju. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. Był jej koloru, więc Medison w pierwszej chwili go nie zauważyła. Teraz jednak wpatrywała się w niego uparcie. Czas mijał szybko... Zbyt szybko.

Z sercem bijącym jak szalone wstała z łóżka i na miękkich nogach wyszła z pokoju. Nie pomyślała o tym, że na korytarzu, gdzie mają z Danielem witać gości, będzie bardzo zimno. Suknia na ramiączkach nie stanowiła dobrej ochrony przed panującym tu klimatem.

U stóp schodów stał już Daniel. Ubrany w czarny garnitur, jeszcze bardziej przypominał demona. Czerń tak bardzo pasowała do jego jasnej cery i czarnych oczu... Tylko blond włosy zdawały się bardziej niż zwykle kontrastować z jego ubiorem.

W końcu podtrzymując się na poręczy, Medison zaczęła niepewnie schodzić po schodach. „Nie myśl o butach” - powtarzała sobie w myślach. - „Nie myśl o butach...” I rzeczywiście, kiedy przestała myśleć o tym, że stąpa po schodach w butach na siedmiocentymetrowych obcasach, mogła iść swobodnie. Zeszła po schodach i rzuciła Danielowi Brooginsowi wściekłe spojrzenie, które natychmiast ustąpiło miejsca zdziwieniu.

Daniel Broogins stał obok niej jak zawsze wyprostowany, jednak w jego szlachetnej postawie można było się dopatrzyć trochę znudzenia, luzu. Ale nie to przykuło uwagę Medison.

Daniel nie patrzył na nią z nienawiścią ani nie uśmiechał się szyderczo. Ba, nie był to żaden ze znanych jej wyrazów twarzy. Zero kpiny, gniewu, złości, chęci mordy. Nie wiedzieć czemu jego rzęsy stały się jakby dłuższe (ale nie pociągnął ich tuszem! O, nie!), spojrzenie głębsze. Tęczówki jego oczu, tak czarne, że zlewały się w jedno ze źrenicami, były zagubione.

Kryło się w nich trochę zdziwienia, szoku, czegoś, czego nie potrafiła określić, i... zdezorientowania?

I... O Boże - podziwu!

Halo! Daniel, to ja! Medison Carpen, nie Eva Mendes!

Nie docierało do niej żadne racjonalne wytłumaczenie jego zachowania. Nie.. Jedno docierało, ale było tak śmieszne, że Medison musiała zacisnąć zęby, aby się nie uśmiechnąć.

Wtedy to on mógłby źle odebrać jej zachowanie.

Stała jak sparaliżowana, już nie jego zachowaniem, a mocą, magnetyzmem jego czarnych oczu. Oczu, które zawsze uważała za diabelskie, a które teraz wydały się jej niezwykle pociągające.

Lekko się do niej zbliżył. Jej serce przyśpieszyło.

„Spokojnie” - uspokajała się - „spokojnie”. Jednak gdy poczuła silny i - nie mogła uwierzyć, że tak właśnie myśli - niezwykle przyjemny zapach jego perfum, warknęła ostrzegawczo:

- I czego się tak gapisz?

Wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Zagościł na niej tak dobrze jej znany szyderczy uśmiech. Złośliwie zmrużył oczy.

- Cóż, nie ma się co łudzić - szepnął, a ona poczuła jego dziwnie gorący oddech na swoim policzku. -

Medison Carpen zawsze pozostanie TYLKO Medison Carpen.

To powiedziawszy, odsunął się od niej.

A ona nadal stała sparaliżowana, zapomniawszy o chłodzie, o tym, że jest ubrana tylko w zwiewną czarną suknię na cienkich ramiączkach. Jego zachowanie było co najmniej dziwne, jej - karygodne.

Medison coraz dotkliwiej odczuwała zimno panujące na korytarzu. Surowa biel tylko potęgowała to wrażenie. Gdyby ściany były w cieplejszych odcieniach...

Tym razem czas niemiłosiernie się ciągnął. Wskazówki zegara powieszzonego nad drzwiami zdawały się stać w miejscu. Gdy upłynęło dwadzieścia minut (a raczej pięć, jak wynikało z położenia wskazówek zegara), w końcu rozległ się pierwszy dzwonek do drzwi.

Odgłos gongu tak jak za pierwszym razem sprawił, że po plecach Medison przeszły niemiłe dreszcze. Choć nie był to odgłos przypominający drapanie paznokci po tablicy, wywoływał takie same wrażenia.

Olivia podbiegła do drzwi, nie zważając na Rebeke (która pełniła dziś razem z nią obowiązki służby) kierującą się już w ich stronę. Z eleganckim uśmiechem, lekko zniekształconym przez jej napiętą twarz, otworzyła i zaprosiła do środka parę elegancko ubranych ludzi.

Kobieta wyglądała na około trzydzieści lat, ubrana była w bordową suknię, wyszywaną drogimi czarnymi kamieniami.

Jej ubiór przykuwał uwagę, tak więc Medison dopiero po chwili dostrzegła, jak piękna jest właścicielka stroju. Miękkie kręcone włosy o miodowym odcieniu opadały schematycznie na ramiona. Bordowa szminka na ustach kobiety odcinała się od jej brzoskwiniowej cery, na powiekach miała złoto - beżowe cienie. Szła z nieludzką wręcz gracją, choć na nogach miała (jak Medison zauważyła przez przejrzysty dół sukni) buty na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Jej partner mniej rzucał się w oczy. Miał opaloną cerę, włosy w tym samym odcieniu co jego partnerka. Ubrany był w ciemnobieżowy garnitur. Szedł sztywny i wyprostowany. Nie był ani trochę podobny do Daniela, który stał obok Medison jak zawsze elegancki i wyluzowany.

Goście podeszli do Medison i Daniela. Ich uśmiechy były eleganckie i wyniosłe. Było widać, że to jedynie gra. Sztuczna maska zakrywająca ich prawdziwe, zapewne mroczne oblicza.

- Witam państwa - powiedział Daniel aksamitnym głosem, po czym delikatnie pocałował wyciągniętą rękę kobiety. - Medison, poznaj państwa Noble.

Jego głos był nadal tak niepokojąco aksamitny, tak miły dla uszu, że Medison nie mogła się powstrzymać, aby nie spojrzeć, jaką maskę ma na twarzy. Patrzył na panią Noble tak jak uprzednio na nią - ani cienia wrogości, zero szyderczego uśmiechu... W tym świetle jego czarne oczy nabrały nowego, magnetycznego wyrazu.

Z niechęcią zwróciła twarz ku państwu Noble. Próbowała przybrać taki wyraz twarzy jak kobieta:

wyniosły uśmiech, powaga, pewność siebie w oczach. Była niemal przekonana, że z tym makijażem wyszło jej to bardzo dobrze. Pani Noble pierwsza wysunęła ku niej dłoń. Medison uścisnęła ją krótko; ręka kobiety była szczupła i wiotka, a pomalowane na bordowo paznokcie - ostro zakończone.

- Eleanor Noble - przedstawiła się. Jej głos, tak jak twarz, był sztuczny i poważny. - Miło mi cię poznać, Medison.

Nawet nie wiesz, jakim szokiem jest dla mnie to wydarzenie.

Jednak widzę, że będziesz dla Daniela dobrą żoną...

- Taak... - westchnęła Medison. „Z pewnością będę wymarzoną żoną” - pomyślała. W końcu która tolerowałaby skoki w bok i poniżenia, jak nie Medison Carpen?

- Mój mąż - powiedziała Eleanor Noble, wskazując na swojego złotowłosego towarzysza, który lekko musnął wargami jej dłoń. - Oboje jesteśmy zaszczyceni, że możemy być na tym przyjęciu. Podobno Daniel nie zaprosił zbyt wielu gości...

- Nie - odrzekł Daniel. - Chciałem, aby to była skromna uroczystość.

- Też tak uważam - przytaknęła Eleanor takim głosem, że Medison zrobiło się niedobrze - tyle było w nim słodyczy.

Chwilę potem podeszła do nich Olivia. Jej twarz była rozpromieniona, lecz poważna; zapewne chciała dostosować się do sytuacji.

- Może zaprowadzę państwa do salonu? - zaproponowała.

- Tak, zaprowadź państwa, Olivio - rzekł Daniel. - Ja i moja narzeczona musimy przywitać pozostałych gości - dodał, bo w tym samym momencie rozległ się ogłuszający odgłos gongu.

Medison zdziwiło, że przyjęcie odbędzie się w salonie.

Daniel musiał zaprosić naprawdę niewielu gości, samo przyjęcie zapowiadało się według niej bardzo nieciekawie. Co można robić przez kilka godzin w ciasnym saloniku?

Zanim jednak zdążyła rozważyć ten problem, Rebeka otworzyła drzwi. Weszła nowa para. Kobieta w kremowej sukni sięgającej kostek, ze złotymi bransoletami na opalonych nadgarstkach, przypominała jej Kleopatrze. Włosy miała czarne, niesięgające ramion. Do tego prosta grzywka i oczy obwiedzione czarną kredką. Wrażenie potęgowała złota biżuteria: bransolety, naszyjniki, pierścionki, kolczyki...

O ile kobieta wyglądała młodo, miała może dwadzieścia pięć lat, jej towarzysz był co najmniej dziesięć lat starszy.

Miał brązowe włosy i bystre oczy tego samego koloru.

Również był sztywny - tak jak jego poprzednik ubrany w ciemny garnitur.

Oni też podeszli do Medison i Daniela. Kobieta uśmiechała się szeroko, trudno było przypuszczać, że jest to uśmiech wymuszony. Twarz jej towarzysza była natomiast znudzona, tak przymrużył oczy, że było widać tylko brązowe tęczęwki.

Tak jak poprzednio, Daniel lekko pocałował dłoń kobiety i przywitał się z mężczyzną. Medison zauważyła, że oczy tej pani są czarne, nie mają jednak takiej mocy jak oczy Daniela.

- To są państwo Grave - aksamitny głos Dana rozniósł się cichym echem po korytarzu. - Pragnę wam przedstawić moją narzeczoną, Medison.

- Jak miło cię poznać! - głos kobiety był lekko zachrypnięty. Było w nim coś serdecznego, dziecięcego.

- Tak się cieszę... Daniel tak długo był sam... To znaczy... - lekko się zająknęła, jakby powiedziała o jedno słowo za dużo.

Chwilowe zmieszanie na jej twarzy szybko ustąpiło miejsca radości. - Och, Medison... Wybacz mi śmiałość, jestem Madeleine! To mój mąż, Christopher - ten, znudzony i zażenowany postawą swojej żony, skinął lekko głową. -

Wydajesz się taka pogodna, wprost idealna dla Dana! Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoich rodziców! Będą tutaj?

Bezpośredniość Madeleine, która na początku ucieszyła Medison, teraz stała się kłopotliwa i dla niej, i

dla Dana. „Nie, moja matka uciekła do innego kraju, jest tam bardzo szczęśliwa, a ojciec właśnie leży w domu pijany albo wymiotuje. Nie, raczej nie przyjdą” - Medison korciło, żeby tak odpowiedzieć, ale ani jej, ani Danielowi nie wyszłoby to na dobre.

- Niestety, rodzice Medison zginęli trzy lata temu - wyjaśnił Daniel nadal tym samym głosem, w którym jednak kryła się nutka napięcia. - Nie chcielibyśmy rozmawiać na ten temat. Moja narzeczona nadal cierpi nad ich stratą.

- Och, oczywiście, przepraszam! - Madeleine lekko objęła Medison, którą ten fakt tak zaskoczył, że aż otworzyła usta.

Opamiętała się jednak i odpowiedziała: - Tak, bardzo mi trudno...

A więc jej rodzice zginęli trzy lata temu... Historyjka wymyślona przez Daniela była tak straszna, że poczuła dreszcze. Tak, nienawidziła swojego ojca, do matki też nie czuła nic specjalnego... Ot, kobieta i mężczyzna, którzy zmienili jej życie w piekło. Jednak fakt, że mogliby nie żyć, przestać istnieć... Ta myśl raniła jej serce jak sztylet.

- Widać, że jesteście sobie przeznaczeni! Przyszłość kryje się w gwiazdach, a one muszą wam sprzyjać! Widać, jak się kochacie! - szczebiotała Madeleine swoim zachrypniętym głosem.

„Tak, gwiazdy rzeczywiście sprzyjają mi od urodzenia” - kolejna myśl, którą zapragnęła wypowiedzieć Medison, utknęła jej w gardle i wywołała uśmiech na twarzy. W tym samym czasie Daniel objął ją w talii.

- Tak, nie spotkałem drugiej takiej osoby jak Medison - jego aksamitny głos miło ocierał się o jej uszy, tak bardzo pasował do tej absurdalnej sytuacji.

„Tak, z pewnością nie poznałeś drugiej takiej osoby”.

Kąciki ust Medison lekko drgały, gdy o tym myślała.

- Zaprowadzę państwa do salonu - zaproponowała Rebeka, która nagle się przy nich znalazła.

- Chodźmy - Madeleine jeszcze raz uściśniła Medison i razem ze swoim mężem, który patrzył na Medison, jakby chciał ją w ten sposób zabić, poszła za Rebeką do salonu.

Gdy zniknęli za drzwiami, Daniel prychnął.

- Niepoprawna optymistka - zakpił.

- Chyba najnormalniejsza z całego towarzystwa - odgryzła się Medison.

Bardzo szybko okazało się, że ma rację. Reszta gości - około sześćdziesięciu osób (Medison nie wiedziała, jak pomieszcza się w małym saloniku) - była sztywna i poważna.

Wszystkie nazwiska miały podobne znaczenie, tak samo jak wyszukane imiona. Poznała już dwie Eleonory, trzy Elizabeth, pięć Alice, jedną Francescę i przynajmniej pięć Katherine.

Męskie imiona nie odbiegały od damskich: wszędzie roiło się od Christopherów, Edwardów, Benjaminów, Williamów, Isaaców i Aaronów. Wszyscy tak samo sztywni, tylko jeden samotny chłopak był z charakteru podobny do Madeleine.

Michael, przystojny szatyn o intensywnie zielonych oczach i lekko śniadej cerze jako jedyny zaczął rozpływać się nad jej urodą i szczęściem, jakie spotkało Daniela. Na początku trudno było ustalić, czy to uprzejmość, czy kpiny, potem jednak Medison uznała, że ma on duszę kobieciarza. Oprócz Michaela zapamiętała jeszcze jednego mężczyznę: Maxa Mercuriala, tęgiego trzydziestolatka, bliskiego przyjaciela Daniela („Jeśli ktoś taki jak on może mieć przyjaciół” - pomyślała Medison). Był to ów człowiek, którego widziała w pubie i z którym założył się jej przyszły mąż. Była pewna, że Daniel zaprosił go tylko po to, aby zobaczyć, kto wygra zakład.

- To już chyba wszyscy - zakomunikował Daniel po upływie pół godziny. Medison odetchnęła z ulgą. - Zmęczona?

To początek wieczoru - zakpił.

- Nie jestem zmęczona - odpowiedziała. Mówiła prawdę.

Była zbyt zdenerwowana, aby odczuwać zmęczenie. - Jest mi tylko strasznie zimno. Kupiłeś tę suknię,

a nie pomyślałeś o żadnym nakryciu, idioto!

- Licz się ze słowami, czekają na ciebie porządni ludzie -

Daniel spojrzął na Medison. I znowu, tak jak na początku, jego oczy wzbudziły w niej niepokój. Ponownie objął ją w talii i uśmiechnął się; nie drwiąco, szyderczo, bez cienia kpiny. Demoniczny magnetyzm jego czarnych oczu niebezpiecznie przyciągał. - Idziemy do salonu - zakomunikował i poprowadził ją w stronę innych drzwi, których przedtem nie zauważyła.

Rozdział VIII

Skaza na honorze raną w sercu Jedno było pewnie: nie był to salon, w którym zapachy kadzideł drażniły nozdrza, a ciepło z kominka chłostało po twarzy i rzucało światło na ciemne ściany.

Ten pokój był zupełnie inny. Ściany miały kremowy odcień: nie drażnił on oczu, w pokoju było jasno i przyjemnie.

Pomieszczenie było obszerne. Ze środka sufitu zwisał żyrandol; mniejsza wersja tego z korytarza, pod którym niedawno się znajdowali. Nie było tu jednego drewnianego stołu, jego miejsce zajmowała cała masa złotych stolików na cienkich nóżkach. Przy każdym z nich stała kanapa obita w kremowo - złoty materiał. Pod ścianą stał stół z jedzeniem.

Nikogo nie zdziwiło ich pojawienie się, nawet nikt ich nie zauważył. Wszyscy byli pochłonięci rozmową, stali z kieliszkami szampana w ręku i słuchali przemowy swoich towarzyszy. Pośród tych szeptów słysząc było jakąś melodię - dopiero po chwili Medison zauważyła, że w rogu przy białym fortepianie siedzi mężczyzna i wystukuje na klawiszach jakąś skomplikowaną melodię.

Całe to przyjęcie przypominało Medison bal z Dumy i uprzedzenia. Goście tak samo sztywni, dumni niczym pan Darcy, wystrojone kobiety. Nikt jednak nie tańczył, pochłonięty konwersacją z towarzyszem na temat polityki i biznesu.

Razem z Danielem, mistrzowsko odgrywającym rolę „kochającego narzeczonego”, przeszła przed salon. Podeszli do jednego ze stolików, większego niż pozostałe, na którym stały kieliszki z szampanem. Daniel wziął jeden dla siebie oraz drugi dla Medison. Ta jednak gdy tylko wyczuła zapach alkoholu, skrzywiła się.

- Nie piję - wycodziła przez zęby. Daniel spojrzął na nią, a jego twarz ponownie wykrzywił kpiący uśmiešek. Odłożył jeden z kieliszków i szepnął: - Rzeczywiście, ze względu na geny lepiej nie prowokować twojego organizmu...

Stali tak przez jakieś piętnaście minut i dopiero po pewnym czasie, gdy goście zaczęli szukać nowych towarzyszy do rozmowy, Medison poczuła drażniące, ostre zapachy drogich perfum, które mieszały się ze sobą, co przyprawiało ją o mdłości. Robiło się coraz ciemniej i zimniej, zapragnęła znaleźć się w ciepłym, małym saloniku.

Po pół godzinie podeszła do nich kobieta ubrana w liliową suknię do kolan. Miała jasną, brzoskwiniową cerę, blond włosy spływały długimi falami po jej plecach i ramionach.

Uśmiechnęła się lekko do Medison, po czym jej błękitne oczy wręcz utonęły w czarnych tęczówkach Daniela.

- Miło cię ponownie widzieć, Danielu - powiedziała słodkim, piszczącym głosem.

- Ciebie również, Francesco - odrzekł Daniel tym samym pięknym, aksamitnym głosem, którym uprzednio witał gości.

Uśmiechnął się przy tym do niej w taki sposób, że dotąd jasnobrzoskwiniowe

policzki

momentalnie pociemniały do barwy dojrzałych, czerwonych wiśni.

- To doprawdy niesamowite, jesteście tak dobraną parą... - zaszcebiotała, chociaż spojrzenie, jakim chwilę potem obdarzyła Medison, mówiło, że ona i tak byłaby odpowiedniejsza.

- Razem z Medison bardzo cieszymy się, że możemy cię gościć... Ciebie i twojego brata, Michaela - dodał pośpiesznie, bo w tym samym momencie przy boku Franceski pojawił się ów przystojny szatyn, który rozwodził się nad urodą Medison.

- Wspaniałe przyjęcie, Danielu - głos Michaela, niemal tak miękki jak Dana, pieścił uszy pośród ogólnego gwaru. -

Jednak trzeba przyznać, że gwiazdą tego dnia jest twoja piękna narzeczona, której uroda spływa na wszystkich gości niczym blask słońca.

- Bardzo miło mi to słyszeć - odrzekła zmieszana Medison. Metafory używane przez Michaela bardzo odbiegały od jej codziennego języka. Spojrzała ukradkiem na Daniela; mocno zaciskał zęby, najwyraźniej starając się nie roześmiać.

- Muszę ci powiedzieć, Medison, że twoje imię na modłę wiosennego poranka budzi do życia cały artystyczny świat.

Rozkosznie było mi słyszeć, że postać taka jak ty znajdzie się w gremium osób, do których i ja przynależę. Znając Daniela, wiedziałem, jak wiele musi was jednoczyć - on nigdy nie obrałby sobie za kapłankę domowego ogniska osoby tego niegodnej. Muszę przyznać, że wzbiera we mnie zawiść, gdy słyszę wasze imiona łączone jednym nazwiskiem. Pozostaje mi jednak wieszować mu tak wyśmienitego wyboru oraz nawiedzać was, aby oglądać twoje oblicze.

Przez dłuższą chwilę cała trójka stała, oczekując reakcji Medison na tę wypowiedź. Ona jednak była niczym sparaliżowana, czuła, jak powoli oblewa ją rumieniec. Jej ubogie słownictwo zaczęło dawać się we znaki. Nie śmiała nawet się domyślać, o co chodziło Michaelowi. Mogła tylko patrzeć, jak kąciaki warg Franceski podnoszą się ku górze w złośliwym uśmiechu. Michael wpatrywał się w nią oczekująco, Daniel natomiast nie okazywał żadnych emocji.

Tylko jego dłoń boleśnie zacisnęła się na ramieniu Medison.

Cisza przedłużała się nieubłaganie, napięcie narastało, a twarz Medison coraz szybciej zmieniała barwę z czerwonej na białą. Można było poczuć nitki elektryczności, które przemieszczały się pomiędzy ich oczekującymi ciałami. W końcu, po około czterech minutach krępującej ciszy, odezwał się Daniel:

- Miło nam to słyszeć, moja narzeczona nie jest przyzwyczajona do takich uwag.

Uśmiech Michaela można było interpretować różnie. Był on i kpiący, i uprzejmy.

- Czyżbyś nigdy nie powiedział jej komplementów, Danielu? - zapytał Michael, szczerze zdziwiony. - Chyba nie doceniasz daru, jakim ona dla ciebie jest.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że Medison jest skromną osobą, która przepada za normalną konwersacją, więc twój kwiecisty język na nic się tu nie zda - Daniel niemalże warczał. Po raz pierwszy od tych kilku minut jego twarz zaczęła zdradzać jakiegokolwiek emocje.

Pomiędzy mężczyznami aż huczało. Medison wyczuwała napięcie między nimi, niewidzialne błyskawice ciskane przez ich oczy. Twarz Michaela stała się jakby bardziej dzika, przez co mniej atrakcyjna. Daniel wręcz przeciwnie - mimo że pobladł, wyglądał jeszcze bardziej elegancko, mrocznie, przystojniej.

- Chyba musimy już was zostawić - Francesca spojrzała przestraszona na brata. Wyglądała tak słodko i dziecinnie, że Medison zabrało się na wymioty. - Mamy pewne sprawy do obgadania z Eleanor Noble - powiedziała i pociągnęła za sobą Michaela.

Wszelkie emocje nareszcie opadły. Znowu stali naprzeciw siebie, nikt nie zauważył tego małego zamieszania.

- Co ciekawego miał mi do przekazania Michael, czego nie zrozumiałam? - Medison zapytała Daniela.

- Nic, co by do ciebie pasowało - prychnął. - Wziął cię za elegancką i wartą uwagi kobietę. Francesca

nie uważa, abyś była mnie godna. Jej brat ma wręcz odwrotne zdanie - sądzi, że to ja nie jestem godzien ciebie - znowu prychnął, patrząc przy tym na Medison tak dzikim wzrokiem, że aż przeszły ją ciarki.

- Dlaczego... - Medison nie zdążyła dokończyć zdania, bo obok Daniela pojawił się Max. Był czerwony na twarzy, miał lekko przekrwione oczy; najwyraźniej wypił już sporo mocniejszych drinków, do których miał słabość.

- Czy mogłabyś na chwilę nas zostawić, Medison? - zapytał Max.

Spojrzała niepewnie na Daniela. Ten skinął lekko głową, tak że nikt inny nie mógł tego zauważyć. Odeszła więc od nich i usiadła przy jednym z wolnych stolików, ciesząc się chwilą samotności. Tutaj wyraźnie było słychać wolną melodię wygrywaną na pianinie. Była jak balsam dla uszu pośród gwaru beznadziejnych rozmów. Medison zamknęła oczy i starając się nie odpłynąć, zaczęła wsłuchiwać się w rozmowę dwóch kobiet siedzących nieopodal jej stolika.

- ...Dziewczyna chyba nie wie, co ją czeka - mówiła pierwsza niskim, poważnym głosem. - Wyobraża sobie nie wiadomo co!

- Omotał ją tak jak inne - głos drugiej kobiety był nieprzyjemnie dziecinny i wysoki. - Ale z drugiej strony... Po co mu ślub?

- Może wpadł w kłopoty finansowe? - spytała pierwsza.

- Raczej nie. Ojciec mi mówił, że Daniel zamierza powiększyć rodzinną sieć banków. Już na całe dni wychodzi na zebrania w tej sprawie...

- Mniejsza z tym - do rozmowy wtrąciła się trzecia kobieta, w której głosie Medison rozpoznała Francescę. -

Medison jest zaślepiona, każdy to widzi. Nadal będzie jedną z wielu, myślę, że to nie ulega wątpliwości, a ona chyba też o tym wie.

Medison poczuła na swojej szyi ich palący wzrok i czym prędzej otworzyła oczy. Zamierzała wstać, ale naprzeciwko niej siedział nie kto inny, jak Michael. Wpatrywał się w nią swoimi intensywnie zielonymi oczami, które jednak były mniej intrygujące niż czarne oczy Daniela. Włosy młodzieńca, który miał pewnie nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, opadały niedbale na czoło.

- Musisz pięknie wyglądać, gdy śpisz - uśmiechnął się lekko, a Medison zarumieniła się od tej uwagi. Niemniej kojarzyła już, o co chodziło Michaelowi, gdy mówił, że Daniel nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną.

- Czy to prawda, o czym mówiła twoja siostra, Francesca - spytała, starając się, aby jej twarz nie zdradzała żadnych emocji - że będę jedną z wielu?

Michael zamyślił się na chwilę. Teatralnie zmrużył oczy i podparł brodę ręką. Następnie znowu się uśmiechnął i odpowiedział:

- Nie od dziś wiadomo, że Daniel ma pociąg do kobiet, wszystkich więc zaskoczyła wiadomość o zaręczynach...

- Daniel - kobieciarz... - Medison skarciła się w myślach, że ta odpowiedź tak wolno pojawiła się w jej głowie. - No, no, no...

- Nie przeszkadza ci to? - w jego pewnym głosie zabrzmiała nutka zdziwienia. Szybko się jednak zreflektował.

- Gdybyś miała dość, wiedz, że...

- Czego Medison ma mieć dość?

Daniel wyrósł jak spod ziemi. Miał niepewną minę, wpatrywał się to w Michaela, to w Medison, oczekując odpowiedzi.

Medison poczuła, że znowu się rumieni. Ciepło nieprzyjemnie szybko rozlewało się po jej policzkach i szyi.

Michael szybko jednak odpowiedział: - Pytałem Medison, czy nie ma dość tej pochmurnej pogody. Wiesz przecież, że mogę wam załatwić najlepsze miejsca w hotelach na Lanzarotte i Karaibach, więc...

- Mnie i Medison bardzo odpowiada tutejszy klimat, niemniej dziękujemy za propozycję - głos Daniela

był wyprany z emocji, mówił jak robot - tylko dlaczego?

- Będziemy się już zbierać - oznajmił Michael. -

Wspaniałe przyjęcie, jednak wszystko, co dobre, szybko się kończy. Mam jednak nadzieję, że nasza znajomość będzie bardzo długo trwała, Medison. To była największa przyjemność spotkać siebie - rzekł, muskając ustami jej rękę.

- I nawzajem - Medison czuła się pewniej, używając popularnych zwrotów.

Goście zaczęli się rozchodzić. W końcu salon opustoszał.

Medison chciała już wyjść z tego pomieszczenia, które nagle wydawało się jej dziwnie gorące. Jak przyjemnie byłoby znaleźć się na korytarzu. Jedna stopa do przodu...

- Myślę, że wpadłaś Michaelowi w oko - głos Daniela był jak wcześniej przyjemnie aksamitny, Medison mogłaby jednak przysiąc, że jest troszkę zniekształcony.

- Również tak myślę - odrzekła, zanim zdążyła ugryźć się w język. Jak mógł na to zareagować?

W ogóle nie zareagował. Daniel Broogins wyszedł z salonu pierwszy, z twarzą lekko zniekształconą bólem.

Powietrze było ostre i zimne, słońce jednak nie zwracało

na to najmniejszej uwagi. Przygrzewało z niespodziewaną mocą jak na tę porę roku - zbliżała się zima, a wraz z nią data ślubu.

Medison coraz częściej bolała głowa. Polubiła, pokochała te szare dni, krople deszczu skrzące się na szybach w jej pokoju. Jak grom z jasnego nieba spadło na nią to przerażająco jaskrawe światło, ostre, jasne, ale niebywale ciepłe. Nie była przygotowana na taką zmianę.

Inni mieszkańcy domu również zaniepokoiili się tą zmianą pogody - Daniel, kochający mrok, przez cały czas narzekał na światło, które raziło go w oczy. Wciąż je mrużył i gdy tylko mógł, przesiadywał w małym salonie pozbawionym okien.

Rebeka miała spokojną, ale dość ekscentryczną naturę - jak Daniel kochała deszcz, burze i ciężkie, szare chmury, które tak często mogła oglądać przez okno w kuchni, wychodzące na zachód - z tamtej strony, tak jak i z okna Medison, widoczny był ciemny mieszany las. Rebeka musiała teraz pracować na dwie zmiany w tym ogromnym domu, ponieważ Olivia również zrzędziła i narzekała na słońce, choć z innych powodów. Jej skóra była zbyt delikatna, a w kuchni, gdzie zawsze pracowała, było tak dużo okien... Przecież mogłaby doznać poparzenia!

Rozdrażnienie udzielało się więc wszystkim, najbardziej jednak Medison i Danielowi. Medison cały czas myślała o ślubie - o tłumie gości, o sobie w białej sukni, o tym całym przyjęciu i pokerowej twarzy jej męża. Wiedziała, że ten dzień zbliża się nieuchronnie, ceremonia miała się bowiem odbyć siedemnastego grudnia.

Rozdrażnienie Daniela owiane było jednak tajemnicą - czy to możliwe, żeby ten pozbawiony skrupułów człowiek martwił się jednym małym (dla niego) przyjęciem? Przyjęciem, dodajmy, bez znaczenia. Więc co było powodem jego rozdrażnienia?

Coraz częściej wychodził, nie pojawiał się na obiadach, więc Medison spędzała je sama. Nie potrafiła ocenić, czy to lepiej, czy gorzej. Przyzwyczała się do jego ostrych uwag na jej temat, cisza stawała się więc coraz bardziej nieznośna.

Każdego dnia odczuwała ją coraz boleśniej, napierała na jej uszy.

Kolejnego nieznośnie słonecznego i jasnego popołudnia ktoś zapukał do jej ciemnego pokoju. Nie chciała otwierać oczu - niesamowicie bolała ją głowa z powodu tej przekłętej anomalii, zmiany pogody. Wiedziała, że gdy tylko otworzy oczy, nawet ciemne ściany pokoju nie uchronią jej od kolejnej fali bólu.

Pukanie do drzwi było coraz głośniejsze. Czy ten ktoś nie mógł po prostu wejść do pokoju?! Jednak jak przypominała sobie Medison, zabraniała tego etykieta służby. Coraz bardziej natarczywe dźwięki nie

pozwalają jej dłużej leżeć na łóżku.

Wstała powoli, ale i tak zakręciło się jej w głowie. Podeszła do ledwo widocznych na tle ściany drzwi. Otworzyła je. Jej oczom ukazała się rozpromieniona twarz Rebeki.

- Nie przeszkadzam? - zapytała z uśmiechem. Trzymała wielkie białe pudło, które mogło skrywać tylko jedno...

- O nie... - jęknęła Medison.

- Dlaczego „O nie”? Nie cieszysz się? - zapytał ją dźwięczny głos. Po chwili zza drzwi wychyliła się smukła postać Madeleine.

Nie wiedząc, czemu miały służyć te odwiedziny, Medison natychmiast się zreflektowała. Przecież miała cieszyć się z tego ślubu!

- O, nie do wiary! - wykrzyknęła nagle, a pewność w jej głosie zaskoczyła ją samą. - To już?!

- Rebeka powiedziała mi, że sama nie masz ochoty na łożenie po sklepach w poszukiwaniu sukni ślubnej, więc ja, córka projektantki Klementyny Salomei Eleonory Tiary Gomez, przesyłam ci ten oto prezent ślubny.

Klementyny Salomei Eleonory Tiary Gomez? Halo! Co tu jest imieniem, a co nazwiskiem?!

- Prezent ślubny od projektantki? Wow - Medison miała nadzieję, że Madeleine nie dosłyszeli melancholii w jej głosie.

Szczerze ją lubiła za jej poczucie humoru, brak chorobliwej dumy, jaką dostrzegała u pozostałych znajomych Daniela.

- Została uszyta specjalnie dla ciebie. Opisałam mamie twój wygląd, a ona zawsze się cieszy, kiedy może wykonać jedyny w swoim rodzaju projekt, który będzie podziwiał czterysta osób...

- CZTERYSTA?! - Medison na chwilę zabrakło powietrza. CZTERYSTA osób? O tak, Daniel bardzo dobrze zadbał, aby każdy dowiedział się, że się żeni.

- Cicho tam bądź. W każdym razie moja matka była szczerze ucieszona, że może wykonać specjalne zamówienie dla żony syna państwa świętej pamięci Brooginsów, których od zawsze ceniła, i zabrała się do tego z takim zapałem, że sama nie mogłam uwierzyć, że takie cudenka może stworzyć jedna para rąk - bo uwierz mi, każde specjalne zamówienie wykonuje osobiście. Oj, nie każ mi dłużej oczekiwać twojej reakcji! Otwórz!

Medison drżącymi rękoma otworzyła pudło. Było ciężkie, bardzo ciężkie. Ostrożnie wyciągnęła pozwijaną suknię ślubną. To, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

Suknia mieniła się tysiącami odcieni bieli i srebra. Ciężkie ramiączka składały się z rubinów, tak samo jak brzegi lejącego się dekoltu. W pasie przyszyte były sztuczne płatki róż, jednak tak cienkie i delikatne, że wyglądały jak prawdziwe. Góra sukni była wykonana z lekkiego, lejącego się materiału, dół był jednak ciężki, zbudowany z warstw bieli i srebra. Gdzieś tam poprzyszywane były rubiny.

Medison poczuła wilgoć pod powiekami. Szybko otarła oczy. Płakać z powodu głupiego skrawka materiału?

Nie. Chciało jej się płakać z powodu pięknej sukni, o której nigdy nie śmiała śnić, a która była przeznaczona właśnie dla niej.

- I jak? Podoba ci się? - Madeleine była zarumieniona z podekscytowania. Niecierpliwie pocierała dłonie i przygryzała wargi.

- To najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek widziałam - odrzekła Medison, nie chcąc dłużej trzymać jej w niepewności. Jednak wydawało się jej irracjonalnym, że taka suknia mogłaby się komuś nie podobać.

- Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam! - zaczęła pisać Madeleine. Niedbale odebrała od Medison suknię i z całej siły ją przytuliła. Tej aż zatrzeszczały zębra - ta wąła, smukła istota miała w sobie tyle siły!

Nagle z dołu dobiegły je jakieś odgłosy. Męski głos był niecierpliwym i sprzeciwiał się cieniukmu

głosowi kobiety.

Madeleine westchnęła.

- Mój mąż jest troszkę niecierpliwy - wyjaśniła zdumionej Medison. Dopiero teraz dotarło do niej, że Madeleine nie przyszła sama.

- Ty to masz życie - westchnęła, zanim zdążyła się ugryźć w język. Madeleine tylko się zaśmiała.

- Wiesz, Christopher to wspinały człowiek, no, może troszkę za poważny, ale nie da się go nie kochać. Po prostu jest strasznie nieśmiały. Mam w mózgu czujnik, który wykrywa nadęte bufony. Gdybyś poznała go od innej strony...

To taka jego maska, wiesz - ta dumna, wyniosła mina, jak u pozostałych.

- A więc też tak sądzisz? - w Medison obudziła się nadzieja: oto miała znaleźć bratnią duszę w tym świecie pieniędzy i krwiożerczych bestii. - Też uważasz, że to... - postanowiła zaryzykować - nadęte snoby?

- Oczywiście! Musisz poznać naszą rodzinę! Moją matkę i ojca. Nikt nas nie lubi - tu zaczęła się szczerze śmiać. - Tylko Daniel nas docenia. Uwierz mi, to w gruncie rzeczy bardzo dobry człowiek. Trzeba go tylko oswoić, a będziesz z nim szczęśliwa - tak jak ja z Christopherem!

Jeszcze raz się zaśmiała, pocałowała Medison w policzek i wybiegła z pokoju. Za to w głowie tej ostatniej kłębiło się coraz więcej absurdalnych myśli: „Tylko Daniel nas docenia.

Uwierz mi, to w gruncie rzeczy bardzo dobry człowiek.

Trzeba go tylko oswoić, a będziesz z nim szczęśliwa - tak jak ja z Christopherem!”

- A może Madeleine jest małą pomyłką natury? - pomyślała. - Małą, ale niezbędną do życia...

- Nareszcie - powiedziała Medison sama do siebie.

Samotność bardzo jej doskwierała. Od odwiedzin Madeleine minął już tydzień, wątku osóbka więcej się nie zjawiała. Może nie pozwolił jej na to jej uroczy mąż?

Śniadania, obiady i kolacje jadła sama, jedyną jej towarzyszką była Rebeka - Olivia nadal nie zjawiała się w pracy.

Ten ranek różnił się jednak od poprzednich. Do jej pokoju nie wpadał ani jeden niebezpiecznie jasny promień słońca - wręcz przeciwnie, pomieszczenie pogrążone było w mroku.

Medison spojrzała na zegarek - dochodziła ósma. Wyjrzała przez okno - jej oczom ukazał się dobrze znany, przyjemny krajobraz: mroczny las był tak samo ponury i ciemny, nad koronami wysokich drzew unosiły się ciężkie, niemalże czarne chmury.

Nie podejrzewała, że ten widok tak bardzo ją uraduje.

Wyskoczyła z łóżka i pognęła do łazienki przez pogrążone w ciszy korytarze. Wzięła ciepłą kąpiel, przyjemnie się przy tym odprężając. Następnie szybko wysuszyła mokre włosy; gdy wyszła z łazienki, odziana w czarną koszulkę nocną, były jeszcze wilgotne. Ponownie przebiegła przez korytarze na boso, ledwo zwracając uwagę na ich surowe kolory i niebywałe zimno odbijające się od marmurowych ścian. Gdy weszła do pokoju, zaczęła przebierać w ubraniach - ileż ich teraz było! Cała masa swetrów i żakietów, eleganckich spódnic (których nigdy i tak nie zakładała) i szykownych dżinsów, półbutów i kozaków. W końcu wybrała idealny zestaw: na biały puchaty sweterek nałożyła czarny żakiet, do tego grafitowe dżinsy i czarne półbuty. Wyjrzała przez okno.

Na parapet zdążyły spaść pierwsze krople deszczu. Chwyciła ostre nożyczki, które leżały obok jej łóżka.

Spokojnie wyszła z pokoju, nie mogąc doczekać się spotkania z mogiłami rodziców Daniela i martwym drzewem.

Przemierzyła wolnym krokiem korytarz, spokojnie zeszła ze schodów, jednak narastające podniecenie i niecierpliwość wygrały. Gdy tylko znalazła się na parterze, pobiegła, ile sił w nogach, do drzwi

prowadzących na zewnątrz. Pchnęła je.

Natychmiast ugodziło ją w twarz ostre powietrze. Z każdą minutą wiało coraz bardziej. Spojrzała w górę. Kłębiły się nad nią ciężkie, fioletowo - czarne chmury. Był to widok niepokojący, ale i fascynujący. Chmury mieszały się ze sobą, popychane przez wiatr.

Po jakiś dziesięciu minutach patrzenia na ciężkie, burzowe chmury w końcu ruszyła w kierunku grobów. Przechodząc koło martwego drzewa, musnęła dłońmi jego czarną, spróchniałą korę - była szorstka i kruszyła się, jednak drzewo nie poddawało się i dzielnie walczyło z siłą czasu, wiatru i deszczu. Nogi same niosły ją do fotela stojącego między mogiłami.

Wreszcie stanęła przed grobami Armanda i Orchidei, tak dawno przez nią nieodwiedzanymi. Były w idealnym stanie.

Róże powinny przecież już dawno uschnąć - tymczasem wyglądały, jakby ktoś włożył je do wazonu ledwie wczoraj.

Nie mogąc jednak odmówić sobie dawnego rytuału, Medison podeszła do klombu krwistych róż i obcięła cztery, które wydały się jej najpiękniejsze. Nie wyjęła poprzednich trzech, tylko dołożyła nowe. Następnie spojrzała na wyniosłe, dumne twarze, wyrzeźbione na nagrobkach. Coraz bardziej martwiła się tym, że z każdym dniem Daniel wydaje się jej mniej do nich podobny. Kiedyś uważała, że był lustrzanym odbiciem Armanda, teraz sądziła, że musiał być adoptowany.

Do jej głowy próbowało się dostać coraz więcej absurdu, pozwoliła jednak, aby wiatr owiewał jej twarz, aby spływały po niej lodowate krople deszczu. Usiadła na wilgotnej trawie.

Robiło się coraz ciemniej, a przecież dochodziła dziewiąta rano. Chmury nie chciały dopuścić do ziemi choćby najmniejszego promienia słońca. Było tak ciemno, że ktoś, kto dopiero się obudził, mógłby pomyśleć, iż to nie rano, lecz późny zmierzch.

Wiało coraz mocniej, słyszała podmuchy wiatru, to, jak z ogromną siłą obija się o szyby domu. Zabrział pierwszy grzmot. Medison poczuła, jak deszcz coraz boleśniej opada na jej twarz. Usłyszała, że ktoś obok niej przechodzi. Trawa piszczała w proteście pod ciężkimi butami przybysza.

Medison gwałtownie otworzyła oczy i wstała tak szybko, że aż zakręciło jej się w głowie. Daniel stał obok niej, blady jak zawsze. Jego blond włosy były wilgotne, potargane przez wiatr. Czarne oczy omiatały martwym spojrzeniem twarze rodziców. Nie patrząc na Medison, włożył do wazonu białą różę, wyraźnie odcinającą się od tych krwistoczerwonych.

Jakim zaskoczeniem było dla niej pojawienie się go! On, Daniel Broogins, na grobach swoich rodziców. Może nie powinno jej to dziwić, ale przecież przez tyle tygodni sama zmieniała kwiaty w wazonie. Czyżby Daniel brał z niej przykład? A może po prostu gryzło go sumienie?

Sumienie... Daniel Broogins i sumienie - jakże dziwnie dobrane słowa!

- Co ty tu robisz? - spytała.

Nie odpowiedział. Patrzył z zamyśleniem na twarze rodziców. Zastanawiał się nad czymś.

- Co ty tu robisz? - ponownie zadała mu to pytanie, które nagle wydało się jej zupełnie bez sensu.

- Podobno masz już sukienkę na ślub - nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie faktu.

- Tak, Madeleine dała mi ją w prezencie ślubnym - rzekła Medison, a po chwili namysłu dodała: - Jest piękna.

- Tak... Klementyna Gomez słynie ze swojego talentu - ledwo Daniel to powiedział, szum wiatru zagłuszył potworny huk, poprzedzony oślepiającym błyskiem.

- Żal ci ich? - spytała Medison. Nie podejrzewała, że będzie się przy nim czuła tak... swobodnie.

Daniel zignorował to pytanie. Stali jeszcze chwilę.

Medison spojrzała na jego twarz - głęboko nad czymś myślał.

Nie był podobny do ojca. Tylko w jego oczach było coś, co upodabniało go do matki. Wiatr był już tak silny, że Medison nie mogła utrzymać się na nogach, lekki deszcz przerodził się w prawdziwą ulewę. Błyskawice coraz częściej przecinały niebo, grzmoty były ogłuszające.

- Chodźmy już - powiedział Daniel. Spojrzał razem z Medison w niebo, które przybrało kolor grafitu. - Za chwilę rozpęta się prawdziwe piekło.

I ruszył w stronę domu. Medison po raz ostatni spojrzała na las, który trudno było odróżnić od chmur, i poszła za nim.

Rozdział IX

„Tak”

Daniel miał rację - rozpętało się prawdziwe piekło. Ledwo Medison zdążyła wbiec do domu, rozległ się ogłuszający trzask błyskawicy, na ułamek sekundy pochłonął ją błysk niebieskiego światła. A potem nie widziała już nic.

Zrobiło się cicho, niepokojąco cicho. Przez chwilę nie słyszała ani wichury, ani grzmotów, nic nie widziała. Było dopiero kilka minut po dziewiątej, a nieoświetlony dom pochłonięty egipskie ciemności.

- Musiało uderzyć w elektrownię - powiedziała Rebeka.

Jej głos Medison poznałaby wszędzie, tak jak (i tutaj z trudem się do tego przyznała) głos Daniela.

- Tak, najwyraźniej - Rebecce odpowiedział jego aksamitny głos. - Rebece, idź po świece.

- Gdzie idziemy? - spytała Medison.

- Nie „gdzie idziemy”, raczej: gdzie idziesz ty, a gdzie ja - poprawił ją Daniel.

Medison wszystko przekreśliło się w żołądku.

- O...osobno? - spytała drżącym głosem. Instynktownie wyczuła, jak wargi Daniela unoszą się w kpiącym uśmiechu. Pośród ciemności błysnęły czarne oczy mężczyzny.

- Boisz się? - spytał tym dziwnym głosem, ani szorstkim, ani kpiącym - tym, którym przemawiał do innych kobiet...

- Tak - odpowiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Nie!

- Jesteś niemożliwa - zaśmiał się. Jego śmiech było słychać pośród ciszy tysiąc razy mocniej.

- To ten dom mnie... przeraża - nie było już co ukrywać. -

Samotność... Ciemność... Zwłaszcza teraz. Ja...

- Więc wytłumacz mi proszę, Medison, jak zasypiasz sama w swoim ciemnym pokoju? - jego głos był lekko zniekształcony. Daniel najwidoczniej starał się nie roześmiać.

- A może o czymś nie wiem? Może wcale nie zasypiasz co noc sama? Wiesz, zdziwiła mnie swoboda, z jaką rozmawiałaś z Michaeliem...

- Mnie się to nie tyczy, takie gierki chyba bardziej pasują do ciebie, nieprawdaż? - słowa zaczęły same z niej wypływać, nie była w stanie nad sobą zapanować. Wiedziała, że gdy wszystko z siebie wyrzuci, może się to źle skończyć - dla niej.

Daniel był taki nieprzewidywalny. - Wiesz, gdy ma się wyczulony słuch na każde oszczerstwo, na każdą kpinę, nietrudno pośród szmeru rozmów wyszukać tę właściwą... Nie masz u wszystkich dobrej opinii, przez większość jesteś uważany za kobieciarza

- powietrze wokół Medison zgęstniało, wyraźnie wyczuwała niepewność, złość, zdenerwowanie, które teraz targało Danielem. Zdziwiła się, że jeszcze jej nie przerwał.

- Czyżbyś zaniemówił? Nie wiedziałeś o tym? Cóż, cieszę się, że byłam osobą, która jako pierwsza mogła ci to uświadomić...

Ledwo skończyła, znalazł się przy niej. Nawet gdyby nie wyczuła jego zapachu, zobaczyłaby w tych egipskich ciemnościach jego czarne oczy, ciskające w nią błyskawicami.

Na dopełnienie tego przerażającego obrazu zagrzmiało, wiatr i deszcz ponownie ze zdwojoną siłą zaczęły uderzać w okna.

Poczuła, jak jego dłonie zaciskają się na jej nadgarstkach.

Rozwścieczyła go. Po raz pierwszy od bardzo wielu dni uderzył w nią prawdziwy strach. Był niczym w porównaniu z ciemnościami, w jakich miała sama przebywać, ba, chętnie spędziłaby cały dzień

zamknięta w ciemnym grobowcu, byle tylko Daniel ją od siebie odsunął.

Ale on jakby czytając w jej myślach, przysunął ją do siebie jeszcze bardziej. Wyczuwali nawzajem swoje zdenerwowanie, nitki elektryczności przesuwające się pomiędzy ich ciałami. Błysnęło z niespodziewaną mocą, pokój ponownie rozjaśnił się błękitem, a Medison ujrzała jego twarz - a wraz z nią wyrysowaną na niej wściekłość...

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wściekły Daniel jest jeszcze przystojniejszy niż zwykle. To było irracjonalne, ale właśnie w tym groźnym momencie, gdy tak się bała, chciała znaleźć się bliżej niego...

Medison nie wiedziała, ile czasu tak stali - mogło to być kilka sekund, minut, a może nawet godzin. Rebeka nadal nie wracała, a oni stali niebezpiecznie blisko siebie, patrząc sobie w oczy, chociaż na twarzy Daniela wymalowana była furia, a na twarzy Medison - czysta fascynacja.

Kilka sekund później światło zapaliło się. Medison nawet nie zmrużyła oczu, była jak sparaliżowana. Nie docierały do niej żadne bodźce z zewnątrz - ani huk i błyskawice, ani surowa biel ścian, echo kroków na schodach...

- Świece chyba nie będą potrzebne...

Nie zdążyli od siebie odskoczyć. Rebeka zdążyła zobaczyć pozycję, w jakiej się znajdowali, i emocje wyzierające z ich twarzy.

Służąca stała przez chwilę z lekko otwartymi ustami, po czym zreflektowała się i przeszła przez korytarz, jakby niczego nie zauważyła.

Medison dopiero teraz poczuła, jak mocno Daniel zaciskał dłonie na jej nadgarstkach. Próbowwała wyswobodzić się z jego kajdan, on jednak był zbyt silny i w tej chwili korzystał z przewagi. Wyraz jego twarzy nie zmienił się od tych kilku minut, może nawet nic do niego nie docierało. Wyglądał przerażająco.

„Przerażająco pięknie...” - Medison nie panowała nad swoimi myślami.

- To boli - wycedziła przez zęby, nadal bezskutecznie próbując oswobodzić swoje ręce. A Daniel nie puszczał. -

Powiedziałam: to boli - głos miała coraz mocniejszy, ten ból był nie do zniesienia.

Nie widziała już przed sobą Daniela - ta twarz nie należała do niego, a do szczerze znienawidzonego przez Medison człowieka, którego miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć.

Tego, który pośród jej nowych „przyjaciół” był uważany za zmarłego.

Samuel Carpen stał przed nią tak jak kilka tygodni temu, kiedy to zauważył na jej dłoni zaręczynowy pierścionek. Ta chwila była tak realistyczna, że Medison zakręciło się w głowie. Chciała zapomnieć o tamtym życiu, ale najwyraźniej, nie miało to być jej dane.

Po raz pierwszy poniżyła się przed swoim wrogiem, zaczęła ronić przed nim łzy strachu, ugięła się pod ciężarem swojego losu. Swojego życia.

- To boli! - zaczęła łkać. Nie mogła już tego zatrzymać, tak jak tamtego potoku słów, który doprowadził Daniela do takiego ataku agresji. Pokazała mu swoją słabość. Obiecała sobie, że nigdy przed nim nie zapłacze, nigdy z jego powodu.

Przeliczyła się. Była tylko człowiekiem, słabą kobietą, która siłą umysłu, twardością charakteru chciała dorównywać mężczyźnie. Nie dała rady. Była zbyt wrażliwa, emocje, które zbierały się w niej od dłuższego czasu, musiały znaleźć swoje ujście - i znalazły. Szkoda, że w takim momencie.

A jego nie było. Kajdany pękły, ucisk zelżał, nie czuła już jego bliskości, tylko pustkę, samotność. Bała się otworzyć oczy. Obawiała się, że ujrzy znajomą twarz ojca.

Medison Carpen naprawdę się bała. I nic nie mogła na to poradzić.

Nigdzie nie idę. Nigdzie nie idę. Nie idę...

Myśli tłukły się jej w głowie, nie mogła powstrzymać fali strachu - nie tak prawdziwego, może strachu

wymieszanego z niepewnością i podnieceniem.

- Nigdzie nie idę - powiedziała w końcu na głos. Jaka ulga! Niewypowiedziane przedtem słowa nagle wyleciały z jej głowy i odbiły się od ścian pokoju, tworząc cudowne echo jej głosu.

- Wyjdiesz, wyjdiesz! Moja mama nie po to tyle pracowała, żebyś teraz bała się wyjść na swój własny ślub! - piszczała Madeleine, a Medison niepewnie przeglądała się w lustrze w szmaragdowej łazience.

Suknia może i była piękna - „piękna” to w tym wypadku nawet zbyt małe, nic nieznaczące słowo. Suknia była piękna, ale strasznie niewygodna.

Medison najbardziej przeszkadzały ramiączka, zrobione z rubinów. Ostre kamienie przesuwają się wzdłuż jej ciała, gdy tylko poruszyła rękoma, boleśnie ocierając się o jej nagie ramiona. Dekolt również stanowił tutaj niemały problem - lekkiego materiału nie było wcale czuć, Medison przez cały czas nie była pewna, czy w ogóle coś na sobie ma. Dół był względem góry nieproporcjonalnie ciężki - pod jego ciężarem Medison aż ugięły się kolana.

Spojrzała z zazdrością na sukienkę, którą miała na sobie Madeleine. Była to zwykła błękitna sukienka z matowego materiału z białym paskiem w pasie. Fryzura Kleopatry, która zawsze okalała twarz Madeleine, przemieniła się z geometrycznego cięcia w puszyste, lekko falujące włosy. Jak ona to zrobiła?!

Całe przyjęcie miało odbyć się w salonie, w którym przedtem Daniel urządził bal zaręczynowy. Tam również planowano ceremonię.

Ceremonia - nieprzyjemnie poważne słowo. Serce Medison przyspieszyło, gdy przypomniała sobie, że za chwilę powie „tak” swojemu wrogowi. I że to „tak” dla nich nigdy nie będzie znaczyło tego co dla większości par. Brzuch zaczął ją boleć ze zdenerwowania. Gości co prawda wcale nie było czterystu. Ot, garstka ludzi, przyjęcie wcale nie miało być wystawne. Medison troszkę podniesiona na duchu wzięła parę głębokich oddechów. Okno było otwarte, ostre igiełki grudniowego powietrza wbiły się w jej płuca.

- Zejdę na dół - zaszczebiotała Madeleine. - Tylko nie zwlekaj długo, wszyscy czekają!

I wyszła z toalety. Medison po raz kolejny przejrzała się w lustrze. O ile nigdy nie uważała się za ładną kobietę, teraz musiała przyznać, że wyglądała oszłamiająco. Jej włosy lekko opadały na plecy, podkreślając szczupłą twarz. Makijaż był zupełnie inny niż na zaręczynach - miejsce czerwonej pomadki zajął lekki błyszczak, ledwo rzucający się w oczy, powieki nie były pokryte grafitem, lecz perłowym białym cieniem.

Spojrzała na zegar wiszący nad wielką wanną. Sekundy mijały z zawrotną prędkością, tym bardziej że strasznie się denerwowała. Nie było wyjścia. Sama tego chciała. Musiała to zrobić. Dla siebie, dla swojego szczęścia.

„Lecz czy to miało być szczęście?” - zapytał w jej myślach cichutki głosik. Był tak wyraźny, zbyt wyraźny. Medison rozejrzała się po łazience, czy aby nikt do niej nie wszedł.

Jednak była sama.

„Wiem, co robię!” - odchrząknęła w myślach samej sobie.

Czyżby wariowała?

Aby więcej nie słyszeć tego głosu, postanowiła zejść na dół. Załatwić tę sprawę jak należy. Przecież nie może się poddać!

Jeden krok w stronę drzwi, sto igieł zdenerwowania wbitych w serce i płuca. Drugi krok, kolejne sto igieł. Już prawie nie mogła oddychać.

„Idź, wariatko, idź, co masz do stracenia” - szeptała sobie w duchu. „Życie. Wolność” - głos ponownie dał o sobie znać.

Był tak realistyczny, że Medison potknęła się o fałdy swojej sukni. „Nie stracę życia. Potrafię o siebie zadbać. Nigdy nie miałam wolności” - odpowiedziała sobie.

Wariatka. Medison naprawdę myślała, że wariuje. Miała coraz więcej wątpliwości.

A jednak otworzyła drzwi i powolnym krokiem zaczęła iść korytarzem. Tak bała się zejść ze schodów - na dole, pod żyrandolem, czekał na nią Daniel. Dotarła do szczytu schodów i zobaczyła go. Wyglądał tak samo jak na przyjęciu zaręczynowym. Założył czarny garnitur, który tak pięknie odcinał się od jego bladej cery, a czarne oczy kontrastowały z jasnymi blond włosami.

Teraz jak nigdy było widać, że są różni jak ogień i woda.

W jego wyglądzie nic do siebie nie pasowało, a jednak sprawiało to, że był przystojny, intrygujący. Medison, pozbawiona jakiegokolwiek kontrastu, była nijaka. Jasne oczy zlewały się z cerą, jasnobrązowe włosy dopełniały tylko tego szarego obrazu.

Powoli zaczęła schodzić po schodach, uważając przy tym, aby ponownie nie zahaczyć o sukienkę. Trzymała się poręczy, co chwila sprawdzając, czy ma na sobie górę sukni.

Dotarła do końca. To było naprawdę wielkie osiągnięcie.

Poczuła charakterystyczny zapach perfum Daniela. Trochę ją to uspokoiło. Było to zbyt irracjonalne, aby mogła o tym spokojnie myśleć.

Daniel popatrzył w jej oczy - jego przenikliwe spojrzenie sprawiło, że odwróciła wzrok. Zaśmiał się.

- Czyżbyś się bała, Medison Carpen?

- Już nie - warknęła. - W każdym razie nie ciebie.

Przyjrzał się jej jeszcze uważniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Wziął pod rękę i westchnął: - Cóż. Przedstawienie czas zacząć. Poprowadził ją przez korytarz do salonu. Pchnął drzwi. Zdenerwowanie Medison sięgnęło zenitu. Serce zaczęło trzepotać jej w piersiach; myślała, że zaraz stamtąd wyskoczy i ucieknie jak najdalej od tego miejsca.

Weszli do salonu. Do Medison nic nie docierało, ani dźwięki muzyki, ani atmosfera w pomieszczeniu. Gęste powietrze utrudniało oddychanie. Razem z Danielem doszła do małego ołtarzyka, przy którym stał ksiądz.

Medison czuła się, jakby wyszła z siebie i stanęła obok lub co najmniej weszła w ciało któregoś z gości. Całe to przedstawienie obserwowała z boku. Widziała siebie samą, ze zdenerwowania bladej niż zwykle, Daniela, który perfekcyjnie odgrywał rolę szczęśliwego pana młodego.

Dostrzegła serię nieprzychylnych spojrzeń osób, które nie tolerowały wyboru Daniela, oraz zazdrosnych młodych kobiet, wpatrzonych w jej nowego męża jak w obrazek. Widziała tajemnicze spojrzenia Michaela, którego siostra nie pojawiła się na ślubie - nie było w nich dawnej fascynacji, może co najwyżej nieco niezdrowego zainteresowania jej osobą.

Przyglądał się jej ze zmrużonymi oczyma, lekko się przy tym uśmiechając w sposób bardziej pasujący do Daniela.

W tym spojrzeniu było coś złego. Medison nie mogła jednak domyślić się odpowiedzi. Michael wyglądał, jakby odkrył jakąś tajemnicę, jakby dowiedział się czegoś, czego nie powinien wiedzieć, i zamierzał to wykorzystać...

Ale jaką tajemnicę mógł poznać? Ostatnimi czasy tyle tego było... A co, jeśli dowiedział się, że Medison wychodzi za Daniela dla pieniędzy? Mógłby to ogłosić wszem i wobec, pogrążając ich. Daniel najprawdopodobniej przegrałby zakład i wyrzucił ją na bruk, a stąd już niedaleko do poznania głównej prawdy...

A co, jeśli Michael poznał główną prawdę? Co, jeśli dowiedział się, że Medison wcale nie jest kobietą z dobrego domu, której rodzice niedawno zmarli, lecz odgrywającą rolę takiej osoby żebraczką?

A może tu wcale nie chodziło o nią? Jej życie, jej osoba w tym przedstawieniu odgrywały rolę zarówno główną, jak i epizodyczną.

- Tak - Daniel odpowiedział na zadane pytanie. W tej chwili Medison ponownie weszła do swojego ciała. Stała przed Danielem, który wkładał jej na palec obrączkę. Tyle myśli przelatywało jej przez głowę, tyle pytań bez odpowiedzi.

A więc teraz jej kolej na złożenie przysięgi...

„I ślubuję ci miłość...”.

Kłamstwo. Danielowi mogłaby ślubować tylko nienawiść do końca życia. W tej przysiędze jej uczucia do niego zostały na siłę zmienione o sto osiemdziesiąt stopni.

„...I wierność...”.

Nietrudno będzie tego przestrzegać - Medison miała mężczyznę po dziurki w nosie. Gorzej będzie z tą przysięgą w przypadku Daniela...

„...I uczciwość małżeńską...”

Gdzie w tym związku miejsce na uczciwość?! Tak dużo tego dnia kłamała! Nawet nie przed sobą, a przed kimś, kogo zawsze darzyła największym szacunkiem i miłością, na jaką było ją stać. Kłamała przed kimś, kogo zawsze prosiła, aby się nią opiekował, aby dawne życie się skończyło.

I skończyło się. A ona kłamała przed Bogiem.

„...I że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

I że twojego domu i pieniędzy nie opuszczę aż do śmierci.

A ty sobie idź, Danielu, i zapuść korzenie w mojej dawnej budzie.

- Tak - jej usta otworzyły się same i wydobyło się z nich kolejne kłamstwo. Zabrzmiało prawie jak przekleństwo.

Kolejnych słów nie słyszała, ale to, co zostało powiedziane, doskonale zrozumiała w myślach. Oto Daniel, który zawsze się jej wstydził, zaczął przybliżać swoją twarz do jej twarzy. Zaskoczona i oszołomiona, wstrzymała oddech.

Poczuła, jak jej twarz zmienia barwę z białej na różową, z różowej na czerwoną, a potem znów z czerwonej na białą.

Czuła już jego ciepły oddech na swojej twarzy. Mogła bez obawy wyśmiać się w te czarne niczym grafit oczy, otoczone długimi czarnymi rzęsami.

Patrzyła w jego piękne oczy. Serce zaczęło tak mocno bić jej w piersiach, że prawie łamało jej żebra. Dziwiła się, że nikt wokół tego nie słyszy.

Po nierealnie długich trzech sekundach w końcu poczuła, jak jego wargi lekko muskają jej policzek - bez żadnego zapamiętania, bez nuty romantyzmu. Ot, jakby ktoś musnął ją w tym miejscu piórkiem. Mimo to miejsce, w które Daniel ją pocałował, zaczęło niemiłosiernie palić.

Szybko - za szybko - odsunął się od niej. Zaczęła normalnie oddychać, choć po policzku nadal lizały ją języki ognia. Usłyszała oklaski - czuła, ile w nich sztuczności, udawanej radości. Rozejrzała się po salonie.

Tylko jeden człowiek siedział, patrząc na nią tak samo jak przez kilkanaście minutami. Jakby coś wiedział.

Michael odkrył jakąś tajemnicę. Na razie jednak nikt nie wiedział, jaką.

Przyjęcie weselne odbyło się bez zbędnych ceregieli, jakich Medison się obawiała. Nie było żadnego rzucania kwiatów, żadnych komicznych tańców. Zabawa nie trwała długo - chociaż nikt nie dawał tego po sobie poznać, wszyscy byli zmęczeni kilkugodzinnym udawaniem.

Tylko cztery osoby zachowywały się nienaturalnie normalnie wśród pozostałych aktorów. Madeleine razem z mężem oraz dwojgiem osób w podeszłym wieku śmiała się, dowcipkowała i tańczyła prawie do każdej piosenki. Byli prawdziwi.

I chyba rzeczywiście nikt ich nie lubił. Takie przynajmniej odnosiło się wrażenie. Nikt nie zamienił z nimi słowa, czasami ktoś posyłał im zdziwione lub karcące spojrzenie, coś przy tym szepcząc do drugiej osoby. Jednak ani Madeleine, ani jej mąż, ani nawet siwowłosa, elegancka kobieta, która musiała być sławną Klementyną Salomeą Eleonorą Tiarą Gomez, nie zwracali uwagi na to, że są beczelnie obgadywani.

Christopher nie był wyluzowany, na twarzy miał maskę obojętności i powagi - Medison nie mogła wyobrazić go sobie roześmianego i dowcipkującego - a jednak czasami rzucał swojej żonie takie spojrzenie, o jakim Medison nigdy nie mogła marzyć - pełne czułości i miłości, tak przepełnione radością i uwielbieniem...

Madeleine odpowiadała mu, kładąc swoją dłoń na jego dłoni, głęboko patrząc mu w oczy, jednak nie okazując swojego uczucia do niego w bardziej wyraźny sposób.

Chwilę potem siwowłosa mężczyzna, który musiał być mężem Klementyny Salomei Eleonory Tiary Gomez, poprosił

Madeleine do tańca. Komicznie wyróżniali się na tle sztywnych par, skacząc i co chwila depcząc sobie po palcach.

Jednak było widać, jak ojciec wielbi Madeleine, jak chce chwalić się swoją córką przed innymi, jaki jest dumny i szczęśliwy, posiadając największy na świecie skarb.

Na chwilę twarz ojca Madeleine zastąpiła twarz Samuela Carpena - naznaczona masą bólek i trudami bezsensownego życia. Ten obraz miał dwa oblicza - był i smutny, i śmieszny.

Medison łązy stanęły

w oczach,

a jednocześnie powstrzymywała się od śmiechu.

- Czy mogę prosić do tańca? - zapytał czyjś tajemniczy głos.

Medison spojrzała w stronę, z której dobiegał głos. Stał za nią Michael z wyciągniętą ku niej ręką, bez cienia tajemniczości w oczach.

Zawahała się. Mimowolnie jej głowa sama odwróciła się w stronę Daniela, jakby pytając go o pozwolenie. Tak naprawdę chciała tylko zobaczyć wyraz jego twarzy.

A Daniel ani drgnął. Był jak posąg. Sztwywny, bez uczuć, wzrok miał wbity w pary tańczące na parkiecie, jednak coś w jego oczach, mała zmarszczka między brwiami, podpowiadało Medison, że głęboko nad czymś myśli. Że jest daleko stąd, myślami w innym świecie, sam, bez ludzi wystrojonych w weselne suknie i garnitury.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała, wstając. Wszystko w niej krzyczało, żeby nie ruszać się z miejsca, a jednak podała dłoń Michaelowi.

Mężczyzna poprowadził ją na środek sali. Przyjrzał się jej uważnie - znowu tym samym, tajemniczym spojrzeniem, nieświadomie podpowiadając jej, że ma się bać, że coś wie.

I zaczęli tańczyć.

Przez kilka minut wirowali bez słowa pośród innych par, tak samo sztywno, bez żadnej przyjemności. Medison czuła się jak dziecko, które chce iść do sklepu z zabawkami, jednak mama prowadzi je w zupełnie innym kierunku. Zaczynała się już nudzić. Właśnie miała skłamać, że nogi strasznie bolą ją od nowych butów, kiedy Michael odezwał się: - To zaszczyt móc z tobą zatańczyć, tym bardziej że będę pierwszy. Dziwne, że Daniel nie chce zatańczyć ze swoją nową żoną - ostatnie zdanie tego oświadczenia zaniepokoiło Medison.

- Daniel i ja nie przepadamy za tańcem, wolimy spokój - próbowała mówić normalnie, jak zawsze, jednak coś w jej głosie zdradzało zdenerwowanie.

- Więc dlaczego Medison Broogins zechciała ze mną zatańczyć? - spytał.

Medison odsunęła się od niego i spojrzała w jego przystojną twarz. Wokół nich pary wirowały z obliczami wykrzywionymi w sztucznym uśmiechu. Michael znów zmrużył oczy i zaczął się jej przyglądać. Już niczego nie ukrywał, a Medison była pewna: on coś wie.

Nie udawała już spokoju, szczęścia, biło od niej zdenerwowanie i niewiedza.

- Żyjesz w zupełnie innym świecie, niż myślisz, Medison - zaczął, uśmiechając się do niej.

- Wiem, jakie wybrałam życie, jestem tego w pełni świadoma - głos jej zadrzał. Wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - Gdybym nie była pewna, czego chcę, nie stałbyś teraz tutaj. Mnie też by tu nie było.

Spojrzała w stronę miejsca, w którym powinien siedzieć Daniel, jednak przysłonił go tłum tańczących gości. Medison nie mogła odgadnąć, czy ktoś podsłuchuje rozmowę, czy kogoś ciekawi, dlaczego stoją i rozmawiają pośród tańczących par. Byli zbyt dobrymi aktorami. Nikogo nie zdradzało ani spojrzenie, ani wyraz twarzy.

- Tak... Doskonale wiesz, jakie wybrałaś życie, i dlaczego... Ja też jestem tego świadomy, ale inne osoby na tej sali mogą to jedynie podejrzewać. Jak myślisz, czy ktoś uwierzy, że tajemnicza dziewczyna, której nikt nigdy tutaj nie widział, i bogaty kobieciarz zakochają się w sobie bez pamięci, a po niecałych trzech miesiącach znajomości biorą ślub?

Zabrakło jej słów, ciężki kamień spadł w miejsce serca, blokując płuca. Nie mogła oddychać. Poczwała, że blednie.

A Michael kontynuował:

- Niektóre miejsca są przeznaczone dla ludzi na wysokiej pozycji, inne dla tych na niższej. Każdy może wzbic się w górę, ale równie dobrze - wziął kieliszek od przechodzącego barmana - można spaść w otchłań - upuścił kieliszek na podłogę. Zbił się, a czerwony, przypominający krew płyn rozlał się po podłodze - i już nie wstać.

Medison zrozumiała aluzję. Jednak on nie skończył.

- Ziemia nie jest wybredna. Przyjmie wszystko. Zarówno złoty puchar, jak i brudnego śmiecia. Nie mam nic przeciwko tobie, taka śliczna, inteligentna osoba - dotknął jej włosów, a dreszcze przeszły jej po plecach. - Byłoby szkoda. Albo i nie.

To zależy od ciebie, Medison. Jeśli kiedykolwiek powinię ci się noga, bądź lojalna wobec złota, a nie srebra. Czy wiesz już, po której stronie masz stać, gdyby nagle coś się stało?

Medison nie odpowiedziała, była w szoku. Człowiek, którego nawet polubiła, który prawił jej takie komplementy, nieszkodliwy młodzieniec, okazał się zdrajcą. Był niczym wisienka na torcie w jej pełnym chmur życiu.

- Ci ludzie są nieszkodliwi, nieświadomieni, ale wybrali złoto. Jak na razie nie są ani twoimi sprzymierzeńcami, ani wrogami. Wybór należy do ciebie - uśmiechnął się, już nie tajemniczo czy groźnie. Przypominał starego Michaela, niewtajemniczonego, niegroźnego. Ujął jej rękę, bladą i zimną, w swoją - zaróżowioną i ciepłą. - Odprowadzę cię do męża, Medison. Pobladłaś, chyba od nadmiaru wrażeń, w końcu to jedyny taki dzień! Już nie jesteś Medison Carpen, a Medison Broogins. Witaj w naszym gronie. W naszej rodzinie.

I przeprowadził ją przez tańczące pary, do każdego się uśmiechając. A w tych pięknych i dumnych obliczach otaczających ją ludzi Medison po raz pierwszy ujrzała twarze potworów.

Chwilę potem byli już przy stole. Daniel siedział tam gdzie wcześniej, gawędząc z jakąś kobietą, której Medison wcześniej nie widziała.

Bezwładnie upadła na krzesło, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie Daniela oraz zdziwienie na twarzy obcej kobiety. Nie miała siły. Ktoś wstał, ale nie był to Daniel, bo czuła przy sobie równie silny jak przedtem zapach jego perfum. Czyjś wysoki głos spytał o taniec, a inny, niższy, zgodził się. Michael odszedł.

Zamknęła oczy, aby się nad wszystkim zastanowić, ale nie dała rady. Tyle myśli kłębiło się w jej głowie, tyle pytań, tyle bezsensownych odpowiedzi...

- Jeden taniec tak cię zmęczył? - zakpił Daniel.

Medison otworzyła oczy. Niewyraźny obraz jego twarzy wyostrzał się z każdą sekundą. Tak źle się teraz czuła, ale nie fizycznie, lecz psychicznie.

Miała wybierać pomiędzy srebrem a złotem. Ale kto tu był czym?

Najpierw wydawało jej się, że chodzi tu o dwójkę przyjaciół. O Daniela i Michaela. To właśnie jasne włosy Daniela, jego blada cera kojarzyły się jej ze srebrem. Ciemne włosy Michaela i jego lekko śniada cera przypominały złoto.

To przypuszczenie było zbyt irracjonalne. Daniel jako ten dobry? Bo właśnie takim w swoich aluzjach mógłby przedstawiać go Michael.

Oni wszyscy byli przecież tacy sami.

Zauważyła, że Daniel uważnie się jej przygląda.

- Pobladłaś - stwierdził.

- Wydaje ci się - warknęła, jednak jej głos był tak samo słaby jak ona sama w tej chwili.

- Źle się czujesz? - spytał.

- Dobrze się czuję! - niemalże krzyknęła.

- Nie rób scen - szepnął, ukradkiem rozglądając się po sali, jednak nikt niczego nie usłyszał.

- Nie robię scen. Kiedy to przyjęcie się skończy? - wycedziła.

- Niedługo, na razie jednak muszę zaprosić cię do tańca - westchnął Daniel, po czym wstał. Odsunął jej krzesło i podał rękę, aby mogła wstać. - Widzę zbyt dużo ciekawskich spojrzeń, ludzie dziwią się, że jeszcze nie zatańczyliśmy.

Medison tym razem u boku Daniela wpadła w wir tańczących par.

Rozdział X

Zakryć twarz przed oprawcą... Przed pomocą Nadeszła zima. Sroga i biała, jak nigdy dotąd. Nowe życie Medison Broogins odpowiadało każdemu w tym domu... No, prawie każdemu.

Jak podejrzewała, Rebeka bardzo ucieszyła się z tego, że Medison została nowym członkiem rodziny - nie przeszkadzało jej to, że ma teraz o wiele więcej pracy. Można było odnieść wrażenie, że harowanie od południa do późnej nocy nie stanowi dla niej żadnego problemu.

Daniel był obojętny, dni, w które porządnie się z Medison kłócili, można by policzyć na palcach jednej ręki. Często jednak kpił sobie z niej, szydził i szyderczo uśmiechał. Ona puszczała to mimo uszu.

Zachowanie Olivii było co najmniej dziwne. Nie stała się ona przyjacielem Medison, nienawidziła jej chyba równie mocno jak przedtem. Tylko dlaczego patrzyła z takim przestrawieniem na Daniela i czasami również na nią...?

Z taką samą miną witała Michaela, który stał się częstym gościem w ich domu. Była dla niego taka miła, słodka, tak się przed nim uniziała, jednak gdy tylko mogła, zniknęła im z oczu.

Olivia czegoś się bała. Kogoś. I tą osobą był właśnie Michael.

Medison nie mogła pozbyć się wrażenia, że Olivia jest zamieszana w sprawę z Michaeliem i nią.

A sprawa była taka. Michael wiedział, skąd Medison pochodzi, prawdopodobnie znał całą prawdę o jej rodzinie, o ojcu. Wiedział, z jakiego powodu wyszła za Daniela. I na razie trzymał to w tajemnicy.

Ale to akurat mogło się w każdej chwili zmienić.

Michael dał jej do zrozumienia, że może być jej wrogiem lub przyjacielem. Że może być równie pomocny, co niebezpieczny. Że Medison wybrała życie pośród harpii i potworów rodem z horrorów. Co by się stało, gdyby ci ludzie z maskami na twarzy dowiedzieli się, z jakiego środowiska pochodzi?

Cóż, mogłoby się stać wszystko.

Po pierwsze, małżeństwo zostałoby jakimś cudem unieważnione, a Medison wyleciałaby na bruk. Do starego życia. Nie zdobyłaby pracy, bo nie miała wyższego wykształcenia. Na studia nie było pieniędzy.

Ta opcja była najłagodniejsza.

Druga, równie prawdopodobna, polegałaby zapewne na uciszeniu jej... raz na zawsze. Nie wiedziała, ile tajemnic tych ludzi - mniej lub bardziej niebezpiecznych - zdąży poznać. Te potwory nie miały sumienia ani skrupułów, byli tacy sami jak rodzice Daniela, którzy po trupach dążyli do władzy.

Pozostawało jeszcze wiele pytań. Cały czas nurtowało Medison jedno: skąd Michael wiedział.

Stawiała na Daniela.

Jego najlepszy przyjaciel, jeśli Daniel w ogóle może mieć przyjaciół. Człowiek tak samo niebezpieczny jak on, pochodzący z zamożnej rodziny o złotych korzeniach. Czyżby Daniel groził jej poprzez pośrednika? No tak, wtedy mógłby się wybielić, nie musiałby paprać się w kolejnym kłamstwie.

Nie miałyby na sumieniu jej bezpieczeństwa, które wcale go nie obchodziło, a byłby pewny, że Medison jest w ślepej uliczce - wyjście było z niej tylko przez posłuszeństwo, żadnej innej drogi.

Tak, to na pewno był Daniel. Ten hipokryta, ten pokerzysta, ten demon w ludzkiej skórze. Miała być bezpieczna. Miała zacząć życie od nowa.

Gdyby coś poszło nie tak, gdyby czegoś się dowiedziała, choćby przez przypadek, wszystko mogłoby się zakończyć równie szybko, jak się zaczęło.

Tylko czego Medison Broogins miała się dowiedzieć?

Nie wiedziała.

Tymczasem postanowiła zrobić jeszcze jedną rzecz, równie niebezpieczną jak powyższe myśli - równie dobrze mogłaby zacząć myszkować w każdym kącie w poszukiwaniu owej rzeczy, której nie miała prawa znaleźć.

Medison postanowiła odwiedzić ojca.

Nie widziała go już od dobrych trzech miesięcy, od kiedy wprowadziła się do domu Daniela. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że czegoś jej brakuje, że musi wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Mimo wszystko był jej ojcem.

Chciała zobaczyć go po raz ostatni. Potem miała zapomnieć, co pewnie nie miało być wcale takie łatwe. Jednak myśl, że może powiedzieć mu parę słów na pożegnanie, dodała jej nadziei.

Wyrzała przez okno. Jasne promienie słońca z trudem przebijały się przez chmury. Wszystko skąpane było w białym puchu, który nadal lekko spadał z nieba. W końcu postanowiła, że założy czarne spodnie i płaszcz. Szal nie był jej potrzebny - nie wiało, drzewa ani trószkę się nie kołysały.

Włożyła czarne kozaki i wyszła z domu.

Powietrze było ostre, a płatki śniegu gęsto osiadały na jej ubraniu. Chmury gęstniały, już prawie nie było widać promieni słonecznych. Ruszyła przed siebie.

Bała się, że zapomniła drogi do domu. Tak dawno tam nie chodziła... Wszystko wyglądało inaczej niż sprzed trzech miesięcy. Było pokryte śniegiem.

Ojca mogła albo nie zastać w domu, albo ujrzeć śpiącego na kanapie. Sensem jego życia był alkohol. Czasami zastanawiała się, czy może się z kimś zakłada - kto wypije więcej w ciągu minuty i trzech sekund, kto mocniej przywali podczas bójk - w każdym razie na pewno wygrywał, ponieważ przynosił do domu pieniądze. Sumy były małe, ale wystarczyło, aby nie umrzeć z głodu. Czasami się mdlało, ale było to do zniesienia.

Było zimniej, śnieg padał coraz gęściej, domy były coraz mniej okazałe. Medison była już pewna, że idzie w dobrym kierunku. I w końcu ujrzała stara kamienicę.

Zdawało się jej, że dom jakby zmałał, ale chyba tylko dlatego, że mieszkała teraz w pałacu. Cegły były zakurzone i pomazane graffiti, z kontenera wysypywały się na podłogę śmieci. Z daleka wyczuła zapach alkoholu, spojrzała więc w tamtą stronę. Koło kontenera na śmieci leżał brudny mężczyzna, co chwilę głośno pochrapując. Koło niego z butelki wylewał się na brudny chodnik alkohol.

Medison skrzywiła się. Powróciły wspomnienia. Złe, chociaż które z jej wspomnień były w ogóle dobre?

Szybko pchnęła obdrapane drzwi kamienicy. Zaskrzypiały przeraźliwie, jednak mężczyzna ani drgnął. Zaczęła jak najciszej stąpać po rozwalających się schodach, nie dowierzając, że jeszcze trzy miesiące temu tu mieszkała.

Trzeci stopień, czwarty, piąty...

Szósty, siódmy...

Siedemnasty, osiemnasty, dziewiętnasty...

Dwudziesty stopień.

Stanąła pod drzwiami swojego dawnego domu. Były uchylone. A więc zostanie w tam swojego ojca, pytanie tylko: czy przytomnego...

Zawahała się. Może nie był to najlepszy pomysł, ale ciągnęło ją do ojca. Chciała mu wybaczyć, a nie mogła tego uczynić bez powiedzenia mu, że zaczyna nowe życie. I żeby do niego nie wchodził.

Weszła. Wszystko było tak jak dawniej... No, może prawie wszystko. Kanapy nie było, tak jak wielu innych rzeczy podstawowych rzeczy. Pewnie sprzedał je, aby żyć. Jakoś żyć.

Jak można żyć bez łóżka?! Czyżby spał na podłodze? A gdzie się podział stół?! Spojrzała w miejsce, gdzie powinna stać lodówka, i zobaczyła go.

Po dawnym Samuelu Carpenie nie było śladu. O ile kiedyś przypominał człowieka - przypominał, bo pewności, czy kiedyś nim był, nie miała - teraz był kimś gorszym niż włóczęga. Kimś żałośniejszym niż bezdomny. Gdyby chociaż kimś takim był...

I on ją zauważył. Uśmiechnął się - ten uśmiech nie wróżył niczego dobrego...

- I jak się miewa panna młoda? - zapytał ochrypłym głosem.

Panna młoda? Skąd wiedział? Skąd człowiek żyjący na tak niskim stopniu społeczeństwa, w środowisku, które nie zasługuje na miano domu, wiedział o tajemniczym ślubie bogatego przedsiębiorcy z nikomu dotąd nieznaną kobietą?

- Skąd ty... - chciała zapytać, ale w tym samym momencie wybuchnął śmiechem - śmiechem szaleńca,

po czym rzucił jej w twarz gazetę.

Na pierwszej stronie było jej zdjęcie. Jej i Daniela. I wiadomość o jego ślubie z tajemniczą kobietą...

Ślub nie był, tak jak myślała, tajemnicą. A Daniel o wiele ważniejszą osobistością, niż mogłaby sobie wyobrazić.

- Tajemnicza się zrobiłaś, tak? - zaśmiał się Samuel. - Ale tatuś zawsze pozna swoją córeczkę. Tatuś poznał i zrobiło mu się smutno, że jego kochana córeczka zapomniała o nim i zostawiła go.

Zrobiło się jej niedobrze, nogi wrosły w ziemię. Zaczęła się bać. Jeszcze dokładnie nie wiedziała, czego - może tego, że z każdym słowem był coraz bliżej niej.

Na jego twarzy nie było złości, lecz co najmniej szaleńcza wściekłość. Zaczęły trząść mu się ręce. Był trzeźwy, a więc silny, przytomny. Bardziej niebezpieczny.

Zamarło jej serce.

A i on nie wytrzymał.

Złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął. Wszystko w niej zagrzechotało. Jednak nie ruszała się.

Nie ruszyła się, nawet gdy popchnął ją na ścianę. Głupie myśli przyszyły jej do głowy - może sobie na to zasłużyła?

Nie ruszyła się, gdy dostała w twarz. Mocno. Poczuła, jak piecze ją kącik warg, jak coś metalicznie słonego obficie z nich wycieka.

Kolejny cios. Kolejny.

Chciała otworzyć usta i krzyczeć, ale nie mogła. Popchnął ją i upadła na podłogę.

Kopał ją w brzuch i w bok pleców, poczuła zimno jego brudnego buta na swojej twarzy.

Kolejny cios. Kolejny, kolejny...

Przestała liczyć i zapadła w ciemność.

Bliżej nieokreślone dźwięki. Jakies szумы, bez źródła, bez celu krążące wokół jej ciała. Nie wiedziała, czy je słyszała, czy może czuła powiewy wiatru, który ów szum mógłby wywoływać. Otaczała ją dziwna, namacalna, czarna mgła, bez zapachu, ani ciepła, ani zimna. Delikatnie okalała jej ciało.

Ciemność.

Leżała pomiędzy jawą a snem, czując, że coś jest nie tak, lecz nie bardzo wiedząc, co. Nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię, kim w ogóle jest.

Tak jakby owa czarna mgła zawładnęła jej głową, mieszając w mózgu i blokując wszystkie połączenia nerwowe.

Nie mogła poruszyć ani nogą, ani ręką. A jednak chociaż nie była w stanie się poruszyć, coraz wyraźniej czuła coś, co jej przeszkadzało, a czego jeszcze nie potrafiła wyjaśnić.

Przez tę niewiedzę poczuła dziwną pustkę w żołądku, która rosła i rosła, wypełniając cały jej brzuch. Napierała boleśnie na skórę, aż wypełniła się kamieniami.

Ból był coraz bardziej realistyczny.

Chwilę potem równie mocny ból Medison czuła już na wargach, które dzięki temu mogła zlokalizować. Ktoś co rusz ciskał w żuchwę jakimiś kamieniami.

A ciemność zaczęła się rozstępować. Mgła przerzedzała się, aż w końcu z czerni przemieniła się w neutralną szarość, a następnie w biel. W miarę jak wszystko jaśniało, Medison odczuwała materię. Dotarło do niej, że leży na czymś twardym. Nieprzyjemny zapach wypełniał pomieszczenie - duszący, ostry, wypełniał jej płuca.

Biała mgła zmieniła kolor na brązowy - tak szybko, że Medison aż zabolowały oczy. Bo dopiero je otworzyła.

Tajemniczym odcieniem brązu były podłogowe deski, na których leżała. Zdążyły się nagrzać pod jej ciałem, jednak od tych położonych dalej od niej bił chłód.

A obok Medison leżała gazeta. Gazeta, od której wszystko się zaczęło.

Wróciły chwile sprzed kilkunastu minut, a może godzin.

Nie wiedziała, ile czasu tu leży, niebo zakrywały ciężkie chmury, mogłoby być równie dobrze południe, jak i wieczór.

Wstała, co jednak okupiła niemałym trudem. Jednak najważniejsze było teraz to, aby odnaleźć lustro.

Przeszła do łazienki. Lustro było rozbite na sześć kawałków i niedbale posklejane. Mimo to Medison ujrzała swoją twarz w całej okazałości... O ile to w ogóle była ona, z pewnością nie była to nowa Medison Broogins - elegancka, bogata młoda mężatka. Z lustra patrzyła na nią Medison Carpen.

Była tak podobna do siebie sprzed trzech miesięcy, że aż poczuła ukłucie w sercu. Było nawet gorzej.

Jej twarz była chorobliwie blada - najwyraźniej z nerwów.

Z dolnej wargi, czerwonej i nieproporcjonalnie dużej w stosunku do górnej, jeszcze sączyła się krew. Prawa strona żuchwy była lekko fioletowa i opuchnięta. O włosach, potarganych i stojących we wszystkie strony, lepiej było nie wspominać.

Westchnęła. Problemem nie był tutaj ból, lecz to, jak pojawić się niezauważoną w domu. Daniel równie dobrze mógł być w pracy, robić na lewo jakieś interesy lub skakać na korytarzu z nerwów pod żyrandol, czekając na pojawienie się jej w domu.

Nie lubił, gdy sama wychodziła, nie powiadamiając o tym nikogo. Czyżby nie był pewny, że rzucona przez niego groźba na coś się zda? W każdym razie czy by czekał, czy nie, lepiej byłoby zatuszować odniesione obrażenia.

Mogłaby pomalować usta na wściekle czerwony kolor, co trochę zatuszowałoby rozcięcie, a opuchniętą żuchwę zakryć na razie szalem. Jednak żadnej z tych rzeczy tutaj nie miała.

A nie mogła pozwolić na to, aby Daniel teraz z niej szydził - z niej i z jej ojca. Mógł śmiać się z jej małego zasobu słów, braku elegancji i prostych odpowiedzi na wyszukane pytania - ale nie miał prawa kpić z jej zewnętrznego cierpienia, z blizn, ran, każdej kropli krwi, wydobywającej się z jakiegokolwiek rany.

Więc co miała zrobić?!

Jakby w odpowiedzi na niezadane przez nią pytanie, zobaczyła leżącą w kącie łazienki na podłodze zakurzoną i zapomnianą przez wszystkich beżową chustę.

Każdy krok sprawiał ból. Każdy oddech. Każde otwarcie lub zamknięcie ust. Każdy ruch.

Jeszcze tylko kilka kroków.

No dobra, kilkadziesiąt, może kilkaset... Nie, przecież mijają już czerwony dom otoczony śniegiem. Jeszcze chwilę.

Tylko jeden zakręt, trzy pałace i będzie w domu.

Śnieg padał coraz rzadziej, co nie wróżyło Medison niczego dobrego. Biały puch osiadający na beżowej chuście koł ból. Owa chusta stanowiła idealną maskę - doskonale zasłaniała usta i żuchwę. W domu miała zapaść na gripę i przez najbliższy tydzień nie wychodzić z pokoju.

Skręciła w lewo. Jej oczom ukazał się jej dom - chwila prawdy.

Lekko zdenerwowana wkroczyła na białe płytki prowadzące do ciemnych, ponurych drzwi. Kafelki jak zawsze były czyste, nie odpowiadały na roztapiający się śnieg, który spływał po nich wraz z kurzem. Jakby otoczone niewidzialną barierą, odpychały brud.

Medison znalazła się przed drzwiami. Zadzwoiła i usłyszała głośny dźwięk gongu, który miał oznajmić wszystkim - być może też Danielowi - że ktoś się zbliża.

Zza masywnych drzwi ledwo usłyszała kroki - bardzo szybkie kroki, ktoś wręcz podbiegał do drzwi. Najpewniej Rebeka - Olivia zaczynała swoją zmianę po południu, Daniel natomiast nigdy by się nie zniżył do otwierania drzwi.

Pstryknęły zasuwki, zgrzytnęły otwierane drzwi.

- Witaj Rebeko... - powiedziała Medison, nie ujrzawszy jeszcze twarzy osoby, która otworzyła drzwi.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu osobą tą nie była drobna kobiecina o twarzy poranej zmarszczkami i ozdobionej matczynym, troskliwym uśmiechem. Ta twarz nie zależała nawet do kobiety. Bo otworzył jej blondyn, właśnie ten dumny blondyn o czarnych oczach.

Ten szalenie przystojny blondyn...

Twarz miał spiętą ze zdenerwowania, bledszą niż zwykle.

Gdy ją zobaczył, pobladł jeszcze bardziej - o ile to w ogóle było możliwe - i gwałtownym ruchem wciągnął ją do środka.

Był wściekły. Znowu wściekły. Tak łatwo można go było wyprowadzić z równowagi. Daniel przyjrzał się jej wściekłym spojrzeniem, przypominał teraz drapieżnika. On był demonem, ona jego ofiarą - jak zawsze zresztą.

Zmierzył ją spojrzeniem pełnym wrogości i agresji, po czym zatrzymał wzrok na beżowej chuście zakrywającej połowę twarzy. Dopiero teraz dotarło do Medison, jak musi wyglądać - bardzo podejrzanie.

- Zateśniłaś za starymi rzeczami? - uśmiechnął się z pogardą i podszedł do niej. Wyciągnął rękę.

O nie...

Sięgnął do chusty. Jego długie, blade palce już miały ją ściągnąć, ale Medison była szybsza. Zaciśnęła rękę na jego nadgarstku mocniej, niż to było potrzebne, i próbowała odciągnąć od swojej żuchwy jego dłoń.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma, tak bardzo przypominał teraz Michaela, że aż ją zmroziło. Czy oni wszyscy musieli być do siebie tacy podobni?! Każdy gest tych ludzi ujawniał demony, które kryły się za ich plecami.

- Co przede mną ukrywasz? - wyszeptał.

I stało się coś, czego Medison nie przewidziała, czego nie mogła przewidzieć. Bo czy to się stało naprawdę - tego również nie była pewna.

Daniel delikatnie położył swoją drugą dłoń na rękę Medison i próbował rozluźnić uścisk jej dłoni na swoim nadgarstku. Dopiero teraz dotarło do Medison, jak mocno go trzymała. Powoli rozluźniła uścisk. Na nadgarstku Daniela odcisnęły się ślady jej palców.

Powoli zaczął rozluźniać węzeł chusty, tak delikatnie, iż Medison nie była pewna, czy robi to, czy nie. Spojrzała na niego z przerażeniem w oczach, z całej siły pragnąc, aby przestał. Aby zrozumiał, że to nie jego sprawa. Że nie powinien.

Ale on nie ustępował. Ściągnął chustę, a Medison zamknęła oczy, czekając z sercem bijącym jak oszalałe na ostateczny wybuch.

Tymczasem na swojej opuchniętej żuchwie, która piekła ją, jakby ktoś dotykał ją w tym miejscu rozżarzonym do białości prętem, poczuła dotyk jego ciepłej dłoni. Jej serce straciło rytm i chyba stanęło na chwilę, gdy pogładził ją po rozbitej wardze, a robił to tak delikatnie, że nie wyzwalał w niej bólu, ale zmniejszał go, jakby zamykał w klatce.

Otworzyła oczy. Daniel był w szoku.

Tak, Daniel Broogins był w szoku. Nie pod wpływem przegranej zakładu, utraty pieniędzy. Był w szoku, bo zobaczył ją.

Litość. Szok. Smutek. Niedowierzenie. Troska.

Takiego Daniela Medison nie знаła. I nie myślała poznać.

Pogładził ją po policzku, po skroniach, a jej serce znów przyśpieszyło.

Chwila, tak przecież nie mogło być!

- Kto ci to zrobił? - wyszeptał.

Medison nie wytrzymała. Odepchnęła jego dłoń i minęła go gwałtownym ruchem. Czuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Czysta wściekłość.

Czy on sobie żartował? Daniel miałby nie wiedzieć, kto ją tak urządził? Najwyraźniej sobie z niej kpił.

Medison zdenerwowanie miała chyba wypisane na twarzy, bo odpowiedział:

- Odpowiesz mi czy nie?

- Czyżbyś nie wiedział, Danielu? Ty? - zaśmiała się histerycznie, a gniew wciąż w niej wzbierał. Nie mogła go opanować.

- Nie. Nie wiem - ton jego głosu stawał się coraz bardziej szorstki.

Wracamy do rzeczywistości...

- Więc wysil swój mały mózg, uruchom szare komórki!

Zamiast wciąż przeliczać utracone i zdobyte pieniądze, zajmij się logiką, matole! Co w ciebie wstąpiło? Chcesz zamydlić mi oczy? Po co ci to?! Wcale nie jesteś taki wspaniały, ty przemądrzały, arogancki, agresywny szatanie, ty głupi bubku, ty...

Ups...

- Czy ja... naprawdę to powiedziałam? - zapytała, przysłaniając usta ręką. Natychmiast tego pożałowała, ponieważ wargi zaczęły ją niemiłosiernie piec.

- Nie zgrywaj głupiej, Medison, bo uznam, że ładniej będziesz się prezentować na chodniku przed domem jako przykład niziny społecznej.

Logiczne. W końcu już jednej osobie powiedział o jej pochodzeniu, więc dlaczego inni mieliby się nie dowiedzieć teraz, od razu? W końcu pokazała, na co tak naprawdę ją stać.

No i odsłoniła swój słownik.

- Co w ciebie wstąpiło? Dlaczego tak... - nie dokończyła.

Liczyła, że zrozumie, że chodzi jej o jego wcześniejsze dziwne zachowanie.

- Zdenerwowałem się, bo nie możesz tak wyglądać!

Madeleine zaprosiła nas na wtorek do siebie. Będzie tam cała jej rodzina, więc jeśli nie chcemy się narazić na kpiny i plotki, to...

- Naprawdę tylko o to ci chodzi? - zapytała. Jakoś nie mogła w to uwierzyć, nie wiedziała tylko, dlaczego.

- W przeciwieństwie do ciebie mi zależy na dobrej reputacji. Nie spędziłem większości życia w śmietniku, więc nie wiem, jak to jest, gdy ktoś ciągle cię obgaduje. I chyba nie chciałbym wie...

Nie zdążył dokończyć zdania. Znowu rozległ się odgłos gongu, na korytarzu stokroć głośniejszy niż przed drzwiami.

- Olivia znowu za wcześnie przychodzi. Rebeko, otwórz drzwi! - zawołał.

„Ach, jakiego zaszczytu dostąpiłam, że sam otworzył mi drzwi...” - pomyślała Medison z ironią, podczas gdy on wpatrywał się przeciwległą ścianę.

Rebeka zmaterializowała się na schodach. Prędko z nich zbiegła. Szybkim krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je.

Nie stała w nich Olivia.

- Doktor Hogans? - zdziwiła się Medison, ujrawszy w drzwiach znajomego doktora.

On również przyjrzał się jej uważnie.

- Medison? Kto ci to...? - zapytał zdziwiony. Dlaczego nikt nie mógł się połapać w tym, kto ją pobił?

Halo, doktorze, nie znasz mojej przeszłości?!

- To ty dzwoniłeś po doktora Hogansa? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Nie. To doktor do nas zadzwonił - odparł Daniel.

- Doktor do nas dzwonił?! Po co?!

- Danielu, to ona nie wie? - tym razem doktor był zszokowany.

- Dopiero wróciła - wyjaśnił Daniel. Chwila, moment!

Stop!

- Czego mam nie wiedzieć? - spytała.

- Dzwonili w sprawie Samuela - odpowiedział doktor Hogans. - Źle się poczuł na ulicy, gdzieś

kilometr od jego domu.

Medison patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Samuel Carpen? Ten niezniszczalny damski bokser? On miałby źle poczuć się na ulicy?

Doktor nic nie mówił. Daniel wpatrywał się z udawanym zainteresowaniem w białe ściany korytarza, a Medison nadal stała w jednym miejscu, przeczuwając, że doktor miał do powiedzenia coś jeszcze.

- Właśnie dokonałem oględzin zwłok.

Rozdział XI

Maska na nic się nie zda, gdy w grę wchodzi uczucie Nawet nie zdawała sobie sprawy, że siedzi w salonie, którego klimat zawsze ją denerwował. Nie docierały do niej odurzające zapachy kadzideł. Drażniący dym był niczym w porównaniu z bólem głowy, wywołanym intensywnymi myślami.

- Według świadków wszystko działo się zbyt szybko, aby ktokolwiek mógł zareagować. Ulica była niemalże pusta, może trzy, cztery osoby obserwowały jego dziwne zachowanie.

- Dziwne, to znaczy... - Medison nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

Jej cichy głos, słowa wypowiedziane grobowym tonem w ciasnym pomieszczeniu zabrzmiały dziesięć razy głośniej.

- Samuel bardzo się śpieszył i jakby przed czymś uciekał.

Cóż, dotychczasowy tryb życia, nerwy, wysiłek... Zwłaszcza alkohol...

Medison zacisnęła zęby. Czy doktor nie mógł zachować tej uwagi dla siebie?

- ...Wszystko to doprowadziło najprawdopodobniej do rozległego zawału. Nic już nie dało się zrobić. Po tym wszystkim ludzie jakby zapadli się pod ziemię, telefon o jego stanie dostaliśmy dopiero dziesięć minut po całym zajściu.

Chociaż nie wiem, czy wcześniejsza interwencja coś by dała.

Dziesięć minut na ulicy spędzonych w samotności.

Samuel Carpen umierał, wiedząc, że nikt nie zdoła mu pomóc.

- To dlatego doktor do nas zadzwonił... - wyszeptła Medison.

- Uznałem, że powinnaś wiedzieć. Już chciałem biec do twojego dawnego domu, kiedy przypomniałem sobie, że już tam nie mieszkasz - spojrzał na Daniela ciekawskim spojrzeniem, nie rozumiejąc, co mogłoby połączyć biedną dziewczynę z nizin społecznych i bogatego przedsiębiorcę - nie wiem, czy dobrze zrobiłem, rezygnując z wędrówki do mieszkania twego ojca.

Przyjrzał się jej uważniej. Jego mądre oczy wypalały dziury w opuchniętej zuchwie, tak bardzo chciał wiedzieć.

- Kto ci to zrobił, Medison? - spytał zatroskanym głosem.

Medison spojrzała na doktora, a następnie odwróciła twarz w stronę Daniela. Nie chciała wyjawiać przy nim żadnych szczegółów.

Doktor Hogans pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedział. Daniel prychnął.

Doktor oceniał sytuację w pokoju. Tajemniczość.

Niewiedza. Ironia. Sugestia. To nie pasowało do kochającego się małżeństwa, za jakie się podawali.

- Danielu - ku wielkiemu zdziwieniu Medison doktor skinął na Brooginsa. Ten tylko obrzucił ich ostrym spojrzeniem. Na jego twarzy malowała się pogarda. Nie miał szacunku nawet do doktora. Ach, ten Daniel, zawsze ponad wszystkimi...

Ale wstał z fotela i wyszedł z salonu.

Doktor westchnął. Widać już ich przejrzał. Spojrzał na Medison oczyma pełnymi troski i niedowierzania, po czym pokiwał głową.

- Nigdy nie byłem głupcem, Medison - rzekł, ponownie spoglądając jej w oczy.

- A ja nigdy tak nie myślałam - odparła. Jej głos stał się silny i hardy. - Ale wiem, co robię.

- Też tak myślę - nie spuszczał z niej oczu. - Ale znam Daniela Brooginsa i środowisko, w którym żyje. Znam ciebie... I nie obraż się, ale... Nie pasujesz ani do niego, ani do jego otoczenia.

Medison prychnęła. No tak, to było logiczne. Małpa w sukni i tak pozostanie małpą... Czy jak to szło.

- Nie zrozum mnie źle. Jesteś zbyt delikatna, zbyt szczerą... Może nie ufna i naiwna, ale wśród niektórych ludzi... nawet ja nie czuję się bezpiecznie.

- Wiem, co robię - warknęła, chociaż zaskoczyło ją, że doktor ma do tych ludzi taki sam stosunek jak

ona.

- Tak też myślę - powtórzył doktor. - A teraz chodź tu...

Zobaczę, co też ci się stało.

Medison wstała zrezygnowana z krzesła i podeszła do doktora. Dokładnie przyglądał się opuchniętej zuchwie i zaczął dokładnie oglądać całą głowę.

- To dlatego wszyscy się dziwili... Nikt nie wiedział, kto mi to zrobił...? - spytała.

Doktor nie odpowiedział.

- Bo on już nie żył - ciągnęła. - Nie mogłam tam leżeć długo. A on po prostu wybiegł z domu i... - wzięła głęboki oddech. Głos zaczął się jej załamywać, a nie chciała sobie pozwolić na chwilę słabości.

- Tak, może właśnie tym był tak zdenerwowany.

Medison zaśmiała się cicho, nie mogąc w to uwierzyć, ale doktor Hogans puścił to mimo uszu.

- Cokolwiek by się działo, był twoim ojcem. Załamał się pod ciężarem życia, przed którym chciał uciec, ale ty mimo wszystkich przeciwności losu byłaś jego córką. A dzieci się kocha.

Dlaczego jej to mówił? Po co mu to było? Czy każdy chciał zobaczyć, że pomimo swojej aktorskiej gry, maski, którą nosiła na twarzy, jest jej bardzo ciężko?

- Ale było i minęło, prawda? - wycedziła. - Nie ma co wspominać przeszłości. Jak to było, zanim mama odeszła...

Zanim wszystko się popsuło.

- Sama to teraz wspominasz, Medison - zauważył.

- Bo mi pan mąci w głowie! - krzyknęła. - Może lepiej by mi pan powiedział, kiedy opuchlizna zajdzie... Jest pan lekarzem czy nie?

- Zejdzie za kilka dni, najdalej za tydzień - obojętny ton jego głosu wskazywał, że to akurat najmniej go obchodzi. - I nie martw się, nie mam do ciebie żalu.

- Żalu? - powtórzyła, unosząc brwi.

- Znam cię od dziecka. Wiem, że po wybuchu złości nachodzą cię wyrzuty sumienia. Więc od razu cię uprzedzam, żebyś się nie zadreślała. Rozumiem cię.

Jeszcze przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Zapachy kadzideł były ledwie wyczuwalne, aromatyczny dym opadał, pozostawiając po sobie ledwie widoczną kwiatową mgiełkę.

Mężczyzna w końcu wstał zrezygnowany z fotela, wziął swoją teczkę i wyszedł z salonu, nawet nie czekając na Medison.

Stała jeszcze przez chwilę, pogrążona we własnych myślach, w otępieniu. Doktor miał rację i jego zapewnienia, że nie ma jej za złe wybuchów złości, na nic się nie zdały. Po prostu taką miała naturę. Gdy ujrzała w wyobraźni jego dobrą, mądrą twarz, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Były nie do zniesienia. Paliły płuca, dławily i ścisnęły za serce.

Nie mogła już znieść widoku ciasnego pomieszczenia, w którym odbyła się cała rozmowa. Energicznym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je. Ugodził ją chłód bijący od marmurowych ścian korytarza. Teraz koił jej zszargane nerwy.

Szybko wbiegła na schody, pozostawiając za sobą drzwi wejściowe, przez które doktor Hogans wszedł i które niespełna godzinę temu otworzył jej sam Daniel. Skręciła w lewy korytarz i odszukała właściwe drzwi. Weszła do swojego ciemnego, chłodnego pokoju, zatrzasnęła za sobą teraz ledwie widoczne drzwi i rzuciła się na łóżko.

Tak naprawdę dopiero teraz docierało do niej, że ON nie żyje. Trudno było podstawiać jego imię, jego osobę, na pozór niezniszczalną, pod trupa. Nie mogła uwierzyć, że nie zobaczy

już tej zniszczonej twarzy, poranej trudami życia i wieczną walką.

Samuel Carpen, tak jak ona, był tylko człowiekiem, który bał się życia, który uciekał przed nim. I uciekł - trafiając prosto w ramiona śmierci.

A Medison poczuła, jak bardzo będzie jej brakowało jego twarzy. Jego dawnego oblicza, uśmiechniętego i przystojnego.

Zaczęła szlochać w poduszkę. Płakała, bo dopiero teraz poczuła, że od zawsze kochała swojego ojca, którego już nie zobaczy.

- Czy nie mógłbyś jechać szybciej? - wycedziła przez

zaciśnięte zęby.

Medison i Daniel jechali właśnie samochodem do Madeleine. Opuchlizna z twarzy Medison szybko znikła, a po dniu, w którym zmarł jej ojciec, pozostały tylko wspomnienia.

Tak przynajmniej chciała myśleć. Jednak zawsze gdy Samuel wkładał się do jej myśli, otwierała się pulsująca rana w miejscu serca. Pompowało ono wtedy krew szybciej niż zwykle, z niewidzialnej rany wypływała ciecz, a Medison czuła ból towarzyszący biciu... To wszystko, co odczuwała.

Starła się zapomnieć o tym, że od zawsze kochała swego ojca. Nic nie było jej teraz mniej potrzebne niż morze łez wylewane nad losem. Nad twarzą, która przez ostatnie kilka nocy pojawiała się w jej snach, wyraźna i groźna, nad obliczem, które było jej znane.

Ostatnio było jednak inaczej.

Pomieszczenie to było ciemne i puste, pozbawione okien.

Nie było tutaj lampy, którą mogłaby zapalić, aby dokładnie ujrzeć scenę rozgrywającą się przed nią lub w której brała udział.

Jak to często w snach bywa, była obserwatorem, który ze zdziwieniem patrzył na kulącą się przed nim sylwetkę.

Jednocześnie czuła pod sobą zimno posadzki, na której ów człowiek leżał, odczuwała ból, ogromny ból wydobywający się z głębi serca. Dokładnie widziała wykrzywioną cierpieniem twarz zaniedbanego mężczyzny, któremu nie mogła pomóc, bo w tym samym momencie leżała na posadzce, będąc owym męczennikiem. Zobaczyła ciemne punkciki zasłaniające jej obraz.

Jakby była dwiema osobami naraz.

Ból, który był nie do zniesienia i jeszcze przybierał na sile, zdawał się dziwnym sposobem nie dotykać jej. Cierpiała, nie męcząc się. Coś, co kaleczyło jej serce, co kazało umrzeć, było poza nią.

Nagle ból minął. Do tego samego pomieszczenia, które jeszcze przed chwilą było pozbawione okien, wlewało się jaskrawe słoneczne światło. Mężczyzna kulił się przed nią na podłodze, obejmował się ramionami, wydawał przeraźliwe, mrozące krew w żyłach dźwięki. Medison mogła jednak tylko stać, mimo że nie była oddzielona od ojca żadną barierą, materialną czy też niewidzialną, wiedziała, że nie może mu pomóc. Stopy miała przytwierdzone czymś ciężkim do podłoża. Spojrzała na nie: niczego na nich nie było.

Samuel kilkakrotnie krzyknął z bólu i zaczął rzucać się po szarej posadzce. Był bezbronny wobec bólu, wobec niedostrzegalnej mocy, która zadawała mu śmiertelne ciosy.

W pokoju było duszno, Medison czuła, jak krople potu spływają jej po plecach, jednak nie mogła się ruszyć. Jej ojciec nadał miotał się po pomieszczeniu, ogarnięty bólem, który niszczył go od środka, doprowadzał do szaleństwa.

Medison czuła to. Tak bardzo chciała, aby przestał, tak mocno pragnęła stamtąd wyjść, zostawić go w spokoju. Po co ma tam być, skoro nie może mu pomóc?!

Mężczyzna w końcu ucichł. Leżał na zimnej podłodze, wyglądał, jakby spał. Stopy Medison,

uwolnione od przytłaczającego je ciężaru, same skierowały się ku Samuelowi. Tymczasem powietrze zgęstniało jeszcze bardziej, w pomieszczeniu zrobiło się gorąco, jakaś ciepła chmura spowijała jej ciało...

Uklękła przed martwym ciałem ojca. Jego twarz nie zdradzała niczego. Równie dobrze mogłaby pomyśleć, że śpi: nie był blady. Dotknęła jego ręki: była bardzo ciepła, wręcz gorąca. Spojrzała mu w twarz. I nagle zapragnęła jak najdalej odejść. Już wstawała...

Ręka Samuela zacisnęła się na jej dłoni.

Chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Spojrzała w twarz, która nagle zrobiła się blada, wręcz sina. Samuel otworzył powieki, które nie osłaniały niczego. Ukazały się jej puste oczodoły Samuela Carpena.

Zaczęła krzyczeć - tak głośno, że aż bolało ją gardło.

Uwięziona gdzieś między snem a jawą, nie widziała, a czuła, jak Samuel zadaje jej nożem ostateczny cios.

Obudziła się

zlana

potem pośród krzyków wydobywających się z jej własnego, przesuszonego gardła.

Próbowała wyplątać się z pościeli, którą była prawie cała owinięta. W końcu udało się jej. Przestała krzyczeć. Odkryła się i usiadła na łóżku.

Okno było otwarte, szybko dotknęło ją zimno. W pokoju było ciemno. Spojrzała na zegar wiszący nad łóżkiem, którego cyfry i wskazówki były podświetlane. Było dziesięć po drugiej.

Pośród odgłosów nocy i zimnego powietrza jej sen, przed chwilą tak rzeczywisty, zaczął się ulatniać. Jednak jej dłonie nadal drżały, a oddech był przyspieszony. Serce biło jej szybko, z zawrotną prędkością pompowało krew. Starła się uspokoić...

Wtem drzwi otworzyły się na całą szerokość i do pokoju wpadł Daniel. Był blady, bledszy niż zwykle, bardzo czymś zdenerwowany, co zdradzała jego twarz i gwałtowne ruchy.

Zobaczył, że Medison, prawie tak samo blada, trzęsie się na łóżku.

- Co się stało? - wycedził przez zęby. Był naprawdę bardzo zdenerwowany.

Medison nie udało się od razu odpowiedzieć, jego słowa późno do niej dotarły. Minęła chwila, zanim zrozumiała, o co zapytał. Odchrząknęła i odpowiedziała: - Miałam koszmar.

Usłyszawszy to, Daniel od razu się rozluźnił. Przyjrzała mu się. Miał na sobie spodnie od piżamy, jednak był bez koszulki. Poczwała, jak na jej niezdrowo bladą twarz występują rumieńce.

- Czy chciałabyś o tym porozmawiać? - spytał tonem terapeuty i zaśmiał się kpiąco. Medison z trudem przestała mu się przyglądać i rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

- Po co w ogóle tutaj przybiegłeś? - warknęła.

- Krzyczałaś tak głośno, że było cię słychać w całym domu, Carpen, więc się nie dziw, że byłem zaniepokojony.

Nie chciałem, żeby jacyś bandyci zdemolowali mi dom. Cóż, miałem im właśnie powiedzieć, żeby wzięli ciebie, ale mój majątek zostawili w spokoju...

- No właśnie. Pieniądze za zakład już masz, więc nie musiałbyś się dalej męczyć - powiedziała, bo nagle coś przyszło jej do głowy. Jedną odpowiedź mogła utwierdzić ją w przekonaniu, że...

- Widzę, Carpen, że zaczynasz myśleć - uśmiechnął się szyderczo.

I o to właśnie chodziło. W tym momencie powiedział jej, że jej życie jest w jego rękach. Że nie jest mu do niczego potrzebna. Że jeśli jej ciekawska natura zwycięży, może pozbyć się jej z tego świata. Z zimną krwią.

- Czy jeśli teraz wyjdę, będę miał pewność, że już więcej mnie nie obudzisz? - spytał.

- Możesz być tego pewny - odrzekła sztywno. Była pewna, że już dzisiaj nie zaśnie.

- W takim razie, Carpen, życzę ci słodkich snów. Tak na wszelki wypadek.

I wyszedł z pokoju, pozostawiając za sobą jedynie echo swojego śmiechu i rumieńce na twarzy Medison.

- Nie mam zamiaru jechać szybciej, Carpen. Zwracam

uwagę na ograniczenia prędkości - warknął Daniel.

- Na miłość Boską, jedziemy autostradą, a ty prowadzisz sześćdziesiąt na godzinę? - jęknęła.

Daniel był coraz bardziej zdenerwowany. Tak mocno zacisnął ręce na kierownicy, że pobielały mu i tak już blade palce. Szeptał coś złowrogo do samego siebie, zbyt cicho, aby mogła usłyszeć, o czym mówi. Zgadła jednak, że musi rzucać pod jej adresem najrozmaitsze obelgi, bo co chwila zerkał w jej stronę.

- Nie wierzę, że zawsze tak jeździsz! - zrzędziła, jeszcze bardziej doprowadzając go do szału.

- A ja nie wierze, że kiedyś w ogóle jechałaś samochodem. Myślałem, że co najwyżej autobusem szkolnym - odparł.

- Prowadzisz, jakbyś dopiero wczoraj zrobił prawo jazdy -

Medison nie pozostała ma dłużna.

Rzucił w jej stronę wściekłe spojrzenie, które dodatkowo potęgowały jego czarne oczy. Mimo chęci niezwracania na to uwagi, zadrżała.

- Dlaczego chcesz, żebym szybciej jechał? - zapytał, starając się uspokoić, jednak głos wciąż drżał mu z nerwów.

Kierując jedną ręką, drugą zaczął masować się po skroni.

- Bo chcę się w końcu spotkać z Madeleine! - czy to nie było dla niego oczywiste?

Cóż, dla niej nie było. Oczywiście, chciała spotkać się ze swoją przyjaciółką, bo tak teraz nazywała Madeleine. Nie mogła się również doczekać, kiedy pozna jej rodzinę, która na weselu wydawała się jej cudowna... Ale najbardziej chciała się z nią spotkać, aby nie być już tak blisko Daniela. Zwłaszcza teraz, w samochodzie, gdy siedzieli obok siebie, czuła przed nim strach, którego wolałaby się pozbyć. Jednak nad lękiem górę brała fascynacja jego urodą, którego to uczucia jeszcze bardziej nie tolerowała.

Według Medison ostatnio byli za blisko siebie. Zbyt często zdarzało się jej zapominać, że Daniel jest jej wrogiem, który w każdej chwili może pomóc jej zniknąć z tego świata.

Nie mogąc dłużej znieść tempa, w jakim przemierzali autostradę, krzyknęła:

- Dojedziemy tam za rok! Daniel nie wytrzymał.

- MEDISON!!! - wrzasnął na całe gardło.

- Medison? - była szczerze zdziwiona. - A gdzie Carpen?

Nie odpowiedział.

- A gdzie Carpen? - powtórzyła pytanie. To, że w takiej chwili zwrócił się do niej po imieniu, było doprawdy paranormalnym zjawiskiem.

- Carpen, jeśli zaraz się nie zamkniesz, wylecisz przez okno - wycedził przez zęby.

Zadrżała. Daniel naprawdę byłby w stanie odpiąć jej pasy bezpieczeństwa, otworzyć drzwi od jej strony i nagle przyśpieszyć.

- Ale ja tylko proszę... - szepnęła. Zaskoczyła go.

- Medison, ty mnie o coś PROSISZ?

, Przez chwilę myślał. Między jego brwiami pojawiła się jakaś zmarszczka. W końcu uśmiechnął się: - Nie, nie przyśpieszę - powiedział.

- Nie będę błagać cię na kolanach - odparła, zgadując, że właśnie o to mu chodzi.

Zerknął na nią przelotnie, zmrużył oczy. Wskazówka na prędkościomierzu zaczęła przesuwać się w górę. Medison uśmiechnęła się tryumfująco. Spojrzała na Daniela. O dziwo, on też z jakiegoś powodu się uśmiechał.

- Czy ty się uśmiechasz? - za dużo rewelacji jak na jeden dzień, oj, za dużo...

- Śmieję się z wyrazu twojej twarzy, Carpen. To duża różnica - najwidoczniej zdziwiła go jej spostrzegawczość.

Zdziwiła - to mało powiedziane. Przestraszyła go.

- Mniejsza z tym.

Wiedziała, że się uśmiechał. Ten uśmiech rozświetlał jego twarz, stawała się nie bledsza, ale w dziwnie uroczy sposób jaśniejsza. Nie był to szydery uśmiech, którym często ją obdarzał. To był uśmiech... Uśmiech człowieka!

- Kiedy dojedziemy?

- Za chwilę. Dom Madeleine stoi w dość nietypowym miejscu.

Przez resztę trasy Daniel jechał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Medison nie wiedziała, dlaczego nie może przyspieszyć. Ograniczenia prędkości zakazywały jazdy powyżej stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Nie wierzyła, że winien był samochód - lśniący czarny mercedes, którego wewnątrz pachniało wanilią. Ta prędkość musiała jej jednak wystarczyć.

Po nieskończeniu długich piętnastu minutach, w ciągu których zza białych chmur wyszło słońce, droga urwała się.

Daniel zatrzymał samochód.

- To tutaj?

Za asfaltem był tylko wąski chodniczek zbudowany z różowych i rdzawoczerwonych płytek. Skręcał w lewo i znikał za rzędem wysokich brzoź. Nigdzie nie było widać domu.

- Owszem - odrzekł Daniel. Nie wysiadał z samochodu, jakby się ociągał. Ta wizyta widocznie nie sprawiała mu przyjemności.

W końcu podniósł się z fotela i wyszedł z samochodu.

Medison właśnie miała otworzyć drzwi ze swojej strony, ale Daniel wyręczył ją. Szczerze zaskoczona jego zachowaniem, wychodząc, potknęła się o kamień. Daniel prychnął.

Zlekceważyła to i zapytała: - Od kiedy to Daniel Broogins otwiera drzwi biednej kobiecie?

Usłyszawszy to, skrzywił się. Medison czekała na odpowiedź.

- Wrodzona kultura - wyjaśnił, bo widział, że nie zamierzała odpuścić.

- Ale mnie? Medison Carpen? - wyraźnie prosiła się dzisiaj, aby się na niej wyżył. Jego spokojnie, dziwne zachowanie zaczęło działać jej na nerwy. To nie był ten sam Daniel, z którym zamieszkała trzy miesiące temu.

I osiągnęła cel. Przez chwilę myślała, że spojrzenie, jakim obdarzył ją Daniel, zmrozi ją, poczuła jednak tylko mocniejsze igielki styczniowego powietrza.

- Idziemy i ani słowa więcej - warknął. Trudno było nie słuchać go w takiej chwili.

Posłusznie poszła za nim skręcającą za drzewa ścieżką.

Spodziewała się zgniłozielonej trawy, uschniętych, wymęczonych swoją egzystencją drzew.

To, co zobaczyła, sprawiło, że na chwilę przystanęła i szeroko otworzyła usta... z zachwytem.

Zbudowana z różowych i rdzawoczerwonych kafelków ścieżka jeszcze przez jakieś dwieście metrów wiała się pośród soczyście zielonej trawy. Prowadziła ona do pomarańczowego piętrowego domku. Był on duży, zbudowany jednak w taki sposób, że wyglądał na przytulny. Okna były duże, już z tej odległości było widać zawieszane w nich czerwone i żółte firanki. Drzwi z pomalowanego na pomarańczowy kolor drewna zlewały się ze ścianami domu; były bardzo trudne do zlokalizowania. Dach domku był czerwony.

Medison dopiero teraz zrozumiała, co Daniel miał na myśli, mówiąc, że dom Madeleine leży w dość nietypowym miejscu. O ile ona i Broogins mieszkali w zabudowanej, tętniącej życiem dzielnicy niedaleko centrum miasta, Madeleine z mężem i rodziną byli całkowicie oddzieleni od miejskiej cywilizacji. Z tarasu przed domem mieli cudowny widok na czyste jezioro, w którym odbijały się promienie słońca. Za akwenem piętrzyły się wysokie, wiekowe dęby, przed nim zaś była tylko trawa. W oddali nad jeziorem rosły dwie wierzby płaczące. Pod nimi stały ławki w kolorze domu.

Zerwał się wiatr, niosąc ze sobą świeże morskie powietrze znad jeziora.

- Idziesz czy nie? - znudzony głos Daniela zakłócił piękno krajobrazu. Najwyraźniej nie uważał, że to miejsce ma w sobie coś magicznego.

- Już idę, idę - Medison zaczęła szybko stąpać po drodze, uważając przy tym, aby nie wykręcić sobie kostki w butach na wysokich obcasach. Chociaż ostatnio często ćwiczyła chodzenie w szpilek, nadal nie bardzo jej to wychodziło.

Najwyraźniej nie była do tego stworzona.

Szli w milczeniu - ale czego innego miałyby się spodziewać? Ogarniało ją coraz większe zdenerwowanie.

Rodzina Madeleine była z pewnością bardziej „ludzka” niż pobratymcy Daniela. Jednak spotkała na swej drodze tylu fałszywych ludzi, że miała prawo być uprzedzona.

Przeszli już ponad sto metrów dzielących ich od domku, gdy rozległy się jakieś piski i szczeknięcia. Z domu wybiegła podekscytowana Madeleine - jej geometrycznie ścięte włosy były spięte z tyłu w coś w rodzaju koczka; Medison nie mogła uwierzyć, że z jej krótkiej fryzury mogło powstać coś takiego.

Biegła z gracją w butach na bardzo wysokich obcasach, ani na chwilę nie tracąc przy tym równowagi.

Za nią wybiegł z domu mały rudy piesek. Dogonił swoją panią i skakał wokół niej z wywieszonym językiem. Długie uszy, które powiewały mu na wietrze, upodabniały go troszkę do nietoperza.

W końcu Madeleine dobiegła do nich z szerokim uśmiechem na twarzy i rzuciła się Medison na szyję, po czym tak samo, jednak z nieco mniejszym entuzjazmem, powitała Daniela.

Medison spodziewała się, że pies zacznie na nią warczeć - w końcu nie znał jej zapachu. On jednak, najwyraźniej przestraszony obecnością nowej osoby, schował się za Madeleine.

- Ojej, jak miło was widzieć! - zapiszczała. - Już nie mogłam się doczekać! Christopher! - Medison dopiero teraz zauważyła, że mąż Madeleine wyszedł z domu i zaczął zmierzać swobodnym krokiem w ich stronę. - Już przyjechali!

- Jakbym sam nie widział - zaśmiał się.

- Poznaj, Medison, mojego psa, Rocky'ego.

- Jest cudowny - Medison chciała się pochylić i go pogłaskać, ale pies tylko zaskamlał i schował się za swoim panem. - Chyba się mnie boi.

- To taki mały tchórz - zaśmiał się Christopher. Medison była pod wrażeniem - Christopher się zaśmiał! Ostatnio widziała go na przyjęciu, które Daniel urządził z okazji ich wesela. Na imprezie zaręczynowej zachowywał się jak bubek.

Nie wywarł wtedy na niej dobrego wrażenia. Był sztywny i wydawało się, że patrzy na wszystkich z góry. Teraz po dawnym Christopherze - lub po jego masce - nie było śladu.

Spojrzał na Madeleine takim wzrokiem, że Medison już chciała odwrócić twarz - powstrzymała się jednak.

- Nie będziemy tu tak stali! Zapraszamy do środka! - zaszcebiotała Madeleine i wzięła Christophera za rękę.

Poprowadzili ich ścieżką do domu. Medison nie mogąc się nadziwić otaczającemu ją krajobrazowi, przez cały czas potykała się o własne nogi, kilka razy lekko wykręciła sobie nogę w kostce. Za każdym razem Madeleine wybuchała śmiechem, dziwiła się chyba, jak można nie potrafić chodzić w butach na wysokich obcasach. Daniel za to nabierał głośno powietrza i zamykał oczy, starając się nad sobą zapanować.

A wpatrzony w Madeleine Christopher chyba nie zauważał niczego poza nią.

Rozdział XII

Nieosiągalne marzenia

W końcu doszli do drzwi. Christopher otworzył je i przytrzymał. Przepuścił najpierw Madeleine, a potem gości.

Medison przekroczyła próg domu...

Jak cudownie tam pachniało! Na korytarzu rozchodziła się przepiękna woń żywych kwiatów, posadzonych w żółtych skrzyneczkach na parapetach okien. Pomieszczenie to, choć małe, było oświetlone dwoma dużymi oknami. Czerwoną tapetę w połowie przecinał pas różyczek. Medison spojrzała w sufit, spodziewając się ujrzeć żyrandol, co najmniej tak ozdobny jak ten w domu Daniela, zobaczyła jednak tylko zwyczajną różowo - żółtą lampę.

Na korytarzu było troje drzwi. Przeszli przez te pośrodku i znaleźli się w kolejnym korytarzyku, ten był jednak dłuższy i przyciemniony. Jego ściany pokrywała ciemna boazeria, a pomieszczenie oświetlało tylko jedno okno. U jego końca były schody, po prawej i po lewej stronie po parze drzwi.

Christopher ponownie otworzył przed nimi drzwi, tym razem z lewej strony.

Medison odgadła, że znaleźli się w salonie. W porównaniu z dwoma małymi, ciasnymi korytarzykami pokój ten był przestronny i bardzo dobrze oświetlony. Jako reprezentacyjny, ozdobiony był najdroższymi obrazami, aby pokazać stan majątkowy rodziny. Ściany pomalowane na soczyście zielony kolor, przywodziły na myśl wiosenną łąkę, podłogę zaś pokrywało ciemnobrązowe drewno. Wszystko idealnie ze sobą harmonizowało, nic nie odbiegało od normy. Mały kominek, stojący z prawej strony pomiędzy

dwoma oknami, był zielono - brązowy. Tego samego koloru były również meble - komody i półki uginające się pod ciężarami książek. Któryś z domowników musiał być zapalonym czytelnikiem. Medison stawiała na siwiejącego mężczyznę rozpartego wygodnie na zielonej kanapie i pochłaniającego zawartość jednej z książek.

Obok niego w fotelu siedziała czarnowłosa kobieta o twarzy sępa. Długi nos był lekko na końcu zaczerwieniony, kąciki ust ciążyły ku dołowi. Jej twarz była gładka, tylko pomiędzy brwiami widoczna była zmarszczka.

To właśnie tych staruszków widziała na weselu. Byli to najwyraźniej rodzice Madeleine: bezimienny ojciec oraz Klementyna Salomea Eleonora Tiara Gomez we własnej osobie.

- A oto moi rodzice - zaszcebiotała Madeleine. - Mamo, przyjechali. Tato! Spójrz, kto nas odwiedził! - do ojca Madeleine zwracała się dużo głośniej niż do matki. Prawie krzyczała. Najwyraźniej był przygłuchy.

- To już?! Jejku, pierniki! - zawołała Klementyna. Chyba zostawiła je w piekarniku. Miała nienaturalnie wysoki, nosowy głos, dziwnie nieprzyjemny.

Madeleine lekko się zmieszała, gdy jej matka wybiegła z pokoju jak oparzona. Jej ojciec tymczasem nie ruszył się z fotela.

- Panie Edwardzie! Mamy gości! - krzyknął rozbawiony Christopher.

- Coś mówiłeś, synu?! - zwrócił się ojciec Madeleine do swojego zięcia. Nadal nie odrywał wzroku od książki.

Madeleine przewróciła oczami. Sytuacja jej nie krępowała, tylko chciała już chyba przedstawić Medison rodzicom.

- TATO! MAMY GOŚCI!!! - wydarła się tak bardzo, że Medison aż zaboląły uszy.

- Nie musisz się tak wydzierać, córeczko - Edward Gomez był chyba oburzony. - Jak zachowujesz się przy gościach? Zresztą doskonale cię słyszę.

- Pierniczki gotowe! - do salonu weszła... Nie, nie weszła, wleciała niczym pocisk, Klementyna. Niosła brązową tacę zapełnioną po brzegi wypieczonymi na rumiany brąz ciastkami. Od ich cudownego, słodkiego zapachu kręciło się w głowie.

Klementyna odstawiała tacę na ciemnobrązowy drewniany stolik i podeszła do Medison oraz Daniela. Za nią ustawił się Edward. Medison spojrzała na Klementynę, której twarz pozostawała przez dłuższą chwilę bez wyrazu. Haczykowaty, długi nos i wykrzywione w podkówkę usta tylko potęgowały jej nieprzyjemny wygląd, jakby wrogie nastawienie. Medison wzięła głęboki oddech, rejestrując przy tym zapach unoszący się w salonie. Świeżo skoszona trawa, zapach wiosny i zalegającej w trawie rosy, morska bryza bijąca od wody, leśne drzewa... Ten zapach idealnie harmonizował z leśnym wystrojem pomieszczenia.

A potem ni stąd, ni zowąd Klementyna rozpromieniła się i objęła Medison kruchymi, chudymi ramionkami. Była od niej o ponad głowę niższa.

- Ach, Medison, jak miło cię wreszcie osobiście poznać!

To ja szylałam suknię na twój ślub, pamiętasz?! - rozentuzjasmowana kobieta nie przestawała się uśmiechać. -

To był miesiąc ciężkiej pracy, ale wyglądałaś przepięknie, naprawdę...

- Witaj Medison - Edward przerwał słowotok Klementyny. Mówił stanowczo za głośno, ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Zerkał na nią czarnymi oczami spod grubych okularów. Trudno było się do tego przyznać - nawet w myślach - ale był o stokroć urodziwszy od Klementyny. Madeleine miała szczęście, że się w niego wdała.

- Jestem Edward. Możesz mówić mi Edek.

- Taatooo... - jęknęła Madeleine.

- Taa... Dzięki... Dziękuję - Medison szybko się poprawiła. Pośród tego rodzinnego chaosu i

rozgardiaszu tak łatwo było się zapomnieć i być sobą!

W całej sytuacji najzabawniejsze było to, że nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na Daniela. Stał z boku i chociaż na początku jego twarz wykrzywiały kpiący uśmiech, teraz oczy miał wbite w ciemną podłogę, jakby nie mógł się pogodzić z brakiem zainteresowania jego osobą. Miał zniecierpliwioną minę i chyba był troszkę zażenowany tym zamieszaniem.

W końcu i do niego podbiegła Klementyna. Grzecznie ucałował jej dłoń.

- Nic się nie zmieniłeś, Danielu - powiedziała Klementyna.

- Za to pani pięknieje z każdym dniem. Ach, jak łatwo przychodziło mu kłamanie!

Daniel uściśnął rękę Edwarda, który powitał go z entuzjazmem, głośno przy tym wykrzykując, jak bardzo cieszy się z odwiedzin. Stał obok Medison, która przez chwilę myślała, że przez te wrzaski również straci słuch. Nie mogła jednak być zła na tego człowieka. Rodziny Madeleine chyba nie dało się nie lubić.

Następnie wszyscy zasiedli do stołu. Domowe wypieki, których Klementyna nakazała im spróbować, były naprawdę wyśmienite.

Medison podejrzewała, że towarzystwo Christophera - a raczej Chrisa, jak kazał jej na siebie mówić - uczyni tę wizytę sztywną i nudną. Jak bardzo się myliła! Co chwila wszyscy wybuchali śmiechem po opowiedzianej przez niego anegdocie albo mniej lub bardziej przyzwoitym dowcipie. Chris wyglądał młodziej niż na przyjęciu zaręczynowym. Maską, którą przywdziewał przy innych ludziach, dodawała mu co najmniej dziesięć lat.

Były jednak chwile, kiedy to Madeleine zabierała głos.

Był w nią wtedy tak wpatrzony, jakby była arcydziełem namalowanym przez mistrza, największą nagrodą za najtrudniejsze osiągnięcie.

Dotykał jej dłoni jak drogocennego, wystawionego w muzeum antyku.

Gdy Klementyna i Edward wtrącali swoje trzy grosze, Chris wpatrywał się w czarne oczy Madeleine jak...

Jak w...

Nie, tego nie dało się już określić.

Medison odwróciła wzrok. Nie mogła dłużej na to patrzeć.

Między innymi dlatego, że poczuła się jak intruz. Madeleine i Chris mieli własną przestrzeń, a ona włąziła w nią z butami.

Nie mogła na to patrzeć, ponieważ sama marzyła o takiej relacji. Widziała siebie na miejscu Madeleine i Kogoś na miejscu Chrisa. Nie chciała dłużej myśleć, kim był ów Ktoś.

- A ja ci mówię, że to było w 1965 roku! - nieznoszący sprzeciwu głos Klementyny wyrwał ją z rozmyślań.

- Nie! To było w 1966! - Edward stanowczo chciał uświadomić żonie, że jest w błędzie.

- Przestańcie się kłócić - westchnęła Madeleine, wreszcie oderwawszy wzrok od męża i przeniósłszy go na rodziców. -

Zanudzacie nam gości.

Spojrzała na Daniela, który w tym samym momencie zmienił wyraz twarzy ze zniecierpliwionego na ciekawski.

- Nie, nic podobnego. Musimy już iść! - rzekł, podnosząc się z fotela.

Medison poszła w jego ślady.

- Tak, już późno - przytaknęła.

- Szkoda - Madeleine zwiesiła głowę.

- Kochanie, przecież jeszcze nas odwiedzą! - Chris starał się pocieszyć Madeleine. - Prawda?

Medison spojrzała na Daniela.

- Naturalnie, i to już niedługo, mam nadzieję. Oczywiście, jeśli chcesz, Medison - powiedział to takim

tonem, jakby miał szczerą nadzieję, że nie będzie miała ochoty na kolejną wizytę.

Musiała więc biedaka rozczarować.

- Oczywiście! - powiedziała. I nie kłamała, aby go rozzłościć. Naprawdę nie mogła się doczekać kolejnej wizyty w tym domu.

Chris i Madeleine odprowadzili ich do drzwi. Za nimi pobiegł szybko merdający ogonem Rocky. Nie czuł już strachu przed gośćmi, wpatrywał się w nich z wywieszonym językiem.

Medison i Daniel założyli kurtki i otworzyli drzwi wyjściowe. Uderzyło ich ostre zimowe powietrze. Soczyście zielona trawa spoczywała teraz pod cienką warstwą śniegu.

Medison zapomniała o nieszczęsnej pogodzie. We wnętrzu domu było tak przyjemnie ciepło i sucho...

Wyszła razem z Danielem na zaśnieżony krajobraz, który mogli podziwiać tylko przez kilka minut. Już za chwilę miała spędzić z nim godzinę w samochodzie.

- Zakochany świr - takim to mianem Daniel określił
swojego przyjaciela.

Nie spodobało się to Medison.

- Wcale nie! - zaprotestowała. - Boże, jak on na nią patrzył! Jak dotykał jej dłoni! On ją wprost ubóstwia! Nie mogłam uwierzyć, że gdy się tak zachowuje, jest przystojniejszy nawet od ciebie!

Ups... Nie zamierzała powiedzieć tego na głos.

Zaskoczony Daniel na ułamek sekundy stracił panowanie nad kierownicą. Samochód ostro skręcił w bok. Medison tymczasem poczuła, jak zalewa ją fala gorąca. Policzki strasznie ją parzyły, a w samochodzie zrobiło się nieprzyjemnie duszno. Dziwne, bo jeszcze przed chwilą trzęsa się z zimna. Daniel nie był skory włączyć ogrzewanie.

- Carpen, coś ty przed chwilą powiedziała? - zaśmiał się, było w tym jednak dużo sztuczności.

- Może byś patrzył na drogę? Za nami bardzo szybko jedzie jakieś auto...

- Nie jedzie szybko, Carpen, raczej w tym samym tempie co my.

- Tak jakby nas śledziło... Zadrzała. Spojrzała w lusterko.

Tak to właśnie wyglądało.

Srebrny samochód jechał w tym samym tempie co oni spory kawał drogi, chociaż co chwilę pojawiały się informacje o różnorakich zjazdach. Auto uparcie trzymało się ich trasy.

Skręcało w te same uliczki, zwalniało i przyspieszało w tym samym momencie co Daniel, jakby jego kierowca nie chciał stracić ich z oczu.

Było już bardzo ciemno, niebo przykrywała gruba warstwa burzowych chmur, nie było widać gwiazd ani księżyca

- Jaki to samochód? - nie wiedzieć czemu w głosie Daniela dało się wyczuć zdenerwowanie.

- Srebrny... Tak, srebrny.

- A marka? - spiął wszystkie mięśnie, jakby naprawdę coś go niepokoiło.

- Myślisz, że znam się na samochodach?! Po co ją o to pytał? Czy to coś ważnego?

Daniel wziął kilka głębszych oddechów. Spojrzał w lusterko. Na chwilę jego oczy rozwarły się szeroko i zagościł w nich... Czy to był strach?!

Daniel przyspieszył. Choć przedtem jechał spokojnie siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, teraz wskazówka na prędkościomierzu zaczęła się przesuwac w stronę dziewięćdziesięciu, stu... Prędkość, z jaką jechał, wciąż rosła.

- Nagle spieszysz ci się do domu? - zapytała Medison.

Ewidentnie coś tu było nie tak. Dlaczego zwyczajne srebrne auto tak wystraszyło Daniela?

A potem przypomniała sobie, w jakim świecie żyje.

Co prawda nigdy nie była bezpieczna. A to groził jej ojciec, a to zbłąkana grupka miejscowych pijaków, tu i ówdzie kręcił się jakiś zdeprawowany, żądny przygód nastolatek z ogoloną głową. Mogłoby

się zdawać, że wtedy była w większym niebezpieczeństwie,

otoczona

niemal nietrzeźwającymi ludźmi.

A jednak najwidoczniej się myliła.

Wiążąc się z Danielem, uzyskała dostęp do jego majątku - ich umowa nie obejmowała przecież intercyzy - ale znalazła się również w innym środowisku.

Jej nowi „przyjaciele” byli istotami żądnymi władzy i pieniędzy, które zrobiłyby wszystko, aby dotrzeć do celu - nawet po trupach.

Odkąd zamieszkała z Danielem, zdarzyło się coś niepokojącego. Zginął Max.

Max był człowiekiem, z którym założył się Daniel, osobą, która rozpoczęła całą tę farsę ze ślubem. Pewny, że kobieciarz Daniel nigdy nie będzie potrafił związać się na stałe z jedną kobietą, założył się z nim o to. Z pomocą Medison Broogins wygrał zakład.

Niedługo po przyjęciu zaręczynowym zjawił się u nich Michael. Powiedział, że Maxa znaleziono w jego własnym domu w kałuży krwi. Został zastrzelony. Jednak sprawca nie zostawił ani śladów swojej obecności, ani narzędzia zbrodni.

Sprawa ucichła równie szybko, jak się zaczęła.

Dlaczego nie powinno to jej dziwić?

Daniel był szefem banku, dużego banku. Niejeden z jego „przyjaciół” miał ochotę na ten interes. Jednak Broogins uparcie nie chciał sprzedać praw do niego nawet Michaelowi (Medison słyszała niegdyś, jak wyklócał się o to z jego prawnikiem) ani nie zamierzał mieć żadnego współnika.

Medison wiedziała również, że z pomocą „przyjaciół” Daniel mógłby nielegalnie powiększać swoje zyski, nie ponosząc za to żadnej kary.

Mógłby to robić, ponieważ jeden z jego „przyjaciół” rządził tutejszą policją, a inny - sądem.

To dlatego Daniel utrzymywał dobre stosunki z tymi wszystkimi nudziarzami. Gdyby im podpadł, z pewnością mógłby otrzymać surową karę za... nawet za nic.

Max musiał być jakąś przeszkodą dla tych snobów, którą trzeba było usunąć bez większych ceregieli. Tak więc został zamordowany, dowody zbrodni mogła ukryć sama policja, a ten, kto go zamordował, cieszył się wolnością, a może i pieniędzmi za dobrze wykonaną robotę.

Srebrne auto również przyśpieszyło. Serce Medison na chwilę stanęło, a potem zaczęło pompować krew nierównym, szybkim rytmem.

Czyżby Daniel również niewłaściwie zachował się wobec „przyjaciół”?

- Co się dzieje? - zapytała. Już dawno przekroczyli dozwoloną prędkość. - Dlaczego ktoś nas śledzi?

- Nikt nas nie śledzi - odpowiedział cierpko. Mówił jak robot. Na jego twarzy nie dostrzegła żadnych emocji, jednak z całych sił ścisnęła kierownicę. W ciemnościach jego blada skóra zdawała się być jedynym światłem.

- Nie udawaj! - podniosła głos.

- Carpen, jeśli zaraz się nie zamkniesz, wylądujesz w...

- W kostnicy? - zaśmiała się. - Myślałam, że razem tam dzisiaj wylądujemy.

Spojrzała na niego. Nie odpowiedział. Przeraziła się nie na żarty.

Czyżby tak właśnie myślał?

Postanowiła więcej się nie odzywać. Wzięła trzy głębokie oddechy, zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że srebrne auto zwolniło, a oni, jadąc szybko, stracili je z oczu.

- Zaraz będziemy.

Czy Daniel ją POCIESZAŁ? Z wrażenia aż otworzyła oczy.

- Skąd u ciebie taki ton głosu? - zdziwienie brało górę nad strachem.

- Twój nastrój mi się udziela, Carpen, więc proszę, uspokój się.

„Wariat” - pomyślała. Ponownie zamknęła oczy.

Tak jak obiecał, w końcu samochód zatrzymał się.

Znajdowali się na podjeździe przed ich domem. Srebrne auto zniknęło, nie było jednak pewności, że

nie czai się za rogiem.

- Nie ma go? - zapytała. Jej głos lekko drżał z powodu emocji.

- Nie - odrzekł chłodno Daniel. Odetchnęła z ulgą.

- Więc nie trafimy do kostnicy - chciała się roześmiać, jednak hamowała się.

- Jeszcze nie - poprawił ją.

Skreśliło ją w żołądku. Tak, to, że ktoś zjawi się w nocy w ich domu i poderżnie im gardła, było bardzo możliwe, wcześniej jednak nie zaprzętała sobie tym głowy. Ciągle martwiła się z powodu srebrnego samochodu.

- Idziemy - zakomenderował Daniel.

Podszedł do ciemnych drzwi i otworzył je. Nie czekał na Medison. Nawet nie spojrzawszy w jej stronę, wszedł pierwszy.

„A gdzie postawa sprzed trzech godzin?” - pomyślała Medison.

Weszła do domu i bardzo się rozczarowała. Żywe kolory ścian, zapachy unoszące się w domu Madeleine... Po tym wszystkim nie było tu ani śladu. Zaczęła już tęsknić za jeziorem, za trawą i drzewami otaczającymi dom. Głupia, dlaczego tak się do tego przywiązujesz?

Na korytarzu nie było Daniela, zdążył już zniknąć na piętrze. I na nią nadszedł czas. Ignorując chłód korytarza, nie tak dotkliwy, bo miała na sobie kurtkę, weszła po schodach.

Zdawało się jej, że droga do sypialni nie ma końca. Korytarz wydłużał się, odstępy między kolejnymi drzwiami były coraz większe... Właśnie mijala siódme drzwi. Do ósmych było tak daleko!

W końcu znalazła się w swojej sypialni. Z trudem przetrwała pierwsze kilka dni w tym domu - było tu tak zimno, powietrze wydawało się nieznośnie wilgotne. Teraz pokój zdawał się być wypełniony ciepłą parą, jakby ktoś niedawno brał w nim ciepły prysznic. Nie unosiły się jednak kłęby pary. Wilgoć aż tak bardzo jej nie przeszkadzała, chociaż po trzech godzinach spędzonych u przyjaciółki doszła do wniosku, że sto razy woli suche pomieszczenia.

Zdjęła kurtkę i wyciągnęła z szuflady koszulkę nocną - czerwoną w czarne róże. Sięgała jej do kolan, prawie nie było czuć satyny. Przesunęła materiał między palcami, rozkoszując się jego nieskazitelnie gładką, błyszczącą powierzchnią, po czym ruszyła w stronę „szmaragdowej łazienki”.

Toaleta ta utrzymana była w zielonych barwach.

Gdzieniedzie zieleń była tak ciemna, że przeistaczała się niemalże w głęboką czerń. Kiedy Medison zjawiła się tutaj pierwszy raz, w łazience nie było śladu obecności człowieka - teraz jej szampony do włosów, mydła i ręczniki wypełniały każdą półkę w tym pomieszczeniu. Spojrzała na ślady swojej bytności w tym miejscu i poczuła, że jest u siebie w domu.

Gorąca kąpiel miała jej pomóc odprężyć się i przygotować do snu. Pierwsze zadanie wykonała bardzo dobrze. Z drugim było dużo gorzej.

Medison była aż zanadto pobudzona. Jak po zimnym, orzeźwiającym prysznicu. Już od godziny leżała w łóżku, przewracając się z boku na bok. Wiedziała, że nie zaśnie.

Zapewne była to zasługa srebrnego samochodu, którego obraz wyrył się jej w pamięci. Próbowwała zepchnąć go na krańce świadomości, zakopać w swoim umyśle głębiej niż najgorsze wspomnienia, byle móc zasnąć. Wyobrażała sobie, jak samochód zjeżdża do ciemnego rowu, którego dna nie było widać. Jednak wyobraźnia Medison płatała jej figła, ponieważ auto ciągle spadało i spadało w otchłań. Wciąż więc było nienaruszone.

Spróbowała zatem inaczej. Zamknęła oczy i myślała, jak wyglądałby ten samochód roztrzaskany na dnie rowu. To też nie był najlepszy pomysł. Srebrna farba pokrywała samochód i błyszczała nie mniej intensywnie niż kilka godzin temu. Auto nie zniknęło.

Medison westchnęła i jednym zgrabnym ruchem ściągnęła z siebie kołdrę. Nie chciała beczynnie siedzieć w tym pomieszczeniu. Nie było w nim żadnej książki, którą mogłaby poczytać. Egipskie ciemności, jakie panowały w jej pokoju, napawały ją przerażeniem.

Spojrzała przez okno... Wyjście na dwór i odwiedzenie grobów rodziców Daniela również nie wchodziło w grę.

Odkąd Medison przyjechała do domu, spadła gruba warstwa śniegu i nic nie zapowiadało, aby w końcu miało przestać padać. Białe płatki latały przed jej oknem, świecąc na tle grafitowego nieba. Coraz gęściej opadały na parapet przed jej oknem, co chwilę silniejszy podmuch wiatru rozwiewał je, a ich miejsce zajmowały kolejne.

Wstała. Nie nałożywszy szlafroka, wyszła na korytarz.

Niemal natychmiast cofnęła się do sypialni. Jak tam było zimno!

Zajrzała do szafy z zamiarem nałożenia na siebie szlafroka, ale nigdzie go nie było. Najwyraźniej Rebeka wzięła go do prania.

Medison wzięła głęboki oddech i ponownie otworzyła drzwi. Próbując ignorować zimne powietrze, bijące od grubych marmurowych ścian, przebiegła przez korytarz.

Zbiegła po schodach, uważając przy tym, aby się nie potknąć - nie włączyła wcześniej światła. Igiełki zimna wbijały się w jej ramiona i nogi, nie wspominając o stopach. Przecież biegła na boso po lodowatej posadzce.

Dotarła do końca schodów i prawie się przewróciła.

Oparła się o poręcz. Biegając, miała wrażenie, że coś robi.

Teraz, gdy stała beczynnym w ciemnościach przed wielkimi wejściowymi drzwiami, nie czuła się bezpiecznie. Nietrudno było odnaleźć drzwi do małego salonu - wyraźnie odcinały się od białej marmurowej ściany. Podbiegła do nich i otworzyła je, po czym prędko weszła do środka.

Jak tam było ciepło! Poczowała się, jakby z Antarktydy nagle przyleciała do Meksyku. Aż dreszcze przeszły jej po plecach.

Usiadła w jednym z foteli. Było tam tak ciepło, cieplej niż w jej pokoju. W kominku nie palił się ogień. Ostre światło, rzucane przez płomień na ciemne ściany, wielkie cienie mebli i rzeźb, to wszystko bardzo ją irytowało. A w połączeniu z kadzidłami, których dym unosił się w powietrzu, i mieszającymi się zapachami atmosfera w pomieszczeniu była wręcz nie do zniesienia. Medison nie spędzała tutaj zbyt wiele czasu. Częściej przesiadywała w jadalni lub w kuchni, podczas gdy Rebeka przygotowywała posiłki lub sprzątała.

Dużo czasu przebywała też w bibliotece - pomieszczeniu złożonym głównie z półek na książki, które nie zasługiwało w ogóle na miano gabinetu. Nie było tam komputera ani biurka, stały tam tylko rzędy półek i szaf uginających się pod ciężarem książek. Gdzieś tam stały również wygodne fotele.

Dzisiaj jednak postanowiła odwiedzić to miejsce, ponieważ pozbawione okien i lampy, było oddzielone od świata zewnętrznego.

Cudownie oddychało się jej czystym powietrzem. Przez chwilę nawet ogarnęła ją senność, ale straciła już ochotę, by pójść do łóżka. Zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem bijącym od ścian.

Nagle usłyszała kroki.

Dochodziły one od strony korytarza. Ktoś niewątpliwie zmierzał w stronę salonu. Ale kto?

Wątpiła, aby był to Daniel. Miał mocny sen, tylko raz zbudził go jej krzyki.

A kroki były coraz głośniejsze.

Wstała, czując, jak adrenalina krąży w jej żyłach, a serce jej przyśpiesza. Nie było sensu wychodzić, ten ktoś był już przy drzwiach. Drzwi uchyliły się, przez szparę wpadł promień światła. Ktoś zapalił je na korytarzu. Medison spięła mięśnie.

Potem drzwi otworzyły się szeroko, a jaskrawe światło wypełniło całe pomieszczenie. Przyzwyczajona do ciemności Medison, musiała zamknąć oczy. Powoli je otwierała. Na białym tle widziała tylko ciemne kształty, w tym stojącą w drzwiach ciemną męską postać.

Rozdział XIII

Zamknięta w złotej klatce

Co tu robisz? - zapytał cudowny głos. Odetchnęła z ulgą.

Nie było to może zbyt normalne z jej strony - w końcu Daniel stanowił dla niej duże zagrożenie, jednak to przy Michaelu czuła strach.

- Nie mogłam zasnąć - odrzekła.

Spojrzała na zegarek; było już wpół do drugiej.

Najwyraźniej czas w tym miejscu płynął szybciej, niż mogłoby się wydawać.

- A ty?

Nie odpowiedział od razu. Wszedł do salonu i przeszedł obok niej, nawet na nią nie spojrzawszy. Jakby była powietrzem. Podszedł do kominka. Nie widziała wyrazu jego twarzy - drzwi były zamknięte, światło z korytarza nie oświetlało wnętrza salonu.

- Nie mogłem zasnąć.

Rozpalił ogień. Ciszę przerwały trzaski palącego się drewna. Ogień szybko zajął całe wnętrze kominka. Po i tak już ciepłym pokoju rozniosła się nowa fala suchego, przyjemnego powietrza.

W salonie rozjaśniło się. Jaskrawopomarańczowe światło było lekko przytłumione, jakby ktoś przykrył lampę czerwoną chustką.

Jakby tego było mało, Daniel podszedł do półki, na której stały świece zapachowe i kadzidelka.

Medison jęknęła.

- Musisz to robić? - zapytała ze złością. Zapach drzewa sandałowego, róż i pomarańczy powoli rozchodził się po pomieszczeniu. - Przecież wiesz, że tego nie znoszę.

- Jakby coś mnie to obchodziło - prychnął Daniel. Lekko się zawahał i nie zapalił ostatniej świeczki, oszczędzając jej cytrynowego zapachu.

Medison lekko się uśmiechnęła. Czasami miała wrażenie, że bardzo łatwo nim sterować.

Daniel rozsiadł się na kanapie. Światło z kominka padało akurat na niego. Miał na sobie długie czarne spodnie od piżamy. Lekko potargane włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu lub kąpieli. Kilka blond kosmyków opadało na czarne oczy, rzucając na nie cień.

Tak, Daniel Broogins z pewnością był najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek widziała.

Był również najbogatszym człowiekiem, jakiego znała - żaden z jego „przyjaciół” nie miał większej fortuny.

Był jej rówieśnikiem - wykształcony dwudziestotrzylatek.

Był jej mężem - ten fakt był tak nierealny, że Medison usiadła, a raczej opadła bezwładnie na miękki fotel.

A oprócz tego z pewnością był jej wrogiem.

Zaciekawiło ją, co sobie o niej teraz myśli. Czy nadal była dla niego tą biedną żebraczką, z którą spotkał się wtedy na Moście Północnym? A może myślał o niej jak o dawnej „koleżance” ze szkoły, którą tak kochał gnębić i poniżać przy swoich sławnych koleżkach...?

Z pewnością nie była dla niego żoną, nie była również piękną kobietą. Nie myślał o niej jak o dwudziestotrzyletniej dziewczynie, która siedziała przed nim w fotelu w czerwonej satynowej koszulce nocnej, odcinającej się od bladej cery.

I nagle z jego spojrzenia wyczytała, co o niej myśli.

Była przeszkodą. Utrudnieniem w codziennym życiu.

Ceną, jaką musiał zapłacić za wygraną zakładu. Tak, w końcu każdy musi się poświęcić.

Medison była przeszkodą.

Ta myśl zabolęła. Bardziej, niż powinna. Mieszkała w jego domu, była bogata, obracała się wśród znanych miliarderów... Ale nie była szczęśliwa. Bo była dla Daniela przeszkodą.

Jej serce przekłuła jakaś strzała. A może to był nóż? Tak, to pewnie nóż - był ostry i zimny. Najpierw ktoś wbił go w jej serce, a teraz przekręcał, aż zaczęło obficie krwawić.

Nie było czasu wygarniać sobie tego, co się stało. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem - tak, to

powiedzenie idealnie odzwierciedla sytuację, w jakiej się znalazła.

Spojrzała na niego. Na jego przystojną, bladą twarz. To również zabolalo. Dlaczego? Co się z nią działo?!

A on nie odrywał od niej wzroku. Nagle zalała ją fala wszystkich bodźców, których przez kilka ostatnich minut nie odbierała. Jaskrawe światło z kominka, choć przytłumione, raziło ją w oczy, suche, ciepłe powietrze wymierzało gorący policzek. Jakby ogień znajdował się tuż przy niej. Zmieszane zapachy kadzideł wypełniały całe pomieszczenie, wypalając w nosie i gardle dziury, pustosząc płuca. Czarne oczy upodabniały siedzącego przed nią mężczyznę do demona, którym rzeczywiście dla niej był - wysłannika piekieł.

Wbite w nią nienawistne czarne tęczyówki miały magnetyczną moc, której jednak nie zamierzała się poddawać.

Miała zwrócić się północą do północy, odepchnąć go, wroga i konkurenta.

Zaczęła się ich niema walka.

Jakby telepatycznie przekazywali sobie niewypowiedziane słowa i obelgi. Gdy jego spojrzenie przybierało na sile, nie poddawała się, chociaż jasne tęczyówki jej oczu zdawały się niknąć w jego czarnych.

A walka trwała nadal.

Upływały sekundy, minuty, a na ich twarzach malowało się coraz więcej wściekłości. U niego - ponieważ ta mała nie chciała się poddać, u niej - z czystej nienawiści.

I wtedy Daniel uśmiechnął się z pewnością najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

A Medison przegrała wojnę.

Jego niespodziewana reakcja sprawiła, że spuściła wzrok i natychmiast tego pożałowała. Nie miała śmiałości ponownie na niego spojrzeć. Tym razem od razu przegrałaby walkę. A może po prostu bała się, że to zaboli?

Wstała. Przesuszone gardło zaczynało dawać o sobie znać, niemiłosiernie piekło.

Otworzyła drzwi i wyszła na ciemny korytarz. Nie zamierzała włączać światła - przejęta porażką, nie bardzo zdawała sobie sprawę, gdzie idzie. Bez problemu zmierzyła się z zimnem, po niedawno stoczonych walce była silniejsza. W końcu zatrzymała się. Ze zdziwieniem. Bo w ogóle nie była świadoma, że idzie. Z jeszcze większym zaskoczeniem zauważyła, że stoi przed drzwiami do swojego pokoju - czy ona w ogóle wchodziła po schodach?

Westchnęła. Otworzyła drzwi, nadal nie zwracając uwagi na temperaturę otoczenia. Położyła się do łóżka.

Jeszcze przez kilka minut nie mogła zasnąć, zajęta odganianiem od siebie natrętnej wizji. A raczej obrazu uśmiechniętej twarzy Daniela.

Do pokoju wlewało się jasne, choć lekko przytłumione światło. Tak przyjemne, że Medison nie musiała zamykać oczu ani ich mrużyć. A dopiero co się obudziła.

Mimo że nic się jej nie śniło, była niewyspana. Spojrzała na zegarek. Było już wpół do dziesiątej. Westchnęła. Trzeba było wstawać. Nie ma co dłużej leżeć w łóżku.

Uniosła się i powoli usiadła. Wyrzała przez okno. Spoza jasnoszarych chmur gdzieś gdzieś prześwitywało błękitne niebo. Słońce ukryło się za obłokami, które niezbyt skutecznie maskowały jego obecność. A jednak łagodziły siłę, z jaką świeciło.

Medison ziewnęła. Tu potrzeba otrzeźwienia - zimnego prysznica, kubka mocnej kawy i chłodnego, ostrego powietrza - innymi słowy: odwiedzenia grobów rodziców Daniela.

Bo mimo że słońce świeciło, styczniowe powietrze z pewnością było ostre.

Szykując sobie ubranie, nawet nie spojrzała na prawą stronę szklanej szafy, w której kryły się spodnice. I tak nigdy ich nie zakładała. Spodnie są wygodniejsze. Wybrała jasnoniebieskie dzinsy. Przez

chwile zastanawiała się, czy czerwona bluzka będzie do nich pasować. Uznała, że i tak jest zbyt wydekoltowana. Sięgnęła po brązową z golfem.

Wyszła z pokoju i skierowała się do swojej łazienki.

Chłodny prysznic troszkę ją otrzeźwił, jednak nie na tyle, aby mogła chodzić po domu bez obawy, że się potknie.

Założyła wybrane ubranie i wyszła. Zaniósłszy uprzednio koszulkę do pokoju, udała się do kuchni. Oby dzisiaj śniadanie szykowała Rebeka. Olivia bardzo często zapomniała o uszykowaniu JEJ śniadania, jednak Daniel zbyt nie przejmował.

Otworzyła drzwi do kuchni. Pewna, że jest poniedziałek i Rebeka sprawuje poranny dyżur, chciała poprosić ją o kawę - ze wstydem przyznała przed samą sobą, że nie ma pojęcia, gdzie w tym domu jest kawa. Wiedziała tylko, gdzie znajduje się chleb (zawsze leżał na wierzchu obok krajalnicy), soki (przechowywane w specjalnej małej lodówce na soki), szklanki i talerze (pięknie zdobione, leżały czyste i wysuszone w szafce, która odróżniała się od reszty tym, że była zrobiona ze szkła, a nie z białego drewna). Postanowiła jeszcze tego samego dnia uzupełnić braki.

Jakie było jej zdziwienie, kiedy zamiast uśmiechniętej, dobrodusznej Rebeki zobaczyła naburmuszoną i poważną Olivię. Ta nawet nie zauważyła Medison. Za bardzo była zajęta przygotowywaniem śniadania dla jednej osoby (Daniela). Pokroiła chleb i położyła na talerzu, który z kolei był postawiony na śnieżnobiałej tacy. Obok talerza na tacy stał kubek kawy i sok, sadząc po kolorze, pomarańczowy.

Olivia bez słowa minęła Medison i wyszła z kuchni z tacą w rękach.

Skoro Olivia ma dzisiaj poranną zmianę, to...

Medison zerknęła na kalendarz wiszący na ścianie.

Wtorek, pierwszy lutego.

Milusio...

Koniec stycznia. Leci luty - miesiąc zakochanych. Tak, Medison zawsze nazywała luty miesiącem zakochanych.

Oczywiście ze względu na walentynki.

„OK, przestańmy o tym myśleć” - powiedziała w myślach.

Jak miło - zaczęła wariować!

Zaczęła szperać po szafkach. Nigdzie nie było kawy!

Gdyby tylko wcześniej zajrzała do kuchni, wiedziałyby, skąd Olivia ją wzięła. Otwierała kolejne szafki. Ile ich tutaj było!

Myślała, że zaraz zrezygnuje. Ale miała takie ciężkie powieki... Kobieto, przecież ty się nigdy nie poddajesz!

Nigdy! Walczysz z Danielem na spojrzenia (tak, to naprawdę było coś), a nie możesz znaleźć kawy? Marnie z tobą...

Jest! W końcu w siódmej szafce z rzędu znalazła opakowanie kawy. Czajnik, do którego wcześniej Medison nalała wody i wstawiła na gaz, zaczął gwizdać. Super, nie będzie musiała czekać. Wsypała do kubka kilka łyżek kawy i zalała wrzącą wodą. Mocny zapach nieco ją ocucił.

Wzięła kubek i wyszła z kuchni. W drodze do jadalni o mało nie zderzyła się z Olivią - służąca szła szeptowo z wysoko uniesioną głową. Miała tak poważną, a jednocześnie komiczną minę, że Medison prawie parsknęła śmiechem. Opanowała się, prychnięcia nie zdołała jednak powstrzymać. Olivia zgromiła ją spojrzeniem.

Ta kobieta była niemożliwa!

W końcu dotarła do jadalni. Wiedziała, że Daniel je tam śniadanie, ale codziennie spożywała tam pierwszy posiłek i piła kawę. Nie miała zamiaru odstępować od swoich zwyczajów tylko z powodu jednego mężczyzny...

I to najgorszego wroga.

Pchnęła drzwi.

Tak jak się domyślała, był tam. Całkowicie ubrany, jadł śniadanie w samotności, nawet nie patrząc, kto zakłóca mu spokój. Po prostu wiedział, że to Medison, którą nie trzeba się przejmować (bo w każdej chwili można jej pomóc zniknąć z tego domu/miasta/świata raz na zawsze, nie unikając kary).

Ale skąd wiedział, że to Medison, a nie Olivia czy jakiś przypadkowy (lub nie) poranny gość?

Wiedział chyba stąd, że każdy oprócz niej zapukałby do drzwi.

A ona po prostu weszła do środka.

Medison usiadła na jednym z krzeseł i postawiła przed sobą kawę. Dokładnie naprzeciw niej siedział Daniel. Chcąc nie chcąc, przez cały czas gapiła się na niego. Głupio jej było odwrócić głowę i pijąc kawę, patrzeć na drzwi. Nie miała zamiaru rezygnować z krzesła, na którym od zawsze siadywała.

Niech on się przesiądzie.

Cisza. Napierająca na uszy nie lekko, jak to bywało, gdy bolała ją głowa i zanurzała się w swojej pościeli, pragnąc chwili spokoju. To była cisza, od której bolały uszy. Aż nieprzyjemnie w nich dzwoniło. A to uczucie ciągle się nasilało.

Nie odwróciła głowy, ale zaczęła błędzić wzrokiem po obrazach zawieszonych na ścianach w jadalni. W końcu ją to znudziło. Codziennie je obserwowała.

Zerknęła na Daniela, który nie zwracając na nic uwagi, jadł śniadanie.

„Za dużo spokoju, oj, za dużo... To źle wpływa na psychikę. Chyba powinnam zadbać o swojego męża” - pomyślała Medison.

Oderwała wzrok od obrazów i utkwiała go w Danielu.

Założyła nogę na nogę i zaczęła powoli sączyć kawę. Nie odrywała od niego wzroku.

Nieodrywanie wzroku od Daniela wbrew pozorom nie było nużącym zajęciem. Medison ze zdziwieniem musiała przyznać, że jej mąż jest interesującą osobą. Przynajmniej kiedy je. Był przy tym... jak nie Daniel!

Jak ktoś kompletnie inny. Jak normalny człowiek.

Ten fakt nieco zbił ją z tropu. Aby dokonać przynajmniej troszkę większego odkrycia (na przykład sprawdzić, czy jej mąż czasem nie ma plomb w siekaczach), zaczęła jeszcze intensywniej i dokładniej obserwować Brooginsa.

Daniel tymczasem zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. I nie była to marmolada ani sok pomarańczowy. Ani nawet kawa. Podniósł głowę. Zobaczywszy, kto nie odrywa od niego wzroku, zszokowany natychmiast ponownie zaczął jeść.

Medison mogła wyczytać z jego twarzy (ukrytej w cieniu, ale nadal dobrze widocznej), że jedzenie chyba nie smakuje mu tak jak wcześniej. Pytanie tylko, czy dlatego, że po prostu nie chciało mu się już jeść. Czy może dlatego, że zobaczył

Medison.

I wtedy odechciało mu się jeść.

Tak, chyba dlatego.

Daniel nadal jadł, teraz jednak jak robot. Lub jak ktoś zmuszany do jedzenia. W końcu odłożył widelec. I ponownie podniósł głowę.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Tak intensywnie jak wczoraj. Różnica polegała jednak na tym, że toczyli teraz innego rodzaju walkę. Poza tym Daniel był po prostu zniecierpliwiony

lekko zażenowany,

Medison

„zaciekawiona” jego osobą.

- Jedz, jedz, nie przejmuj się mną - Medison uśmiechnęła się do niego, uważając przy tym, aby nie wybuchnąć śmiechem. - Ja tylko piję tutaj kawę.

Daniel przyglądał się jej podejrzliwie. Co za szatański plan miała ta kobieta?

Domyślił się, że Medison nadal będzie patrzeć mu na ręce.

A on nie ma najmniejszej ochoty jeść w takiej atmosferze.

Wstał.

A Medison wygrała walkę. Wytrąciła go z równowagi.

Miał wychodzić, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyły się i stanęła w nich Olivia.

- Telefon do... pani.

Czy Medison się zdawało, czy Olivia ledwo się opanowała przed wypowiedzeniem zamiast słowa „pani” jakiejś obelgi?

Daniel, który już sięgał po telefon, zawahał się. A potem wziął aparat od Olivii i podał wstającej Medison.

Odbierając telefon, dotknęła jego ręki... Poczuła, jak od tego miejsca przebiega prąd, kierując się w miejsce serca, a dalej ku jej policzkom, które mocno poróżwiały.

Może to uczucie było przyjemne, ale reakcja na dotyk Daniela... nie podobała jej się.

- Słucham...? - powiedziała do słuchawki.

- No, nareszcie! Myślałam, że Olivia nigdy nie dojdzie do jadalni! - usłyszała lekko zachrypnięty, dziewczęcy głos.

- Madeleine! - wykrzyknęła z radością.

Liczyła na to, że gdy Daniel usłyszy, kto dzwoni, odejdzie.

Ale nie. Zdawało się, że wrósł w podłogę i zapuścił korzenie.

- Dzwonię, bo chcę zapytać, czy nie masz ochoty na zakupy...

Medison zawahała się. Zakupy nie były jej ulubioną rozrywką. Owszem, chodzenie po sklepach czasami poprawiało nastrój, zwłaszcza gdy można było natrafić na jakiś ładny strój. Ale teraz, taka zaspana, nie miała na to ochoty. Madeleine mówiła jednak tak szybko, taka była podekscytowana...

- Nie będziemy tylko łązić po sklepach... Jeśli nie chcesz - dodała szybko. Najwyraźniej ona bardzo chciała. - Zawsze możemy wstąpić do jakiejś kawiarni lub restauracji i po prostu pogadać...

- OK, nie ma sprawy - Medison zaczęła się śmiać. Dzień zapowiadał się interesująco. - To o której?

Nie zauważyła, że Daniel usłyszawszy słowa „o której”, cały zeszytniał.

- Hm... Myślę, że najlepiej będzie około dwunastej.

Zjemy obiad na mieście i pochodzimy po sklepach.

- Nie ma sprawy.

- Przyjadę do ciebie. Pa! - Madeleine rozłączyła się.

- Medison odłożyła słuchawkę na stół.

Spojrzała na Daniela. Przyglądał się jej uważnie. Bardzo uważnie. Za bardzo!

Poczuła, jak na jej policzki napływa nowa fala rumieńców.

Chciała, żeby jak najszybciej zniknęły.

- Może byś mi powiedziała, dokąd się wybierasz? - zapytał.

- A co cię to obchodzi? - spytała obojętnie. Już szła w stronę drzwi. Chciała się uszykować do wyjścia. - Tak w ogóle to nie twoja sprawa.

Była już prawie przy drzwiach, chciała chwycić za klamkę, kiedy Daniel złapał ją za nadgarstek i uniemożliwił wyjście z jadalni.

- To moja sprawa i obchodzi mnie to - wyszeptał.

Przez chwilę znowu poczuła owo przyjemne uczucie przepływającej przez nią elektryczności, która

znalazła ujęcie w jej policzkach. „Zabiję się, jeśli to się nie skończy” - pomyślała. I odwróciła się w jego stronę...

Jej głowa znalazła się kilka centymetrów od jego twarzy.

No, może niedokładnie, bo była od niego prawie o głowę niższa. Musiała spojrzeć w górę, aby dostrzec wyraz jego twarzy.

Ale ona nie miała wyrazu. Była po prostu... Po prostu piękna.

- Od kiedy cię to obchodzi? - spytała ledwie przytomna, zaskoczona tą bliskością.

- Nie zadawaj bezsensownych pytań, Carpen - zirytował się Daniel. - Odpowiadaj.

To z pewnością był rozkaz. A Medison Carpen nie ulegała rozkazom. Medison Carpen miała honor.

Ale teraz była Medison Broogins. Medison Broogins była głupia i słuchała rozkazów.

I najwyraźniej nie miała za grosz honoru, bo odpowiedziała: - Idę dzisiaj z Madeleine na zakupy. O dwunastej. Jak ośmiolatka. W dodatku na spowiedzi.

Daniel podniósł telefon, który przed chwilą położyła na stole, i podał go jej.

- Zadzwoń teraz do Madeleine i powiesz, że nie możesz iść, bo coś ci wypadło - powiedział spokojnie.

Medison aż zmroziło, gdy wypowiedział te słowa.

- Żartujesz sobie ze mnie? - warknęła.

- Jestem jak najbardziej poważny, Medison - wciąż był spokojny, zbyt spokojny. Tak spokojny, że aż sztucznie to wyglądało.

Medison nie mogła w to uwierzyć. Człowiek, którego w ogóle nie obchodzi - lub nie powinna obchodzić - nie pozwala jej wychodzić z domu!

Była pewna, że nigdzie dzisiaj nie wychodzą. Na żadne spotkanie. Nigdy nikogo razem nie odwiedzali, ostatnio tylko Madeleine. Ale ona ich zaprosiła, sama z siebie, bo nikt inny nie zawracał sobie nimi głowy.

- Nie zadzwonię - wycedziła. Nie zamierzała się poddawać. Nie teraz.

- Naprawdę? - zachichotał Daniel. Był rozbawiony.

Wciąż trzymał telefon w ręce wyciągniętej w jej stronę.

Uśmiechał się. Z kpina. Drwił sobie z niej. Z jej osoby. Z jej uporu. Z wściekłości, którą miała wymalowaną na twarzy.

- Dzwon - nie był nawet zniecierpliwiony. Pewnie mógłby tu stać przez kilka dni.

- Nie - bała się, że zaraz z nerwów zacznie warczeć i toczyć pianę z ust.

Tymczasem Daniel nic nie robiąc sobie z jej uporu i zaciętości, wykręcił numer do Madeleine. Słyszała głośnie sygnały. Jeden, drugi...

- Ja z nią porozmawiam.

Nie chciała, aby nią rządził. Przegrała. I musiała sama załatwić tę sprawę.

Daniel podał jej słuchawkę. Tryumfował. Znowu.

Medison wzięła głęboki oddech. Musiała się uspokoić, po napadzie agresji jej głos nadal drżał.

- Słucham...? - odebrała Madeleine.

- Cześć, tu Medison. Zmieniły się plany, kompletnie o tym zapomniałam. Nie mogę dzisiaj z tobą iść - w tej chwili jak nigdy brzydziła się kłamstwa.

- Dlaczego? - Madeleine była naprawdę zawiedziona.

- Coś nam wypadło - odpowiedziała szybko. Nie musiała udawać zmartwionej, jak wypadało. Była zmartwiona. Sama zdziwiła się, że tak bardzo chciała się spotkać z Madeleine, nawet jeśli oznaczało to kilkugodzinne zakupy.

Madeleine nie odpowiedziała. Sama Medison nie wiedziała, co powiedzieć. Ba, nie miała nawet pojęcia, czy Madeleine jest obrażona, czy smutna! A cisza przeciągała się.

I kolejne sekundy mijały w milczeniu.

Daniel myśląc, że już skończyły, sięgnął po słuchawkę.

Medison szybko się odwróciła. Odeszła od niego na drugi koniec jadalni. W tej chwili brzydziła się go. Jego blond włosów, jego czarnych oczu, które jeszcze wczoraj tak ją fascynowały. Teraz czuła obrzydzenie. Nie wiedziała, że można kogoś tak nienawidzić. Miała ochotę go zabić, udusić własnymi rękami i śmiać się, widząc, jak nie może oddychać.

- Powiedz coś. Powiedz, że nie jesteś obrażona - poprosiła w końcu Medison.

- Nie jestem - odrzekła Madeleine. - Po prostu jestem zawiedziona. Obiecuj tylko, że kiedyś się spotkamy.

- Dlaczego miałybyśmy się nie spotkać? - zdziwiła się Medison.

Madeleine zawahała się.

- Nie masz mnie dość?

- Pewnie, że nie mam cię dość. Daniel prychnął. Teraz się niecierpliwił.

- OK, nie przedłużajmy tego. Kiedyś zadzwonię. Pa.

Madeleine odłożyła słuchawkę.

Medison z całej siły rzuciła słuchawkę na stół. O dziwo nic się jej (słuchawce) nie stało.

- Pohamuj się, kobieto! - Daniel był zły (zapewne za rzucenie telefonem), ale i zadowolony... z siebie.

- Chcę rozwodu! - Medison nie wierzyła w to, co powiedziała.

Ale tego właśnie chciała. Rozwodu.

Myślała, że pieniądze Daniela zrekompensują jej... wszystko.

Zmianę środowiska.

Niebezpieczeństwo.

Obustronną nienawiść.

Uczucie...

Nie chciała o tym tak myśleć. Nie mogła w to uwierzyć!

To nie mogło być to. Nie chciała dopuścić do siebie tej myśli.

Pieniądze niczego nie zmieniły.

Już nie chciała tak żyć.

Jej życie było cierpieniem. Nie miało żadnego sensu.

Żadnego celu. Nie, jeden miało - śmierć. Tyle że każdy kiedyś umrze. Śmierć jest czymś nieuniknionym. Czymś, przed czym nikt nie ucieknie. Czymś najpewniejszym.

Życie było czymś w rodzaju testu, który miał ją sprawdzić.

Już dawno go oblała. Chyba już w momencie, gdy się urodziła. Teraz była zawieszona między nicością a cierpieniem. Pomiędzy ziemią a piekłem. Łudziła się, że wychodząc za Daniela, trafi na ziemię. A może i do nieba.

Jak bardzo się myliła! Trafiła do samego środka piekła.

W końcu odważyła się spojrzeć mu w twarz. Zabolało.

Sztylet ponownie trafił w jej serce. Jak wczoraj.

Przez chwilę miała wrażenie, że dostrzegła na jego twarzy zszokowanie. Głębokie zszokowanie. Jednak zreflektował się tak szybko, że mogło jej się tylko przewidzieć. Uśmiechnął się. Tak, z pewnością miał uszykowane papiery rozwodowe.

Może już dawno je przygotował? Gdy się spotkali... Tak na wszelki wypadek...

Była pewna, że zaraz je przyniesie. Wystarczy, że je podpisze... I po sprawie.

Co będzie później - nie miała pojęcia. Liczyła, że śmierć.

Szybka i bezbolesna. Będąca ukojeniem dla jej krwawiących ran. Nie chciała popełnić samobójstwa. Samobójcy nie trafiają do nieba. Podobno kończą w piekle. Zresztą rzucenie się do rwącej rzeki... Podcięcie sobie żył... To z pewnością bolało.

Zresztą ze swoim szczęściem, które nigdy, ale to nigdy jej nie opuszczało, pewnie uszkodziłaby sobie

kręgosłup po skoku z klifu czy czegoś tam jeszcze. Doznałaby paraliżu. Do końca życia byłaby unieruchomiona. Albo zapadłaby w śpiączkę.

Chociaż czy ośpienie nie byłoby lepsze od rzeczywistości?

Miała nadzieje, że Daniel zaraz wyjdzie po papiery rozwodowe. Jej oczy zrobiły się wilgotne. Dziwne, jeszcze przed chwilą były suche. Ach tak, to były łzy! Głupie łzy, zawsze niepotrzebne. Pojawiały się nieproszone w najmniej odpowiednim momencie. Ukradkiem otarła oczy.

- Nie dostaniesz rozwodu, Carpen - oznajmił nagle Daniel.

Zamurowało ją.

- Że co? - zapytała Medison nieprzytomnie.

- Nie dostaniesz rozwodu - powtórzył. - Składałaś przysięgę, czyżbyś już zapomniała?

- Nie dasz... rozwodu... mi? - jej zdziwienie sięgnęło zenitu. Czyżby nie pragnął właśnie tego?

Wolności?

- Nie udawaj głupszej, niż jesteś - zniecierpliwił się. -

Masz zakaz wychodzenia gdziekolwiek poza granice tego domu. Co najwyżej możesz wyjść do ogrodu.

Ale nie waż się wystawić stopy poza drzwi wejściowe.

- Co? - teraz z kolei była kompletnie zdezorientowana.

- Na czas nieokreślony - warknął.

I wyszedł, zostawiając ją kompletnie ogłupiałą.

Rozdział XIV

Kochaj mnie

Totalny chaos. Idiotyzm. Brakuje jeszcze zamieszek na ulicach, palonych transparentów. W innych okolicznościach pewnie by ich nie brakowało. Bo to nie działo się w domu.

Ani na ulicy. To się działo w jej głowie.

„Człowiek uczy się przez całe życie, a i tak umiera głupi”.

Celna uwaga. Tym bardziej że ona nie miała ukończonej szkoły wyższej. W szkole średniej też nie szło jej za dobrze.

Nie była odporna na docinki. Na chamstwo ze strony bogatych kolegów i koleżanek. Miała słabą psychikę.

Myślała, że się uodporniła. Wzmocniła. Że jej odporność na docinki Daniela wzrosła. Było wręcz odwrotnie. Z pozoru silna, jako osoba dorosła znosiła wszystko gorzej niż jako siedemnastolatka.

Halo! Dlaczego on nie chciał rozwodu?!

Czy nie była dla niego zbędnym ciężarem? Przeszkodą?

Nie lepiej było dać jej rozwód? Puścić w świat samą? Niech robi, co się jej żywnie podoba. W końcu jest nikim. Tak, przecież od zawsze jej to wmawiał.

Zero. Nikt. Powietrze.

Więc dlaczego nie chciał rozwodu?! Dlaczego trzymał przy sobie coś zbędnego? Śmieci się wyrzuca. Nie są potrzebne. Tylko zagracają wolną przestrzeń. Nie można przez nie oddychać. Brakuje tlenu. Czystego powietrza.

Ledwo trzymała się na nogach. Trzęsa się jak galareta, chociaż nie była to nawet porządna kłótnia. Ot, kilka słów wypowiedzianych podniesionym głosem. Nawet nie wyprowadziła Daniela z równowagi. To on ją zdenerwował. A przecież ona nie tak dawno temu piła kawę, marząc o zepsuciu mu dnia!

Wyszła z jadalni na miękkich nogach. Nie wzięła pełnego kubka kawy, nawet nie spojrzała w tamtą stronę. Próbowwała skupić się na tym „problemie”. Problemie, który w zasadzie problemem nie był. Bo w napadzie szalu krzyknęła, że chce się rozstać z mężem. Normalnie... Normalnie wciąż chciała tutaj mieszkać.

Zwykle takie podejście do sprawy, rozpatrzenie jej pomagało. Nawet nie zwykle, ale zawsze! A teraz? Szła przygarbiona, jej nogi wciąż się trzęsły. Nie dostrzegą ścian.

Nie widziała nic oprócz drogi. Jakby podświetlonej.

Prowadzącej do jednego z ulubionych miejsc. Ciszey i spokoju.

Wytrzeźwienia.

„Dlaczego jest tak zimno? Dlaczego w domu nagle rozszalał się wiatr? I dlaczego... Dlaczego czuję na twarzy zimne krople deszczu...? Deszczu?”.

Przystanąła. Nogi same zaniósły ją do ogrodu. Nie było zimno, wiał lekki wiatr. Nie padał śnieg, tylko lekko mżyło.

Nic nie wskazywało na to, aby pogoda miała się wkrótce zmienić. Na lepsze lub gorsze.

Idąc już świadomie, minęła spróchniałe drzewo. Doszła do grobów rodziców Daniela. Rano, gdy była tak bardzo niewyspana, postanowiła tu zajrzeć. Teraz wydawało się jej to bezsensowne, senność już jej nie dokuczała.

Cały czas coś ją gnębiło. Nie dawało spokoju. Czuła, że coś jest nie tak, nie mogła tylko dojść, co jej nie pasuje. Było to tak, jakby zgubiła fragment jakiejś układanki i próbowała zastąpić go nowym. Innym. Z pozoru idealnym, tak naprawdę jednak niedającym się nigdzie dopasować.

Dlaczego?

Po raz setny spojrzała na las. Ciemny i ponury. Nad tym lasem zawsze górowały burzowe chmury, które jednak niekiedy nie dostawały się do miasteczka. Ciemne, czasami fioletowe. Teraz zastąpiły je szare baranki, kumulujące się na niebie. Z pewnością zwiastujące deszcz. Ciężące nad granicami północnej Anglii.

Poranek był tak przyjemnie jasny, słońce jednak rzadko tutaj wytrzymało.

Nagle Medison zapragnęła pójść do tego lasu, zagłębić się w niego tak bardzo, aby nie móc znaleźć drogi powrotnej, aby uciec od problemów. To było niczym zakazany owoc. Bo najbardziej pragnie się tego, czego nie można osiągnąć. Całym sercem. Dlaczego ma słuchać Daniela?

Zerknęła na dumne twarze jego rodziców. Ciekawe, co sobie teraz myślą. Może błędzą obok niej, chcąc ją w czymś uświadomić? Bo nadal nie zaznała spokoju. Spokoju ducha, który był jej tak bardzo potrzebny.

Odwróciła się od grobów i popędziła ku domowi. Nie będzie rządził nią ten cham. Nagle wpadła w złość. Złość, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała. To była jakaś inna odmiana tego uczucia. Była tak wściekła, że aż miała łzy w oczach.

Znowu. Czy łez może kiedyś zabraknąć? Lepiej cierpieć z wilgotnymi oczami czy z suchymi? Wilgotne oczy często kompromitują. Pokazują, że ludzie są słabi. Medison nie chciała być słaba. Przy Danielu, który czasami owijał ją sobie wokół palca, może i traciła resztki honoru. Jednak zostało w niej coś z dawnej Medison Carpen. I nie zamierzała tego tracić.

Nie dostaniesz rozwodu, Carpen.

Tak, tak właśnie powiedział.

Masz zakaz wychodzenia gdziekolwiek poza granice tego domu. Na czas nieokreślony.

Teraz łzy spływały po jej policzkach. Nie wiedziała, dlaczego. Czy to te słowa tak ją bolały? Nigdy nigdzie nie wychodziła, dlaczego więc ta zmiana tak ją zabolą? A może nie zmiana. Raczej fakt, że Daniel jej czegoś zabrania.

Tymczasem coś się w niej odblokowało. Powoli zaczynało się otwierać. Nie zwolniła, dalej biegła w kierunku domu, pragnąc jak najszybciej go opuścić. Wyjść poza wyznaczone granice i znaleźć się w lesie, na obcym terytorium. Tam, gdzie nie wolno jej było przebywać.

Otworzyła drzwi. Korytarz był jak zawsze chłodny, tutaj jednak nie wiało. Nie było też deszczu, który z coraz większą mocą chłostał po twarzy. I dalej biegła, biegła, jak mogła najszybciej, tak jak pozwalała jej śliska posadzka.

Drzwi wejściowe otwierały się ciężko, jakby również chciały ją zatrzymać, uwięzić. Ciągnęła je, ale szło jej to dość opornie, była zmęczona. Od szybkiego biegu dostała zadyszki.

Już drzwi uchyliły się, wolno przesuwały w jej stronę, otwierały... Do domu wślizgnął się wiatr, zimny i ostry. Zaraz drzwi się otworzą, za chwilę będzie mogła wyjść. Tylko kilka centymetrów...

Drzwi zamknęły się z hukiem.

- Co ty wyprawiasz, Carpen? - warknął niczym zwierzę.

Pojawił się znikąd. To on zamknął drzwi - z łatwością, w ogóle mu się nie opierały. Wręcz przeciwnie, poddały się mu.

Swemu panu. Władcy.

Pan i władca. Dobrze sobie.

Spojrzała mu w twarz z zamiarem wymierzenia policzka. I szybko się cofnęła.

Daniel najwyraźniej myślał, że chce zwiać. Chwycił ją za nadgarstek i udaremnił ucieczkę... której nawet nie planowała.

Bo nagle coś w niej pękło. I gdy zrozumiała, co to takiego, przeszył ją ból, jakiego nigdy nie zaznała. I była pewna, że już nigdy go nie poczuje.

To dlatego się cofnęła. Bo zrozumiała...

Jeszcze raz spojrzała mu w twarz. Był jej demonem. Z pewnością. Niby niewiele odróżniało go od Michaela, z pozoru byli tak samo przystojni. Ale to w Danielu było coś, co sprawiało, że kobiety lgnęły do niego. Czy to był ten złowrogi, tajemniczy błysk w czarnych oczach? Długie czarne rzęsy? A może włosy, ułożone tak, że nie przypominał biznesmena, lecz nastolatka? Jego styl? Tak mroczny i tajemniczy jak jego oczy. Nieprzewidywalny jak charakter. Ciekawy i interesujący jak jego wnętrze.

To niemożliwe. To nie działało się naprawdę!

Medison go kochała. Kochała i zarazem nienawidziła.

Kochała sercem, a nienawidziła duszą.

To dlatego tak bardzo bolało, gdy na niego patrzyła. On był dla niej wszystkim, a ona dla niego nikim. To ze względu na niego chciała zostać w tym domu. Nie wyobrażała sobie życia bez Daniela. Nie patrzeć codziennie w tę twarz? Choćby wykrzywioną gniewem czy kpina, ale i tak cudowną. Piękną.

Jedyną w swoim rodzaju. Nienależącą do niej. Była jak zakazany owoc. Daniel był jej zakazanym owocem. Czymś, czego pragnęła najbardziej w świecie, a co miało nigdy do niej nie należeć.

Kocham cię - pomyślała.

Te dwa małe słówka rozniosły się głośnym echem po jej czaszce. I bynajmniej nie brzmiały jak muzyka, tylko jak przerażające dźwięki z najgorszego horroru.

Tyle razy obiecywała sobie, że się nie zakocha. Jakżeby mogła? Miała mężczyzn powyżej uszu. Brzydziła się ich, uważała za niższą kategorię. Feministka? Raczej nie. Dla niej nawet kobiety, które wychodziły za męża, były głupie. Głupie i zaślepienie. „To mija” - myślała. A gdy minie, po rzekomej miłości nic nie zostanie, więcej - okaże się, że w ogóle nie istniała!

Tymczasem ona była pewna, że Daniel będzie ją dręczył do końca jej dni. Jego twarz, jego głos już zawsze będą ją prześladowały. Może wiedział? Czytał w myślach? I dlatego chciał, aby tu mieszkała. Aby upajać się jej cierpieniem, żywić się nim. Był pasożytem?

Trudno było myśleć o nim w ten sposób. Teraz...

Ręka, którą trzymał jej nadgarstek, była taka ciepła!

Zapagnęła zbliżyć się do niego. Objąć i poczuć ciepło bijące od jego ciała, zapach jego perfum.

A potem wymierzył jej policzek.

Nie był damskim bokserem. Był dżentelmenem. Mimo że nie ruszył się z miejsca, nawet nie unióśł ręki, poczuła ból. To wszystko działało się w jej głowie.

Zrozumiała, dlaczego nie chce wypuszczać jej z domu.

Za granicami tego mieszkania kryło się owo „Coś”, o czym nie powinna wiedzieć. Jakaś tajemnica, która mogła zagrażać jej życiu. Która była niebezpieczeństwem również dla Daniela.

Upewniła się, że Michael działa na zlecenie Daniela.

Bliski przyjaciel wyświadcza mu przysługę.

Wiedziała, że teraz żyje w innym świecie, już dawno to sobie uświadomiła. Teraz jednak, utwierdzona w przekonaniu, że go kocha, mogła przeżywać męki, żyjąc z tym wszystkimi harpiami.

Interesy. Tak odrażające, że gdyby ujrzały światło dzienne, Daniel znalazłby się za kratkami. I nawet wysoko postawieni „przyjaciele” nic by mu nie pomogli.

Interesy kontra ona. Była jego wrogiem. Już nieszkodliwym, jednak wiedziała o tym tylko ona. Daniel nadal był przekonany, że Medison będzie węszyć. Szukać, szperać, aż coś znajdzie. A potem osaczy go i zniszczy.

Zrówna z ziemią.

Zawsze pozostawało morderstwo.

Niewyjaśnione, zbrodnia doszła. Czyżby nie chciał jej zabijać?

A jednak to, jakim uczuciem ją darzy, co o niej myśli, nagle stało się istotne.

- Już nic - odpowiedziała na jego pytanie z minutowym opóźnieniem.

Szarpnęła ręką. Uwolniła się z jego uścisku, chociaż mogłaby tak stać godzinami, byle tylko czuć ciepło jego dłoni.

Zrezygnowana zdjęła żakiet i odwiesiła go na stojący w rogu wieszak. Weszła na górę i skierowała się w stronę korytarza prowadzącego do jej sypialni. Pchnęła drzwi i nie czekając, aż same się za nią zamkną, rzuciła się na łóżko.

Dni były długie i mijały w milczeniu. Obustronnym. Nikt

się nie odzywał, słowa stały się zbędne. Medison widziała spojrzenie Daniela. Było uważne. Widział, że coś z nią nie tak. Ze coś ją dręczy. Nie miał jednak pojęcia, co się dzieje. I chyba bardzo go to irytowało, ponieważ kilka razy patrząc na nią, potknął się o własne nogi. Jednak Medison nie wybuchła w takich sytuacjach śmiechem. Cały czas zbierało się jej na łzy. Jeszcze nigdy tak dużo nie płakała. Odkąd wprowadziła się do tego domu, z nieokrzęsanej chłopczycy w pancerzu zmieniła się w delikatną kobietę.

Nie mogła jeść. Nie chciała jeść.

Nie mogła spać. Nie chciała spać.

Nie mogła żyć. Nie chciała żyć.

Ktoś obserwujący ją z boku mógłby uznać, że zwariowała.

Na pewno dziwiłby się, dlaczego jeszcze nie zamknięto jej w pomieszczeniu, którego ściany są obite materacami. Sama myślała, że wariuje. Miała ochotę walić głową w ścianę, wszystko w niej krzyczało i wyło z bólu.

Ból... Co to było? Czym tak naprawdę był ból? I czym ból psychiczny różnił się od fizycznego? Myślała, że wie o nich wszystko. Jak bardzo się myliła... Oba były nie do zniesienia.

Szarpały rany. Tylko że ból psychiczny, który ją dręczył, był o stokroć gorszy od fizycznego. Oddałaby wszystko, byle ktoś porządnie ją potrzęsnał lub uderzył. Zadał jej ból, który odwróciłby uwagę od tego pierwszego, z którym nie potrafiła sobie poradzić.

Zewnętrzne rany, obrażenia, które często odnosiła, były niczym w porównaniu z obecnym cierpieniem. Nauczyła się radzić sobie z nimi. Wystarczyło zacisnąć zęby i powiedzieć sobie, że ta męka kiedyś się skończy. Mogła krzyczeć, co też dawało pewną ulgę.

Teraz ból zżerał ją od środka. Czują, jak ktoś ćwiartuje jej serce na małe kawałeczki, a potem posypuje solą. Pali i polewa kwasem. I zaciskanie zębów ani krzyczenie (nie żeby próbowała) nic tutaj nie dawało.

Czternasty lutego minął. Nie wydarzyło się nic szczególnego. Przez cały dzień Daniela nie było w domu.

Dlaczego Medison w ogóle myślała, że wydarzy się coś szczególnego? Bo są walentynki? Święto zakochanych? A ona jest jego żoną?

Szczerze mówiąc, nie była jego żoną. Raczej pełniła jej funkcję.

Medison leżała w łóżku. Nie mogła zmrużyć oka.

Ciemność pochłaniała ją, jednak nie rozpieszczała snem.

Raczej koszmarami, które przeżywała na jawie. Wstała. Nie miała zamiaru męczyć się w sypialni. Nie była masochistką.

Nie założyła kapci ani szlafroka i wyszła z pokoju. Nic sobie nie robiła z zimna, które zaczęło ją atakować, gdy tylko wytknęła nos ze swojej sypialni. Wiedziała, że zaraz znajdzie się w ciepłym salonie.

I że najpewniej nie będzie tam sama. Z niechęcią przyznała się przed samą sobą, że na to właśnie liczyła: że nie będzie tam sama.

Nie biegła. Nie chciała robić z siebie kretynki. Albo jakiejś pustej dziewczuchy, takiej jak Francesca. Ćwiczyła cierpliwość.

Posadzka była lodowata, ale przyzwyczała się. Spokojnie otworzyła drzwi do małego salonu, nic sobie robiąc z szaleńczego bicia swojego poćwiartowanego, krwawiącego serca.

To nie moje serce tak bije. Ja na nikogo nie czekam.

Niczego nie oczekuję. Głupie serce, nie mogłoby się uspokoić?!

Salon był pusty. Usiadła w tym samym fotelu co zawsze.

Przed nią stał dzban ze świeżą wodą. Medison poprosiła Rebeke, aby codziennie wymieniała w nim wodę na świeżą.

Trudno było tam wytrzymać o suchym gardle przez około godzinę, tak więc woda była zbawieniem. Medison nalała sobie pełen kubek. Doskonale pamiętała, jak kiedyś zgmiotła podobny w ręce. Była wtedy taka wściekła... Na pewno dlatego, że Daniel ją zdenerwował. I ten ból, kiedy doktor Hogans usuwał z rany kawałki szkła, nawet nie racząc znieczulić jej tego miejsca... Na samo wspomnienie cierpła jej skóra.

Siedziała cierpliwie, rozkoszując się suchym powietrzem, niedostępnym w innych częściach domu. Już niedługo rozpocznie się tutaj wojna, jednak oni będą walczyć między kłębami dymu, niestanowiącymi dla nich żadnej przeszkody.

Usłyszała kroki. Dopóki drzwi nie otworzyły się, jej serce straciło rytm i biło nierówno. To był Daniel. Miał na sobie czarne spodnie od pizamy. Włosy jak zawsze były w nieładzie po niedawnym prysznicu. Nie zawracając sobie głowy własną żoną, podszedł do kominka i podpalił drewno. Jaskrawe światło zaczęło bić po oczach. Czy nie powinna się do tego przyzwycząić? Do tego ciepła, do oparów, do suchości w gardle... Szybko wypila łyk wody, aby nawilżyć usta.

Salon powoli wypełniał się aromatycznymi zapachami.

Zmieszane ze sobą, dusiły.

Medison spojrzała na Daniela. Zauważyła, że jest bez koszulki. Dziękowała Bogu, że fotel, w którym siedzi, był ukryty w cieniu. Do dobrze znanego jej uczucia ciepła z kominka dołączyło nowe. Fala gorąca tak szybko zalała jej policzki, że aż zakręciło się jej w głowie.

Spojrzała na Daniela... Wezbrało w niej nieokiełznane uczucie nienawiści.

Tak było już od ponad dwóch tygodni.

Następny dzień dobiegał końca. Kolejne mijające minuty wzmagały poczucie beznadziejności życia. Codziennie wyłaniająca się z otchłani koszmaru, nie miała siły samotnie mierzyć się z rzeczywistością. Z sercem bijącym jak oszalałe czekała, kiedy się zjawi. Obojętny na bodźce, które doprowadzały ją do szaleństwa. Demon w skórze człowieka.

Zakazany owoc. Jej droga krzyżowa.

I znowu rozgorzała walka. Po raz kolejny zalewająca ją fala nienawiści i bezgranicznej miłości kazała jej spojrzeć mu w oczy. Walczyła dzielnie. Wytrzymała ból z godnością, z dumnie uniesioną głową. Chciała przekazać mu swoimi oczyma to, czego nie mogła wypowiedzieć na głos.

Kochała go, ale nienawidziła za to, że była dla niego nikim. Popychadłem. Inwestycją.

Jej jasne oczy zdawały się niknąć w jego czarnych. Starła się opierać jego spojrzeniu, które przyciągało ją.

To szatan. Jesteś moim upiorem. Moim demonem.

Atmosfera stawała się nie do zniesienia. Światło z kominka bardziej niż zwykle raziło w oczy. Czula już na twarzy języki ognia. Dym z kadzideł był tak gęsty, że chwilami ledwo widziała Daniela. Tylko jego błyszczące czarne oczy nie znikwały. Zdawały się być poza materią.

Było inaczej niż zwykle. Walka była taka sama - chociaż Medison wiedziała, że przegra, nie

poddawała się. Czekala tylko, aż Daniel się uśmiechnie. Jego uśmiech, mimo że był raczej ironiczny, pozwalał jej wejść do innego świata. „I czego oczekujesz, Carpen? Że wygrasz? Jesteś nikim” - mówił.

Medison miała wrażenie, że dzisiaj coś się stanie. Jeszcze przed północą. Coś, co zmieni jej życie. Może nie odwróci go o sto osiemdziesiąt stopni, ale o dziewięćdziesiąt - czemu nie...

To trwało już zbyt długo. Wzięła łyk wody, nie przestając patrzeć w czarne oczy swojego demona. Hipnotyzował ją.

Niszczyl i uzdrawiał zarazem.

Traciła siłę. Jej oczy również - nie opierały się. Powoli zaczynały się poddawać jego spojrzeniu.

Nagle zauważyła, że spojrzenie Daniela również jest inne.

Nie była już taka pewna, czy wyraża nienawiść. Ona - owszem, nie zmieniała wyrazu twarzy.

No, dalej, uśmiechnij się. Wybaw mnie.

Nie uśmiechał się. Przyglądał się, niemal nie mrużąc oczu.

To było nie do wytrzymania.

Nie, nie wytrzyma. To niemożliwe.

Czuła, jak po jej ciele przechodzi nowa fala złości, bynajmniej nie dodając jej energii. Zapragnęła zacisnąć ręce na szklance, ale wiedziała, jak to się skończyło ostatnim razem. Cienkie brzegi naczynia nie wytrzymały siły, z jaką je ścisnęła.

Nie miała zamiaru wylądować na izbie przyjęć. Zresztą musiałyby tam iść sama. Na piechotę. Daniel nie raczyłby jej podwieźć.

Wstała z fotela. Daniel nadal się jej przyglądał. Tak, te oczy z pewnością nie należały do człowieka. Były zbyt... dzikie, zbyt nienawistne, a zarazem tajemnicze i mroczne. To były oczy demona. Jej demona.

Nadal trzymała w dłoniach do połowy opróżnioną szklankę. Podała się. Znowu odczuwała ból. Jej serce krwawiło, niemalże czuła ciepły strumień krwi spływający z głębokiej rany. Oprócz tego czuła również tę dziwną atmosferę - atmosferę napięcia.

Marzyła o zaczerpnięciu świeżego powietrza. W salonie było gorąco, nieznośnie duszno i sucho. Powietrze zdawało się być szorstkie.

Czuła, że zaraz coś się stanie. Powietrze jeszcze bardziej zgęstniało, zaczynała drzeć na całym ciele, nieprzyjemne zimne dreszcze spływały po jej karku i plecach.

Była już przy drzwiach, gdy nagle poczuła na swoim nadgarstku ciepłą, delikatną dłoń, co zmusiło ją do odwrócenia w stronę demona. Tym razem jego oczy były zimne i martwe, zagubione, jakby nie wiedział, co robi.

Szklanka z wodą spadła na podłogę i rozbiła się z hukiem, a on zbliżył się na niebezpieczną odległość...

To wszystko działo się jak na filmie - w zwolnionym tempie. Nie panowali nad sobą.

Daniel przesunął dłoń na talię Medison i jeszcze bardziej ją do siebie przyciągnął. Stykali się już ciałami.

A potem Medison - również nad sobą nie panując - położyła ręce na jego szyi. Jego twarz znajdowała się tak blisko jej, ich usta dzieliło kilka niewinnych centymetrów.

Zrób to.

Pochylił się nad nią i pocałował ją.

To nie był sen, z którego miała się zaraz zbudzić.

Wyraźnie czuła przy sobie jego obecność. W jej wargi wbiło się milion maleńkich igiełek, poczuła, jak do jej policzków napływa nowa fala krwi. Objęła go mocniej. Daniel nie protestował. Przesunął jedną dłoń w górę jej pleców i dotknął jej włosów.

Powiedz to...

Nie, nie mogła mu tego powiedzieć. Wyśmiałyby ją.

Ale dlaczego teraz ją całował - tak namiętnie, że ledwo mogła oddychać?

Pomyślała, że w tej chwili mogłaby umrzeć.

Czuła jego dłonie na swoich plecach. Te miejsca parzyły.

Wiedziała, że jeśli ktoś tego nie zakończy, stanie się coś złego.

Bardzo złego. Tylko że nie miała najmniejszej ochoty odsunąć się od niego. I jemu chyba też to pasowało, bo otwierał drzwi od salonu.

- Nie... - wymamrotała.

Posłuchał. Odsunął się od niej, wciąż jednak trzymając ręce na jej talii. Spojrzała mu w oczy, wiedząc, że jutro nie będzie już w stanie tego zrobić.

Niedowierzanie. Strach. Zdziwienie. Ciekawość. To wszystko mogła wyczytać z jego oczu. Patrzył na nią tak intensywnie, że musiała odwrócić wzrok.

A potem znowu się od niej odsunął. Gwałtownie otworzył drzwi i wyszedł z salonu.

Medison stała przy ścianie, pewna, że zaraz się przewróci.

Ale to nie był sen ani najpiękniejsze złudzenie. Nawet halucynacja. To była prawda. I to on ją pocałował, chociaż ona tak bardzo starała się nad sobą panować.

Nigdy nie pomyślałaby, że do tego dojdzie.

Medison

Carpen

Daniel

Broogins.

Wrogowie.

Małżeństwo. Nienawiść i miłość. Pocałunek. Zażenowanie, które dopiero teraz zaczęła odczuwać.

Rozdział XV

O jedno słowo za dużo

Rebeka, dzisiaj wrócę późno, więc nie czekaj na mnie ani z kolacją, ani z obiadem - powiedział

Daniel.

Nawet nie zauważył Medison, która zeszła ze schodów na śniadanie.

Najwyraźniej szykował się na jakieś biznesowe spotkanie.

Ubrany był w czarny garnitur, w rękę trzymał teczkę.

Czy to ten sam człowiek wczoraj ją pocałował?

Na samo wspomnienie wczorajszego wieczoru w zimnym jak zwykle korytarzu zrobiło się nieprzyjemnie duszno i gorąco. Medison znowu oblała się rumieńcem. Ostatnio często jej się to zdążyło. Zbyt często. Na szczęście Daniel na nią nie patrzył, więc nie mógł tego zauważyć. Ale Rebeka mogła. I chyba to dostrzegła, bo zobaczywszy skierowane ku niej, spłoszone spojrzenie Medison, odwróciła głowę.

Wczorajsze przecucia sprawdziły się. Ten pocałunek zmienił wszystko. Już nie będzie mogła przebywać z nim w jednym pomieszczeniu ani „siłować się” na spojrzenia. Nie pójdzie w nocy do salonu, bo będzie pełna obaw, że go tam zastanie. Że nie będzie mogła oprzeć się pokusie i tym razem sama go pocałuje. I zostanie odepchnięta.

Daniel wyszedł. Do pomieszczenia wtargnął chłód.

Pustka. Nicość. Bez niego ten dom był martwy. Nic nie znaczył, tracił cały swój urok.

- Pan Daniel nie zjawi się dzisiaj na obiedzie ani na kolacji. Wolałaby pani zjeść na mieście czy mam przygotować coś w domu?

Na mieście? Kusiło ją, aby gdzieś wyjść, jednak przypomniała sobie gniew Daniela, to, jak wtedy wyglądał...

To spojrzenie mogłoby zabić. A jej dawało energię do życia.

- Zjem w domu. O tej samej porze co zawsze - odpowiedziała Medison.

- Zbladła pani. Dobrze się pani czuje? - dociekliwość Rebeki, a raczej jej troska była czasami uciążliwa.

- Czuję... się... dobrze - Medison powoli cedziła słowa.

Niemal warczała.

Nie wiedziała, skąd u niej taka złość na Rebeke. Nie, nie tylko na Rebeke - na Rebeke, na Olivie, na Daniela, a nawet na Madeleine. Była zła na cały świat. Miała ochotę wytargać Rebeke za włosy i rzucić nią o ścianę. Zmyć jej z twarzy tę matczyną troskę. Chciała zadzwonić do Madeleine i powiedzieć jej, że jest żalosna z tą swoją manią na punkcie zakupów, beznadziejną miłością do osiłka Christophera.

Chciała zniszczyć ten związek, pragnęła, aby ta zawsze szczęśliwa Madeleine miała wreszcie jakieś zmartwienia.

Medison zazdrościła jej z całego serca. Zazdrościła jej matki. Może i troszkę zrzędlivej, ale prawdziwej. Zazdrościła jej ojca. Przygłuchego, ale kochającego ją całym sercem.

Zazdrościła jej męża. Z pewnością skoczyłby za nią w ogień, a nie wrzuciłby ją do niego - tak jak by to zrobił Daniel.

Zazdrościła jej pięknego domu, otoczenia, jeziora, psa, a nawet kwiatów w doniczkach.

Nim spostrzegła, została sama na korytarzu. Rebeka zniknęła. Obraziła się? Zauważyła malującą się na jej twarzy złość? Domyśliła się, że działa jej na nerwy?

Wszyscy ode mnie uciekają. Chyba sama tego chcę.

Jestem samotnikiem. Zakochanym samotnikiem.

Nie ma nic gorszego niż bycie zakochanym bez wzajemności. Jeszcze trudniej jest, gdy człowiek, którego kochasz, uważa cię za nic. A już najgorzej, gdy nagle zaczyna cię całować. Ot tak. I jeszcze chce, żebyś tej samej nocy znalazła się w jego pokoju. Miłe. A potem patrzy, jakby się bał. Ciebie. Tego, co się stało i co miało się stać.

Życie jest brutalne. Nieprzewidywalne. Najlepsze jest to, że dopiero teraz się o tym dowiedziałam. Teraz - nie wtedy, gdy matka uciekła od ojca. Nie wtedy, gdy pierwszy raz dostałam w twarz. Tylko teraz. Właśnie teraz, gdy się zakochałam.

Miłość wcale nie jest piękna. Nie w moim przypadku. Jest jak pokrzywa - parzy, gdy tylko ją dotkniesz. Jest jak róża.

Piękna, z czerwonymi lub herbacianymi płatkami, ale gdy tylko dotkniesz jej łodygi, pokazuje swoją prawdziwą stronę.

Ma kolce. Które teraz właśnie dziurawią moje serce.

Nie ma życia bez celu. Moim celem stał się on. Miłość do niego. Nieodwzajemniona.

Zamknięte koło.

Medison nawet nie wiedziała, ile czasu stała na korytarzu, pogrążona w myślach. Tak naprawdę to nie miało znaczenia.

Czas zatrzymał się już wczoraj. Wskazówki na zegarach pędzą do przodu, jednak nic się nie zmienia. Czas się zatrzymał.

Przynajmniej dla niej. Tylko dla niej. Dla innych płynie dalej, wszyscy się śpieszą. Wiedzą, że już jutro może ich nie być.

Uderzenia serc tych ludzi już dawno zostały odliczone, tylko jej się zatrzymało. Nie wypełni tej liczby. Nawet gdy umrze, będzie zawieszona pomiędzy dwoma światami.

Tak bardzo pragnęła się dowiedzieć, dlaczego musi cierpieć. Życie wybrało dla niej najgorszą ze wszystkich możliwych kar. Czyżby musiała odpokutować za przeszłość?

Może kiedyś zrobiła coś złego, tylko już o tym nie pamięta? A może to sprawa z innego życia - tego wcześniejszego? Tylko dlaczego w tym nowym życiu ma pokutować za to, które już dawno się skończyło - dawno, to znaczy dwadzieścia trzy lata i pięć miesięcy temu...

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Ogłuszający odgłos gongu sprawił, że ocknęła się i z sercem bijącym jak szalone podeszła do drzwi. Kto to mógł być?

Już dotknęła klamki. Cofnęła rękę jak oparzona. Nie wolno jej otwierać tych drzwi. Za nimi kryje się zakazana przestrzeń, obce terytorium, niebezpieczeństwo.

Ale przecież nie wyjdzie za wyznaczone granice. Wpuści przybysza do środka. To pewnie Madeleine. Chce się wybrać na zakupy i nie przyjmuje odmowy. Ale Medison będzie musiała jakoś się wykręcić. Bo nie wolno jej wychodzić z domu. Oczywiście, nie powie o tym Madeleine. Wciśnie jej gadkę o tym, jakie to ma straszne migreny. Albo że złapała ją grypa i lepiej, żeby Madeleine przyszła kiedy indziej, bo może się zarazić... Przyjaciółka niczego nie bała się tak jak grypy.

Otwarcie drzwi to nic złego. Ponownie dotknęła klamki - tym razem nie poczuła żadnego dyskomfortu. Otworzyła drzwi. Z lekkością. Nie tak jak ostatnio. Nie opierały jej się tak jak wtedy, gdy chciała uciec.

Uśmiechnęła się, pewna, że zaraz ujrzy przyjaciółkę.

W progu stał Michael.

- Michael? - zdziwiła się. Gość uśmiechnął się czarująco.

- Medison - najwyraźniej bardzo się ucieszył, że ją widzi.

Nie, to maska. Pracuje dla Daniela. Jest bardzo dobrym aktorem.

- Co tu robisz? - spytała niezbyt grzecznie. Michael puścił mimo uszu ostry ton jej głosu.

- Przyszedłem do Daniela. Widzisz, muszę obgadać z nim pewne sprawy...

Przyjrzał się jej uważnie. Tak jak wtedy - na weselu.

„Obgadać z Danielem pewne sprawy...”. Zadrżała. Usłyszała głośne tykanie wskazówek zegara śmierci, który stał tuż obok niej. I odmierzał czas do wykonania egzekucji.

- Daniela nie ma - powiedziała prawdę, jednak głos zaczął jej drżeć. Michael mógł pomyśleć, że kłamie.

I najwyraźniej tak pomyślał, bo z kpiącym uśmiechem na twarzy (godnym Daniela) zapytał: - Doprawdy?

- Doprawdy - Medison wzięła się w garść.

Stała w drzwiach. Michael był na straconej pozycji.

Jedyne, co mógł zrobić, to uwierzyć jej. Aby dostać się do domu, musiałby ją odepchnąć, a tym samym zdemaskowałby się. Jemu zaś zależało na dyskrecji.

- Cóż. Trudno. Przekaż mu, że przyjdę jutro z panem Starkiem - westchnął. Był naprawdę dobrym aktorem. - A tobie, Medison, życzę zdrowia, szczęścia... i rozsądku.

Rosądku? Poczwała, jak krew odpływa jej z twarzy.

Pomyślała, że ma dość zawiłych zagadek, interesów, wszelkiego zagrożenia, jakie czyhało na nią poza ścianami tego domu. Nie powiedziała nawet „do widzenia”, tak była sparaliżowana.

Tymczasem Michael oddalał się w kierunku swojego samochodu. Samochodu, który połyskiwał srebrem...

Medison leżała na swoim łóżku i myślała. Bynajmniej nie o życiu, które nagle zaczęło przelatywać jej między palcami.

Uciekało niczym woda. Myślała o najbardziej błahej, żenującej i najtrudniejszej rzeczy, jaką miała tego dnia zrobić.

Postanowiła, że porozmawia z Danielem. No, może nie porozmawia, ale odezwie się do niego. To graniczyło z cudem. Nie mogła sobie wyobrazić siebie i jego. W jednym pomieszczeniu, sam na sam. I ciszy zakłóconej słowami.

Nie mogła liczyć na to, że ktoś im przeszkodzi. Daniel powiedział, że wróci późno, nie będzie go nawet na kolacji.

Tak więc będą tylko oni, jedno pomieszczenie i aksamitna czerń nocy... Wymarzony scenariusz. Gorzej już chyba nie mogła trafić. Tym bardziej że musiała wypełnić swoją misję.

A wiedziała, że z każdym dniem będzie coraz gorzej zносиła jego obecność.

Życie nie mogło się bardziej skomplikować.

Dzień minął bardzo szybko. Jakby ktoś przewinął film.

Jedzenie, zawsze dobre, teraz smakowało jak papier. Ponury dom całkiem stracił barwy - niegdyś błyszcząca czerń stała się nagle matowa, śnieżnobiała biel - brudna.

Ciemnozielone kafelki z łazienki przywodziły na myśl oślizgłe wodorosty. Medison nie wiedziała już, czy świeci słońce, czy zerwała się śnieżyca. Mogliby bombardować dom, a ona leżała w łóżku, obojętna na bodźce, które atakowały ją ze wszystkich stron.

Przyszedł wieczór. Medison zjadła kolację bez entuzjazmu, obojętna na smaki i kolory. Potem wzięła gorącą kąpiel. Nie przeszkadzała jej parząca woda ani mydło, które wleciało jej do oczu.

Pośród ciszy wyraźnie usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi wejściowych. To na pewno był Daniel. Wrócił wcześniej, niż by się Medison mogło wydawać. Szybko wyskoczyła z wanny i okryła się ręcznikiem. Doskoczyła do drzwi i dotarło do niej, że jest cała mokra, a do tego prawie naga. Tak, jeszcze tego brakowało - podlecieć do Daniela w samym ręczniku.

Tak więc szybko się wytarła, rezygnując z suszenia włosów, i założyła koszulkę nocną. Ze splątanych, wilgotnych włosów leciała jej woda, mocząc tył koszulki.

Wybiegła z łazienki i skierowała się w stronę jadalni - tam powinien być Daniel. Na pewno je późną kolację. Jednak gdy tam zajrzała, okazało się, że go nie ma. Więc gdzie mógł być?

W salonie?

Zajrzała do sąsiadującego z jadalnią pomieszczenia. Już miała wychodzić - była pewna, że go tam nie ma. W salonie było ciemno, w kominku nie palił się ogień, nie było czuć żadnego zapachu... No, może oprócz tych cudownych perfum...

Był tam. Siedział na kanapie, swoim stałym miejscu. W ciemnościach widziała zarys jego twarzy. A raczej jej część.

Ukrył ją w dłoniach, które opierał na kolanach. Wyglądał na bardzo zmęczonego człowieka... Lub takiego, który pokutuje za całe swoje życie. Musiał mieć zamknięte oczy, bo nie zauważył

strumienia światła wlewającego się

do pomieszczenia z korytarza. Pograżony w swoich myślach, nie usłyszał otwierania drzwi.

Medison odchrząknęła. Z wielkim trudem. Nie wiedziała, jakim cudem się do niego odezwie.

Daniel wzdrygnął się, jakby nagle zbudzono go z głębokiego snu. Spojrzał na Medison nieprzytomnym wzrokiem, nadal trzymając dłonie na skroniach, jakby bolała go głowa.

- Czego chciałaś? - warknął, ale nie zabrzmiało to groźnie.

Medison straciła głos. Stała i stała, patrząc na niego i nie mogąc wydusić słowa. Myślała, że właśnie to spojrzenie będzie jej najtrudniej znieść. Sądziła, że nie będzie mogła popatrzeć mu w oczy, tymczasem robiła to bez najmniejszego problemu. Ale nie była w stanie się odezwać. Usiłowała poszukać swojego języka, ale najwyraźniej uwiązał jej w gardle. Starła się więc zlokalizować gardło, ale i to się nie udało.

- Carpen, w szkole uczyli mówić, pisać i czytać, czyżbyś opuściła te zajęcia? A jeśli nie masz mi nic do powiedzenia, to proszę, wyjdź z tego pomieszczenia i przestań zabierać mu urok.

Ten nagły powrót do szarej rzeczywistości nieco ją otrzeźwił.

- Gdy cię nie było, przyszedł Michael - powiedziała głośno. - Jutro ma zjawić się u ciebie z jakimś Starkiem...

- Panem Starkiem, Carpen - poprawił ją.

- Nie nazywam się Carpen, Broogins - wycedziła.

Uśmiechnął się. A jej język znowu gdzieś się schował.

- O której mają przyjść? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Powiedział tylko, że jutro mają się zjawić. Był szczerze zdziwiony i zasmucony, że cię nie ma. Czyżby chodziło o interesy?

Medison wiedziała, że Daniel jej nie odpowie, jednak nie mogła się powstrzymać. Broogins powrócił do poprzedniej pozycji, jednak tym razem miał na twarzy wymalowaną złość i coś do siebie powarkiwał. Medison wychwyciła tylko poszczególne słowa, takie jak „Michael”, „bank”, „pieniądze”.

Michael najwyraźniej znowu chciał przekonać Daniela, aby pozwolił mu zostać współwłaścicielem banku.

Broogins już nie przejmował się jej obecnością. Medison z westchnieniem wycofała się z salonu i zamknęła za sobą drzwi.

Pomaszerowała do swojej sypialni. Położyła się do łóżka i starannie okryła kołdrą. Znowu było zimno, bardzo zimno.

Było jeszcze wcześniej, ale nie wiedziała, co ma robić. Nie odważyła się wyjść na dwór, do ogrodu (było zbyt ciemno) ani do biblioteki (było to jedno z ulubionych miejsc Daniela, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że prędzej czy później go tam spotka).

A jednak zasnęła, niemalże od razu. Jednak gdy się obudziła, nie czuła się wypoczęta, a w jej pokoju było jeszcze ciemno. Musiało być wcześniej. Spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej...

No to pięknie.

Powieki nie chciały się zamknąć. Postanowiła wybrać się do biblioteki po jakąś książkę.

W bibliotece nie było nikogo. Na szczęście Daniel spał jak zabity i chyba nic nie mogło go zbudzić.

Biblioteka była ogromna, półki ugięły się pod stosami książek. Pomieszczenie to z pewnością nie pełniło funkcji biura. Nie było tu żadnej szafki ani komputera. Sama przed sobą zawstydziała się, że nie wie, gdzie w tym domu jest gabinet.

Na półkach, jak w prawdziwej bibliotece, było napisane, jakie kategorie książek znajdują się w danym miejscu. A było tu wszystko - od publikacji naukowych, przez romanse i horrory, aż po akademickie podręczniki służące zgłębianiu wiedzy z zakresu muzykologii i medycyny. Po co mu było to wszystko? Otwierała niektóre książki - kartki trzeszczały, najwyraźniej nikt nigdy ich nie czytał. Próżność? Pycha? A może obsesja albo zakupoholizm...

Nie miała odwagi sięgnąć po romans - własne życie mogła do niego porównać. Wzięła horror, na którego okładce był mrozący krew w żyłach obraz mężczyzny powstającego ze starego grobowca.

Aby dojść z biblioteki do jej pokoju, trzeba było przejść koło sypialni Daniela. Nigdy tam nie była - nie odważyła się tam zajrzeć, nawet pod nieobecność Brooginsa. Teraz ogarnęła ją wielka chęć, aby zobaczyć ten pokój. Ujrzyć śpiącego, bezbronego Daniela.

Nie kontrolowała się i już dotykała klamki, kiedy to usłyszała.

Daniel wcale nie spał.

Był bardzo zdenerwowany i mówił głośno: - Nie obchodzi mnie, że jest wcześniej i może coś usłyszeć... Ona po prostu zaczyna mnie za bardzo denerwować... Przyślij tu kogoś... Nie po południu, teraz! Nie zrządę, tylko mówię ci, że masz się natychmiast zjawić. Za co ci płacę?

Odeszła od drzwi jak oparzona. Krew odpłynęła jej z twarzy. Nie wierzyła w to...

Ona po prostu zaczyna mnie za bardzo denerwować...

Co ona znowu takiego zrobiła?!

Nie zrządę, tylko mówię ci, że masz się natychmiast zjawić. Za co ci płacę?

Nie...

A potem korytarz zaczął wirować, nastąpiła ciemność i Medison poczuła zimno posadzki... Nieprzyjemne zimno, biorąc pod uwagę dreszcze, które nią wstrząsały. A potem nie czuła nic.

- Kobieto, czy ty nie możesz znormalnieć? Medison,

wstawaj!

Nowy budzik? Ciekawe, od kogo dostała taki fantastyczny prezent... Ten głos to było naprawdę coś. Taki przyjemny,

lekkie zdenerwowanie, ale też drżący od gniewu... Albo strachu. Niepokoję. I miała wrażenie, że już gdzieś go słyszała. Ale znać ten głos i nie zwracać na niego uwagi... To by było marnotrawstwo.

A potem przypomniała sobie, że ona nie dostaje prezentów. A właścicielem tego pięknego głosu jest ktoś, kto płaci innej osobie, aby ją zabiła.

- Medison, wstaniesz kiedyś? Boże, co ci się stało? Nie miała najmniejszej ochoty wstawać. Leżała na czymś rozkosznie miękkim, a Daniel zwracał się do niej po imieniu, trzymając ręce na jej ramionach...

- Carpen, wstawaj, do cho...

Nie usłyszała dalszej części wyrazu, ponieważ Daniel wymierzył jej policzek. Nie bolało, ale tak ją tym zaskoczył, że poderwała się z tego czegoś, co było takie miękkie i okazało się być łóżkiem Daniela.

- Ała! - krzyknęli jednocześnie.

Medison nie wiedziała, że Daniel pochylał się nad nią, więc gdy wstała, z całej siły uderzyła głową jego brodę.

- Medison, ty nieudaczniku! - warknął Daniel, trzymając się za podbródek.

- Masz za twardą żuchwę, idioto! - wycedziła, masując sobie ręką czubek głowy.

- Zaczynasz mnie denerwować - wysyczał.

- Tak? To mnie zlikwiduj? To łatwe, wyjmujesz spod poduszki pistolet i strzelasz między oczy.

Gdy zrozumiała, co powiedziała, szybko włożyła rękę pod poduszkę. Na szczęście nie miał tam broni. Cóż, pozostawały jeszcze szuflady i szafa... Boże, jaki ten pokój był wielki! Cały utrzymany w kolorach bordowym i czarnym. Łóżko, na którym teraz siedziała, było całe czarne, a to coś miękkiego okazało się być bordową kołdrą. Koło łóżka stała mała szafka nocna, a na niej znajdowała się biała zapachowa świeca i niedbale odrzucony telefon. Całą długość ściany, która wychodziła na ogród, zajmowało okno. Wielkie okno z czarnymi zasłonami, które gdzieś tam przewiązane były bordową wstążką. Meble przy przeciwległej ścianie miały identyczny wzór bordowo - czarnej szachownicy. Ściana pomalowana była na bordowo, tylko w połowie i przy suficie widniał czarny pasek.

- Nie odzywaj się, kiedy nie trzeba, Carpen... I nie szwendaj się po domu.

- Nie mogłam spać - wyjaśniła Medison. - Ty zresztą też.

- Wydaje ci się - Daniel zrezygnował z zajęcia miejsca koło Medison i usiadł naprzeciwko niej w bordowoczarnym fotelu.

- Z kim rozmawiałeś? - spytała Medison.

- Nic ci do tego, Carpen, i jeśli już dobrze się czujesz, to wracaj do swojego pokoju.

- Nikt nie powiedział, że czuję się dobrze - odparła Medison.

Daniel westchnął.

- Więc co mam zrobić, abyś się lepiej poczuła? - zapytał.

Wow.

- Powiedz mi, z kim rozmawiałeś.

- Dobra, zostań tutaj.

- To aż taka tajemnica?

- Działasz mi na nerwy, Medison.

- Ta, gdzieś to już słyszałam...

Daniel wstał z fotela i wyjrzał przez okno.

- Powinnaś już iść do swojego pokoju.

- Źle się czuję - westchnęła. A żeby jeszcze bardziej go rozsierdzić, dodała: - A może byś mnie zaniósł?

Ku jej zdziwieniu Daniel podszedł do niej. Widząc jej zdziwioną minę, wyjaśnił:

- Uwierz mi, zrobię wszystko, bylebyś tylko szybko się stąd wyniosła.

Wziął ją na rękę i zachwiał się.

- Kobieto, ile ty ważysz? - wyszeptał. Chyba nie miał siły mówić głośniej.

- Nic ci do tego - oburzyła się Medison.

Jednak nie zaprotestowała, gdy Daniel wyniósł ją z pokoju. Wciąż nie czuła się najlepiej, bolała ją głowa, a powieki niemiłosiernie ciążyły. Zakręciło się jej w głowie - nie wiedziała tylko, czy to z powodu wcześniejszego omdlenia, czy raczej z bliskości pomiędzy nią a Danielem.

Zamknęła oczy, rozkoszując się jego zapachem. A potem usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi i wylądowała na swoim - twardym - łóżku.

- Byłbyś delikatniejszy - warknęła.

- A ty mogłabyś przestać jeść.

- A co, inne są lżejsze? - wycedziła.

A potem dotarło do niej to, co powiedziała. Była” zazdrosna!

- Nie przeczę, Carpen. Inne były szczuplejsze - Daniel uśmiechnął się. Tak cudownie, że Medison o mały włos znowu straciłaby przytomność. I wyszedł z pokoju.

Medison zasnęła. Sama nie wiedziała, jak to się stało.

Przecież wyraźnie słyszała, jak Daniel mówił, że „ona” zaczyna go denerwować. „Za co ci płacę?” To jasne, że chodziło o zlikwidowanie jej. Tylko była taka zmęczona... I nadzwyczajnie spokojna. Czuła, że dzisiaj jeszcze nic się jej nie stanie... A jeśli tak, to we śnie może nic nie poczuje.

W końcu obudziła się. Zegarek wskazywał, że była dziewiąta dwadzieścia. Poszła do toalety, całkiem już wyspana. Szybko wzięła zimny prysznic. Nie był to najlepszy pomysł. Dzień był wietrzny i zimny, termometr w kuchni za oknem (gdzie znów sama musiała robić sobie kawę) wskazywał minus dwa stopnie.

Ubrana w najcieplejszy ze swoich swetrów, z kawą w ręku poszła do jadalni. Był tam Daniel. Znowu rozmawiał z kimś przez telefon.

- Nie obchodzi mnie, co sobie o tym pomyśli. Po prostu mam ważniejsze sprawy na głowie i nie mogę dzisiaj zjawić się na spotkaniu.

I trzasnął telefonem o stół.

- Czyżby rodzinna firma dawała w kość? - zaśmiała się Medison.

- To nie rodzinna firma, tylko sieć banków, którą zarządzam i dzięki której mam pieniądze, aby cię utrzymywać, Carpen, więc jeśli nie chcesz, aby jej właściciel trafił za kratki za zabójstwo swojej żony, która...

- Gadka szmatka, blablalba... - westchnęła Medison, pijąc swoją kawę.

- NIE PRZERYWAJ MI, CARPEN! - wrzasnął. Nie był w nastroju do żartów.

- A kogo obchodzi, co masz do powiedzenia? - zapytała Medison. - I zdecyduj się, jak do mnie mówisz: Medison, Carpen... A może Broogins?

- Nie zasłużyłaś sobie na to nazwisko - odpowiedział.

- A jednak właśnie tak się nazywam. Jaki on był słodki, gdy się złościł...

- Błagam! - jęknął, masując sobie skronie. - Przez ciebie nie zmrużyłem oka, boli mnie głowa i mam spotkanie z Michaeliem, więc, proszę, przestań zrzędzić!

Nie zmrużył przeze mnie oka? Myślał o mnie czy co...

- Właśnie, gdy będzie u mnie Michael, nie wychodź ze swojego pokoju. Mamy do obgadania ważne sprawy i nie chcę, żebyś mi przeszkadzała.

Medison nie odpowiedziała. Znowu to samo - przeszkadza i przeszkadza. Powoli miała tego dość, ale czy to nie na to się godziła, gdy wypowiadała magiczne „tak” przed kapłanem?

Wtedy jednak nie wiedziała jeszcze, jaki obrót przybiorą sprawy - nie miała pojęcia, że się w nim zakocha.

Spojrzała na Daniela. Od kiedy znalazła się w jego pokoju, mogła śmiało patrzeć mu w oczy i nie myśleć o tym nieszczęsnym pocałunku.

Tak więc gdy niedługo potem rozległ się dzwonek do drzwi, Daniel poszedł osobiście otworzyć drzwi,

a Medison powlokła się do swojego pokoju.

Jednak nie było tam niczego ciekawego. Po kilku minutach wsłuchiwanie się w wiatr zaczęła się nudzić. Chciała wyjść z pokoju, tym bardziej że zachciało się jej pić. Daniel co prawda powiedział jej, że ma nie wychodzić z pokoju i nie przeszkadzać im, ale jeśli cichutko przemknie się do kuchni... nie narobi hałasu... być może jej wybaczy?

Wyszła z sypialni. Nigdzie nie było żywej duszy. Medison była ciekawa, gdzie Daniel rozmawia z Michaeliem i tajemniczym panem Starkiem. Ale nie wolno jej było przeszkadzać. I wołała nie narażać się Michaelowi.

Ale była taka ciekawa!

Zrezygnowana, powlokła się do kuchni. Echo jej stóp pośród ciszy było tak głośne, że można by je porównać do młota pneumatycznego. Zeszła po schodach i w końcu znalazła się pod żyrandolem. A potem coś rozdarło ciszę.

To były głosy. Dobiegały z małego salonu. Ktoś mówił głośno, jednak z tej odległości Medison nie mogła rozróżnić słów.

W salonie rozmawiało dwóch mężczyzn. Jeden miał bardzo niski i ochrypły głos, Medison nie rozpoznała go. Z pewnością należał do pana Starka. Drugi, lekko zniecierpliwiony, był głosem Michaela. Daniela nie było słychać. Czyżby nie było go w salonie?

Ciekawość wzięła górę. Medison podeszła do drzwi, lekko drżąc z ekscytacji. O czym też rozmawiali pod nieobecność Daniela tak głośno, że było ich słychać na korytarzu?

W końcu znalazła się na tyle blisko, że wyraźnie słyszała, o czym rozmawiali.

- Nie zgodzi się. Przecież to logiczne. Nikt głupi nie podzieliłby się tak wielką firmą. To przecież prawdziwa żyła złota!

- Wiem, Ronaldzie - odpowiedział Michael do pana Starka. - A jaki jest nasz plan? Zapomniałeś już o nim?

- Tylko w ostateczności, Michael - odparł Stark. - Wiesz przecież, że władze sąsiedniego miasteczka zainteresowały się sytuacją kryminalną naszego miasta.

- To już sprawa Hektora - zaśmiał się Michael. - A on zawsze wie, co robi.

- Hektor jest czasami zbyt pewny siebie. A zrozum, że trzy to już za dużo. Kolejne dwa...

-

Być może nie dwa. Jeśli kobieta zechce współpracować...

- A jeśli nie? Nastąpiła cisza. Medison czuła, jak uginają się pod nią nogi. A potem ci dwaj roześmiali się.

- Tak więc wnieśmy toast za naszą przyszłą firmę. Za nasz plan - powiedział tubalnym głosem pan Stark.

- Chwileczkę, zawołam Daniela. Niech świętuje z nami...

Tylko coś troszkę innego...

Zanim Medison zdążyła zareagować, drzwi otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty Michael. A za jego plecami siedział gruby mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w garnitur, który ledwo się dopinał. Ronald Stark we własnej osobie. Daniela rzeczywiście nie było.

- Medison?

Michael był zszokowany. Nawet nie starał się tego ukryć.

Nie było czego ukrywać. I tak za dużo się wydało.

Był równie blady co Medison, tak samo zdenerwowany. I tak jak ona nie ukrywał emocji.

A potem zmienił wyraz twarzy tak szybko, jak gasi się zapaloną świeczkę.

- Czyżbyś chciała z nami podyskutować, Medison? - zapytał.

- Zapraszamy - dodał pan Stark.

- N...nie - zająknęła się. - Ja... muszę...

Pokazała palcem schody. I potykając się na płaskiej posadzce, poszła w ich stronę. A za Michaeliem zamknęły się salonowe drzwi.

Tymczasem Medison zapragnęła zamknąć się w sypialni i mimo wczesnej pory znowu zasnąć, aby nie myśleć o szatańskim planie, który szykował Michael razem ze Starkiem i tajemniczym Hektorem.

Rozdział XVI

Prawda.

Mordercy.

Pieniądze.

Interesy, straty i zyski.

Plany.

Władza.

I ta rozmowa, te niedopowiedzenia, a jednocześnie przysłowiowe jedno słowo za dużo. I już mamy potencjalną ofiarę. Niebezpieczeństwo kryje się za każdymi drzwiami.

Życie to gra. Gra, która staje się coraz trudniejsza. Której poziom wzrasta wraz z doświadczeniem gracza. W pewnym momencie każdy natrafia na okazję. Może wtedy wybrać drogę, którą dotąd podążał. Być może prostą, a może trudniejszą, ale znaną. Czasami melancholijną, która nie wnosi do życia nic nowego. Jest jeszcze drugi wariant - ryzyko, nowa ścieżka, skręcająca w mroczny, tajemniczy las, gdzie nic nie jest pewne. Gdzie możesz wygrać lub przegrać.

W tej grze, którą jest życie, jeden ruch może wszystko zmienić. Jedna pochopna, nierozważna decyzja.

W pewnym momencie swojej gry każdy wybierze nową ścieżkę, podejmie ryzyko, co będzie miało konsekwencje.

- To nie do wiary! Gdzie w tym domu jest kawa?!

Rebeka! Za co ja płacę tej kobiecie?! Za obijanie się w pracy?

Medison weszła do kuchni właśnie w momencie, gdy mocno zatrzaśnięte przez Daniela drzwiczki szafki z hukiem spadły na blat.

- Carpen! Nie płacz mi się pod nogami, ty... - Daniel wymachiwał jakimiś papierami.

- Mieszkam w tym domu od zaledwie kilku miesięcy i wiem gdzie jest kawa, a ty spędziłeś tu całe swoje życie i nawet nie umiesz normalnie zamknąć szafki? - Medison podeszła do jednej z szafek, wzięła pudełko z kawą i podała je Danielowi. - Proszę.

- Dziękuję - odparł rozjuszony Daniel. - Rebeka!

- A Rebeka jest w mieście...

- Szwenda się po mieście w godzinach pracy? Zawiadam ją, że obetnę jej pensję...

- ...I kupuje składniki, żeby zrobić coś na obiad, bo twoja ulubienica Olivia...

- ...Ty się nie czepiaj Olivii, to jest lojalna...

- Nie sprawdziła nawet, czy coś zostało w lodówce, która jak widzisz - Medison otworzyła drzwiczki lodówki - świeci pustkami. I nie waż się mi przerywać.

Daniela wręcz zamurowało. Przez chwilę stał z pudełkiem kawy w ręku z szeroko otwartymi oczami i ustami.

- Czy mi się zdawało, Carpen, czy ty mi rozkazujesz? I coś się taka nerwowa zrobiła? - zapytał, gdy już odzyskał głos.

Medison westchnęła. Rzeczywiście, ostatnio była bardzo nerwowa, chociaż od wizyty Michaela i Ronalda Starka oraz ich tajemniczej (i mrożącej krew w żyłach) rozmowy nic się nie wydarzyło. Tylko kolejne zarwane noce dawały o sobie znać ciemnymi cieniami pod jej oczami. Co dziwne, na twarzy Daniela również widniały pamiątki po nieprzespanych nocach.

Czyżby tak bardzo pochłonęły go interesy? A może plan, który szykowali pan Stark i Michael? Czyżby

Daniel brał w nim udział?

Hektor jest czasami zbyt pewny siebie. A zrozum, że trzy to już za dużo. Kolejne dwa...

Nie miała pojęcia, kim jest Hektor. Ale wiedziała, o co chodzi. I bała się nawet o tym myśleć.

- Ty też jesteś nerwowy - odpowiedziała, odganiając od siebie natrętne myśli.

- Ja to ja - odparł. - Mam swoje powody. Medison prychnęła.

- A kto ich nie ma? - spytała.

- Nie sądzę, aby coś tak prostego jak ty miało swoje powody. U ciebie zdenerwowanie bierze się chyba z powietrza...

- Wiesz, co - Medison znowu mu przerwała. To zaczynało być nawet zabawne - kłócimy się ze sobą nie jak para wrogów, a jak stare małżeństwo.

- Cóż, Medison, jakbyś nie zauważyła, jesteśmy małżeństwem. Od kilku miesięcy. O takich rzeczach warto wiedzieć - zakpił.

- Mniejsza o to. Ładne małżeństwo... Wychodzę do miasta.

Daniel natychmiast zareagował: - Nigdzie nie wychodzisz, Carpen - w tonie jego głosu czaiła się ukryta groźba.

Medison westchnęła. Odwróciła się w jego stronę ze znudzoną miną. W środku jednak zżerała ją ciekawość i lekko stłumiona przez nią złość. Nie dała jednak niczego po sobie poznać. Zapytała tonem godnym swojej miny: - Bo co?

- Bo pstro - Daniel prychnął. - Masz słabą pamięć. Nie wyjdiesz z domu. Przynajmniej nie teraz.

- Założysz się? - spytała.

Daniel wolno podszedł do kuchennych drzwi i oparł się o nie, tym samym uniemożliwiając jej wyjście z pomieszczenia.

- Jestem w tym mistrzem. Więc o co tym razem będzie się toczyła gra?

- Ty mi powiedz - odpowiedziała Medison.

Daniel mrugnął do niej jednym okiem. Oboje stali, mierząc się spojrzeniem, bynajmniej nie walcząc już ze sobą.

Daniel nie zamierzał odpuścić, Medison natomiast przestała patrzeć na jego twarz, a skupiła się na oczach. I to był błąd, bo ponownie (ponownie!!!) oblała się rumieńcem.

- Co sprawiło, Carpen, że twoja brzoskwiniowa cera przybrała barwę dojrzałej wiśni? - zaśmiał się Daniel. -

Czyżby moja obecność?

Strzał był celny, jednak Medison postanowiła go o tym nie powiadamiać. Jeszcze chwilę czekała, mając nadzieję, że Danielowi znudzi się ciągłe pilnowanie jej (Niech mi chociaż powie, dlaczego zamknął mnie w tym domu!).

Mijały kolejne bezsensowne minuty. Na twarzy Daniela gościł dobrze znany Medison cyniczny uśmiezek. Nie wiedziała, czy jej twarz odzyskała normalną barwę.

Postanowiła zapytać:

- Czy jeśli obiecuję ci, że nie wyjdę z domu, wypuścisz mnie z kuchni?

Daniel odsunął się od drzwi i uchylił je.

- Droga wolna. Tylko nie wiem, ile warte jest twoje słowo.

Medison podeszła do drzwi i nie zaszczycając już Daniela spojrzeniem, wyszła z kuchni z zamiarem udania się do swojego pokoju.

Chyba nie chcesz wiedzieć, Danielu, ile warte jest moje słowo. Rozczarowałbyś się.

I uśmiechając się do swoich myśli, pognęła do sypialni, aby założyć na siebie coś cieplejszego - dzień zapowiadał się chłodno...

Na korytarzu nie było nikogo. Czuć było tylko woń

przypalanej wody - Daniel najwyraźniej zapomniał o swojej kawie, a Rebeka jeszcze nie wróciła z zakupów. Medison nie zamierzała mu pomagać.

Uchyliła drzwi. Do domu razem z chłodnym wiatrem wtargnął słodki zapach wolności. Medison poczuła się jak przestępca, który ucieka z więzienia. Wiedziała, że robi źle, i czuła niepokój, zarazem jednak mściwą satysfakcję i radość.

Wreszcie robi coś dla siebie i wbrew Danielowi. Choć była świadoma, że go kocha, nadal lubiła go denerwować i gnębić - oraz pokazywać, że nie tylko on rządzi w tym domu.

Nie czekając, aż ktoś ją przyłapie (i nie myśląc o tym, czy będzie to zmęczona Rebeka, czy rozjuszony Daniel), wyszła z domu. Czuła, jak przekracza ognistą granicę.

Linia dzieląca dom Daniela od zakazanego terytorium jakby lśniła w słońcu - tak, było bardzo słonecznie.

Luty zbliżał się do końca, niedługo miały nadsygnąć marcowe dni. Nie mogła uwierzyć, że tyle wytrzymała w tym domu. Jesienne deszcze, zimowe śnieżyce, niedługo nadejdzie pora na wiosenne burze.

Medison zdjęła szal i rozpięła ciepły żakiet. Myliła się co do pogody. W powietrzu unosił się już zapach wiosny.

Połączony ze słodką wonią wolności, tworzył niesamowitą kompozycję. Słońce świeciło niebywale mocno jak na tę porę roku, dochodziło południe. Medison miała około dwóch godzin, aby wrócić niezauważona do domu. Chyba że Daniel będzie jej wcześniej szukał, zauważy jej nieobecność... Ciarki przeszły jej po plecach. Wiedziała, że rozwścieczony Daniel nie jest taki sam jak zawsze. Rozsierdzony Broogins był nieziemsko przystojny i tak samo groźny. Nie ma co, udał się facet Matce Naturze!

Prawie galopem pognęła przez delikatne kafelki, nie wając na dźwięki protestu, gdy odbijały się od nich korki jej butów. Wybiegła za róg i w końcu pewna, że Daniel jej nie widzi, zwolniła tempo. Od miasta dzieliły ją tylko dwie ulice.

Dzielnie maszerowała, pragnąc zaczerpnąć cywilizacji, dotknąć ściany jakiegoś sklepu obuwniczego i poczuć się naprawdę wolną.

W końcu znalazła się w centrum miasta. Wzięła głęboki oddech i cieszyła oczy kolorowymi szyldami na ścianach i reklamami na eleganckich samochodach. Przyjemnie było nareszcie słyszeć warkot setek aut i urywki rozmów mijanych przez siebie ludzi. Nareszcie czuła się sobą. Czuła się wolna.

Jednak Medison musiała przyznać, że samą wolnością można cieszyć się nie dłużej niż pół godziny. W końcu obejrzawszy wystawy w czterech sklepach obuwniczych i dwóch odzieżowych, przyznała, że się nudzi. Nie było sensu iść do Madeleine - mieszkała dobre czterdzieści pięć minut jazdy samochodem od domu Daniela. A Medison została jeszcze ponad godzina...

Obiecała sobie, że niedługo znowu ucieknie - bo nie mogła inaczej nazwać swojej eskapady. Zaczęła wracać do domu.

Droga do domu zajęła jej mniej czasu niż ta do miasta.

Ledwo stanęła przed drzwiami, usłyszała przeraźliwy pisk opon samochodu oraz głośny trzask zamykanych drzwi.

Zacisnęła zęby

i zamknęła oczy.

Dobrze znała charakterystyczny cichy warkot silnika samochodu Daniela.

Zacząła przygotowywać się na wybuch złości...

- CARPEN, OBIECUJĘ CI, ŻE JUŻ NIE ŻYJESZ! - wydierał się Daniel.

- No co, no co?! - krzyknęła oburzona Medison.

Szykowało się prawdziwe piekło. - A jakbyś się czuł, gdyby...

- NIC BYM NIE CZUŁ! DO ŚRODKA I NIE ZRZĘDŹ!

- krzyczał.

Boże, jaki on był blady!

Jednak Medison dalej stała przed drzwiami - zahipnotyzowana, zafascynowana i przerażona jednocześnie.

Co on zamierzał zrobić?

I nagle dotarło do niej, co zrobiła. A raczej czego nie zrobiła. Zrozumiała, jaką ścieżkę wybrała w grze i jakie to miało mieć skutki...

Zrobiła się chyba równie blada jak Daniel. Jednak on nie zwracał na to uwagi - wziął ją pod łokieć, otworzył drzwi tak mocno, że - chociaż były bardzo masywne - niemal wyleciały z zawiasów, i wepchnął ją przez nie, a następnie popchnął na schody.

- Marsz na górę. I żebym cię więcej nie widział poza domem. Nawet w ogrodzie - mówił przez zaciśnięte zęby, ledwo poruszając ustami.

Medison nie miała siły ani odwagi sprzeciwić mu się.

Wbiegła szybko na schody, nie rozumiejąc, dlaczego tego nie zrobił.

Przecież gdy wyszła, Daniel mógł myśleć, że coś odkryła - to coś tajemniczego, przed czym cały czas ostrzegał ją Michael. Zwłaszcza na weselu. To owo okropne „coś” było tak obrzydliwe, że nie mogła wychodzić z domu. A wyszła.

I nie wiedziała, czy będzie miała czas wytłumaczyć Danielowi, że nic, ale to nic nie wie.

Pchnęła drzwi od swojego pokoju... i zamarła. A potem zawartość żołądka podeszła jej do gardła, nogi zmieniły się w galaretę i musiała oprzeć się o ścianę. Czowała, jak z jej twarzy odpływają ostatnie krople krwi, niedotleniony mózg pulsuje w proteście.

Na podłodze leżała Rebeka. Jej oczy były szeroko otwarte i martwe, przeraźliwie puste. Miała bladą twarz, sine usta, a wokół niej rozrzucone były miotła i środki do czyszczenia.

Leżała w kałuży krwi - niemal bordowa ciecz plamiła jej białą koszulę, a jej woń roznosiła się po pomieszczeniu, wypełniając sypialnię Medison zapachem śmierci.

- Więc co pani robiła pomiędzy godziną jedenastą

czterdzieści pięć a trzynastą? - spytał mężczyzna. Policjant.

Tłumy policji na podjeździe, zaznaczone ślady krwi, gapie w oknach domów naprzeciwko. Zamieszanie. Pytania „Co się stało?” i „Kto to zrobił?”. I niezmienna odpowiedź na to drugie pytanie: „Nie wiem”.

- Byłam w mieście - głos Medison nadal się trząsał i był ochrypły. Gardło miała zdarte od krzyku, a oczy opuchnięte od ciągle napływających łez.

- Są jacyś świadkowie, którzy mogą to potwierdzić? - policjant zapisał to i owo w swoim notatniku.

- Tak, są - świadkowie na ulicy. Mówiłam, że byłam sama?! - Medison miała dość. Miała ochotę krzyczeć, drzeć się na nich, dlaczego tak się ślimaczą, dlaczego są tacy spokojni. Rebeka, ta dobra, troskliwa Rebeka została zamordowana z zimną krwią, a oni stoją sobie i zaznaczają ślady, rozmawiają przyciszonymi głosami.

- Nie, nie mówiła pani, że była pani sama - policjant przemawiał jakby do swojego notesu. W ogóle na nich nie patrzył. - A gdy pani wróciła? Czy od razu weszła pani do pokoju?

- Nie, najpierw musiałam pokonać schody - odparła. Była zdenerwowana i chciała tylko jednego -

porozmawiać z Danielem. Co nie miało najmniejszego sensu, bo nie wiedziała, o czym mieliby dyskutować.

- A więc, gdy pokonała pani schody...

Medison westchnęła. Nie było sensu przeciągać tego w nieskończoność.

- Weszłam do pokoju. I zobaczyłam ją... I...

I osunęła się na ziemię. A potem zobaczywszy ciemniejsze miejsce na koshulce Rebeki, miejsce, z którego przez cały czas obficie wypływała krew - zaczęła krzyczeć. Tak głośno, że zatkała sobie uszy. Krzyczała bez przerwy, nie zważając na przerażający ból gardła. Aż przyleciał Daniel - wyciągnął ją siłą z pokoju. Była prawie nieprzytomna. I zadzwonił po policję. A potem zaczęło się całe zamieszanie.

- I...? - policjant nie dawał za wygraną.

- Zawołała mnie - dokończył Daniel.

Nie był tym samym Danielem, który przedtem krzyczał: CARPEN, OBIECUJĘ CI, ŻE JUŻ NIE ŻYJESZ!

Nie mogła zapomnieć, jak trzymał ją w ramionach, gdy wrywała mu się i chciała pobiec do Rebeki. Odgarniał z czoła włosy i uspokajał ją, szeptał do uszu kojące słowa.

Czuła przy sobie jego bijące serce, serce, które chyba oszalało tak jak jej, pragnęło wyrwać się z piersi i pobiec gdzieś daleko.

A teraz mówił takim grobowym tonem...

Medison, która była pewna, że Daniel jest mordercą pozbawionym skrupułów, nie przeszło przez myśl, że mógłby to zrobić. A teraz nie dopuszczała do siebie możliwości, że on chce zabić własną żonę.

Czy byłby do tego zdolny?

- Dobrze. Dziękujemy za zeznania. Policjant schował notes i odwrócił się.

- Chwileczkę - Daniel podszedł do niego. - A przyczyna...

Starał się mówić bardzo cicho, ale wyczulona na każdy dźwięk Medison wszystko słyszała.

- Dźgnięcie nożem. Ofiara nie miała szans. Policjant nie był nadopiekuńczy, zachował normalny ton głosu.

Daniel wrócił do Medison.

- Nie będę spać w tamtym pokoju - powiedziała cicho.

- Wiem - odrzekł Daniel.

- Więc... gdzie? - zdziwiła się. Ile jeszcze pokoi, ile sypialni krył w sobie ten ogromny dom?

Daniel poprowadził ją przez korytarz na drugi koniec i w końcu stanęli obok jego pokoju.

- Nie będę spała w twojej sypialni! - powiedziała oburzona.

- Niech ci się to nawet nie śni - to chyba miała być kąśliwa uwaga, ale jego głos nie był cyniczny. - Będiesz spała tutaj.

Otworzył drzwi obok swojego pokoju.

Medison weszła do środka.

Całe pomieszczenie było białe. Miało granatowe akcenty, takie jak zasłony w oknie (które, podobnie jak u Daniela, zajmowało całą ścianę wychodzącą na ogród), pościel na białym łóżku, lampa i obrazy. Ten pokój był przeciwieństwem jej poprzedniej sypialni - jasny, zupełnie inny niż jej ciemny grobowiec, w którym ledwo było cokolwiek widać.

- Tak, dzięki, tylko - odchrząknęła. Miała zachrypnięty głos. Gdy mówiła, bolało ją gardło - tutaj nie ma moich rzeczy. A ja... Ja tam nie wrócę.

- Olivia je przyniesie, jak już będzie można - wyjaśnił

Daniel.

I wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Medison położyła się na łóżku. Wydawało się jej, że dzień powinien już dawno minąć. Tymczasem dopiero dochodziła trzecia. Tyle czasu minęło, tak dużo, a zarazem tak mało się wydarzyło. Zamknęła

oczy. Natychmiast ujrzała szeroko otwarte oczy Rebeki i kałużę krwi, w której leżała. Strach, który miała wymalowany na twarzy. A potem w tym samym miejscu ujrzała siebie - swoje otwarte oczy, siebie leżącą w kałuży krwi i strach na swojej twarzy. I uświadomiła sobie, że tak to właśnie miało wyglądać. Ze to wszystko musiało być zaplanowane. Że przez jej ucieczkę zginęła niewinna kobieta, która zjawiała się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Gdyby nie ta ucieczka, już by nie żyła. Otarła się o śmierć, nawet o tym nie wiedząc. I nadal była na celowniku.

Rozboliła ją głowa, ale nie chciała nikogo wołać. Inaczej - nie miała kogo zawołać. Była sama - od zawsze i na zawsze.

Otworzyła oczy, chcąc usunąć z głowy przerażające obrazy i zmierzyć się z samotnością.

Nadeszła wiosna. Śnieg stopniał, a jego miejsce zajęła soczyście zielona, świeża trawa. Wszystko zdawało się tętnić życiem - wszystko oprócz domu Daniela.

Dwudziesty pierwszy marca minął, nadchodziły kolejne dni. Wszyscy domownicy zaczęli się przyzwyczajać do zmiany pogody. Prognozy na kolejne dni były identyczne.

- Słońce, ani jednej chmurki na niebie i osiemnaście stopni - najcieplejszy marzec od bardzo wielu lat - oznajmiła pogodynka ze sztucznym uśmiechem.

Medison w końcu odnalazła pokój, w którym znajdował się telewizor. Był to swego rodzaju salon - jeszcze mniejszy od tego, w którym doszło do nieszczęsnego pocałunku, ale mniej zagracony i jaśniejszy. W pokoju obok był natomiast gabinet - ciemny pokój utrzymany we wszystkich odcieniach brązu, w którym znajdował się komputer, pianino i wiele, wiele innych przedmiotów - zakurzonych i chyba nigdy nieużywanych. Tylko czarna sztaluga wyglądała na używaną od czasu do czasu. Ktoś tutaj miał artystyczną duszę.

Medison wyszła przed dom - zakaz wychodzenia niby nadal ją obowiązywał, ale Daniel przymykał oko na to, że codziennie wychodziła pod dom po świeżą gazetę. Potem zamykała się z nią w gabinecie i przeglądała nagłówki artykułów.

Pierwszy tydzień po śmierci Rebeki był męką. Na rozkładówkach widniało jej czarno - białe zdjęcie. Nagłówki krzyczały: „Czwarte zabójstwo - morderca nie śpi”, „Policja na tropie zabójcy sprzątaczkii”.

Jednak pierwszy kwietnia bardzo wiele zmienił w życiu Medison. Więcej niż pocałunek.

Jak zawsze wzięła gazetę i w ślimaczym tempie udała się do gabinetu. Usiadła zmęczona w jednym z foteli. Czowała się tak, jakby przebiegła sprintem co najmniej kilometr.

Zagadka morderstwa nierozwiązana - policja rozkłada ręce.

- Że niby co? - powiedziała sama do siebie.

Nagłówek wyjaśniał wszystko,

jednak

Medison przeczytała artykuł.

Kolejna, czwarta zbrodnia od początku roku pozostanie dla nas zagadką. Tak jak w poprzednich trzech przypadkach - prawnika Briana Belta, pielęgniarki Amandy Hoof i biznesmena Maxa Mercuriala - policja nie znalazła żadnych wskazówek. Brak było dowodów, odcisków palców, policja nie była nawet w stanie ustalić podejrzanych. Służby rozkładają ręce.

„Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nie znaleźliśmy dowodów tej sprawie. Ofiara została dźgnięta nożem, co nie wiąże się z poprzednimi morderstwami. Brian Belt został otruty, a Amanda Hoof uduszona sznurkiem - ani trucizny, ani sznurka, ani nawet potencjalnego sprawcy nie znaleźliśmy” - poinformował nas ostatnio komendant policji naszego miasta. Pozostaje pytanie: Czy policja zaprzestaje poszukiwań?

„Miejmy po prostu nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.

Należy trzymać rękę na pulsie...”.

Tak mówi komendant policji o czterech tajemniczych morderstwach?! Trzymać rękę na pulsie? I co jeszcze? Nie spać w nocy? Zamknąć się w domu?

W tym wypadku nawet zamknięcie się w domu nic nie dało. Morderca wiedział swoje. Przeoczył tylko moment, w którym Medison uciekła.

Poderwała się z krzesła i z wściekłością wymalowaną na twarzy wyszła z gabinetu z zamiarem odnalezienia Daniela.

Szczęście - lub nieszczęście - dopisało jej. Akurat wychodził z pokoju i prawie na niego wpadła.

- Carpen - wycedził. Jej nastrój się udzielił się również jemu. - Mamusia nie nauczyła chodzić?

- Mamusia nauczyła, ale później uciekła z wujkiem, żeby z nim zamieszkać - Medison nauczyła się cynizmu. - Masz.

Czytaj!

I rzuciła mu gazetę w twarz.

Daniel nie był oburzony - przez jego twarz przemknął cień. Zmęczony przeczytał artykuł.

- Więcej przede mną nie ukryjesz - wycedziła. Spojrzał na nią znad gazety.

- Ja muszę wiedzieć - szepnęła. - Chyba nie zaprzeczysz, że musimy porozmawiać.

Daniel spojrzał jej w oczy i Medison dostrzegła na jego twarzy ból. Cierpienie i ból, wewnętrzną rozterkę.

A potem Daniel wskazał na drzwi od swojego pokoju i powiedział:

- Tak, Medison. Musimy porozmawiać. Medison weszła do pokoju. Wiedziała, że w końcu nadszedł dzień, w którym pozna całą prawdę. Choćby za cenę życia - potem była gotowa umrzeć, byle dowiedzieć się, o co chodzi.

Weszła do pokoju Daniela. Usłyszała, jak demon zatrząskuje za sobą drzwi.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał martwym głosem.

Nie był już cynicznym Danielem, bogaczem i biznesmenem. Był niczym bezbronne, małe dziecko, które nie może wykonać złeczonego mu zadania. I boi się, że dostanie karę.

Ale Daniel z pewnością nie bał się kary. Jeśli w ogóle czegokolwiek się obawiał, to czegoś o stokroć ważniejszego.

- Chcę wiedzieć wszystko - Medison usiadła w fotelu, czując, jak drżą jej nogi, a oddech przyśpiesza.

Daniel usiadł na łóżku. Ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy.

- Nie jestem, tym, za kogo mnie uważasz - wyszeptał. -

Nie jestem mordercą. Nie jestem draniem. Nie chcę nim być.

Pod koniec głos mu się załamał. Medison po raz pierwszy widziała go w takim stanie. Była w szoku. Daniel cierpiał.

Cierpiał na jej oczach, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Teraz najważniejsza była prawda.

- Nieważne, kim jesteś. Ważne, kim są ci ludzie, którzy...

- zawahała się, ale postanowiła dokończyć: - Nie będę udawać, że nie jestem niczego świadoma. Ci ludzie nie przyszli po Rebeke, lecz po mnie. I z pewnością wrócą. Chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć, kto to jest.

Daniel nadal nie śmiał na nią spojrzeć.

- Przyznaj: czy nigdy nie myślałaś, że to ja za tym stoję? - spytał. Wreszcie pojawiła się długo wyczekiwana, cyniczna nuta w jego głosie, jednak lekko zniekształcona. Sztuczna.

- Myślałam. I nadal... - chciała powiedzieć, że nadal tak myśli. Tylko że nie chciała kłamać.

A skłamałyby.

Teraz była pewna, że to nie Daniel za tym wszystkim stoi.

To nie on chciał ją zabić. Przecież była mu obojętna. Czyżby to nie Daniel sterował Michaeliem?

- Już nie myślę, że to ty - powiedziała Medison. - Ale chcę znać prawdę. O wszystkim!

Daniel milczał. Po kilku minutach odezwał się: - Wiedziałem, że ten moment nadejdzie. Ale nie byłem na niego przygotowany. Maską, którą codziennie nosiłem... Ona przestaje istnieć. A nie mogę być sobą. Nie rozumiesz?

- Maską? - Medison zdziwiła się.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz - powtórzył

Daniel. - Nigdy nie byłem.

- Powiedz mi w końcu! Powiedz wszystko!

- To „wszystko”, to będzie dużo.

- Jestem gotowa cię wysłuchać - Medison pochyliła się w jego stronę.

- Wszystko zaczęło się... Cóż, już w dniu, kiedy się urodziłem. Nie wiem, może gdyby moi rodzice nie byli intrygantami zepsutymi do szpiku kości... - Daniel zawahał się. Spojrzał na Medison, która dzielnie nie zmieniała wyrazu twarzy, chociaż nie wiedziała, po kiego diabła Broogins mówi jej o swoich narodzinach. - W każdym razie - kontynuował - zostałem wychowany w bogactwie i dostatku. Ojciec nie miał dla mnie czasu. Matka zawsze słuchała ojca. Szczerze mówiąc, chyba ożenił się z nią tylko po to, aby miał z kim chodzić na bankiety i spłodzić dziedzica. Godnego następcę, który zaprowadziłby rodzinną firmę na szczyt dzięki nielegalnym interesom. Świat, w którym się wychowałem i w którym żyję... To nie jest ten sam świat, w którym od zawsze żyłaś ty.

„Tak, to prawda” - pomyślała Medison. Te wnętrza domów, tak bogato wystrojone, to zachowanie, te gesty, bale rodem ze średniowiecznych romansów... To był zupełnie inny świat.

- W końcu poznałem ciebie - w szkole. Moim rodzicom nigdy nie zależało na tym, abym chodził po świecie specjalnie wykształcony. Podstawy matematyki i ojczystego języka wystarczyły, dlatego posłali mnie do szkoły razem z dziećmi swoich wysoko postawionych kolegów. Każdy z moich... przyjaciół, czy jak ich tam nazwać, miał po śmierci rodziców odziedziczyć interes. Po co im więc wyższa szkoła, skoro mieli zaplanowaną przyszłość? Większości z nich to odpowiadało - obijali się w szkole, nie przejmowali nauką, było im wszystko jedno, bo rodzice zawsze płacili dyrektorowi, aby na świadectwie była wystawiona przyzwoita ocena. Ja byłem inny. Te interesy, ciągłe bankiety i bale, na które musiałem chodzić razem z rodzicami... męczyły mnie.

Każdą klasę kończyłem z tytułem prymusa dzięki własnemu zaangażowaniu w naukę. W liceum poznałem ciebie. Takich ludzi jak ty było wielu - biedni, ale pochodzący z kochających rodzin, zawsze jako tako ubrani. A ty wyróżniałaś się.

Chodziłaś ubrana bardziej żałośnie, niż to było w ogóle możliwe, sprawiałaś wrażenie zbyt pewnej siebie. To mi się nie podobało. Myślałem, że gdybyś tylko chciała, stałabyś się godnym mnie przeciwnikiem. A przeciwników trzeba niszczyć - tego uczył mnie ojciec. I wtedy, w ten ciepły majowy dzień przyszłaś do szkoły cała poobijana...

Medison pamiętała ten dzień. Zbita przez pijanego ojca, musiała iść do szkoły. Zbyt dużo miała

nieobecności - mogliby ją wyrzucić albo musiałyby powtarzać następną klasę. Tak więc poszła. I wtedy się zaczęło.

- Od razu domyśliłem się, o co chodzi. W szkole codziennie słyszało się ploteczki o twojej rodzinie, ale dopiero teraz miałem niezbity dowód... Mimo tych siniaków na rękach nie wzbudziłaś mojej litości - nigdy nie znałem takiego uczucia. Rzuciłem jedną kąśliwą uwagę i od razu zauważyłem rumieniec na twojej twarzy. Łzy, które pojawiły się znikąd w twoich oczach. I wtedy zrozumiałem, że cię zniszczyłem. Z pozoru pewna siebie, byłaś nieodporna na uwagi innych.

Uciekałaś do toalety cała zaryczana. I - może nie uwierzysz - czułem się strasznie.

- Więc dlaczego potem... Przez cały czas... - Medison poczuła, jak w jej oczach stają łzy, że zaraz pociekną po policzkach i znów okaże słabość.

- Bo cię nienawidziłem. Nienawidziłem cię za to, że wyzwoliłaś we mnie takie emocje. Moje drugie „ja”, odziedziczone po ojcu. Nienawidziłem go, przyrzekałem sobie, że nie będę taki jak on. A jednak pragnąłem tylko usunąć z drogi zbędnego przeciwnika. Tak brutalnie, jak robił to mój ojciec. Złamałem dane sobie słowo, stałem się taki jak on - i za to wszystko winiłem ciebie. Przez następne lata raniłem cię coraz bardziej. Koledzy dopingowali mnie - czym dla tych potworów była jedna mała, biedna dziewczyna? Aż wreszcie skończyłem szkołę. Wtedy to się stało. Wracając do domu z ceremonii zakończenia roku, zauważyłem przed domem - tym domem - kilkanaście samochodów policyjnych.

Niezauważony przez policję, wkradłem się do środka. Moi rodzice leżeli na korytarzu martwi, tak jak Rebeka w twoim pokoju. To była głośna sprawa.

Tak, bardzo głośna. Medison pamiętała nagłówek na pierwszej stronie każdej gazety. „Dwójka największych milionerów zamordowana”,

„Śmierć największego biznesmena”, „Dziewiętnastolatek obejmuje władzę”.

- Nie miałem zamiaru rządzić tak jak ojciec. Uciałem wszystkie nielegalne interesy - nawet nie uwierzysz, ile tego było - i zacząłem legalnie wprowadzać rodzinną firmę na szczyt. W końcu stałem się powszechnie znany, nawet bardziej niż moi rodzice. Przyzwyczaiłem się do takiego trybu życia. Nauczono mnie dostosowywać się do potrzeb tego świata. Całe to życie, zarządzanie nudziło mnie. Zacząłem, jak wiesz, zakładać się z innymi o najbardziej błahe rzeczy za duże pieniądze. Nie wiem, czy to było szczęście, czy jakaś wrodzona umiejętność - wygrywałem. Zawsze, o co by nie poszło. Zdobyłem parę... przyjaciół, którym gotów byłem zawsze pożyczyć pieniądze. Max był jednym z takich... pasożytów. Michael natomiast miał w sobie coś takiego...

Zaufałem mu. I w końcu nadszedł dzień, kiedy założyłem się.

O największą sumę pieniędzy i najgłupszą rzecz w całym moim durnym życiu. Założyłem się z Maxem, że wezmę ślub.

Uznawano mnie za kobieciarza. Tak naprawdę kobiety mnie nie bawiły. Nie było w nich niczego, co by mnie intrygowało, były płytkie i próżne. Wszystkie takie same.

- Ale przecież... Nie rozumiem - przyznała Medison, chociaż ukłuła ją zazdrość. Czy ona też była według niego płytka i próżna? - Skoro cię nie bawiły, to czym sobie zasłużyłaś na taką opinię?

- To proste: życie już mnie nie bawiło, dni były melancholijne, nudne, zawsze takie same. A widać miałem coś w sobie, skoro kobiety same do mnie lgnęły. Więc dlaczego miałem tego nie wykorzystywać?

- To nie fair - zauważyła Medison.

- W tym świecie nic, co robisz, nigdy nie będzie fair -

Daniel w końcu podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

Dobrze, że siedziała w fotelu, bo ten uśmiech zwał z nóg. -

W każdym razie wśród pięknych kobiet szukałem takiej, która zgodziłaby się na moją propozycję. Nadal miałyby wolność. Ja zachowałbym pieniądze na jej utrzymanie. Wiedziałem, że coś takiego może mnie drogo kosztować - tym laskom były w głowie tylko ciuchy i kosmetyki. No, ale cóż, miałem wygrać o wiele więcej... Ale żadna się nie zgadzała. Byłem zdziwiony. Teraz to ja okazałem się niebywale

próżny.

„Żadna mnie nie chce? Przecież ktoś taki jak ja to prezent od losu. Okazja” - myślałem. Ale zraniłem zbyt wiele kobiet.

Byłem załamany, wiedziałem, że przegram. I wtedy zjawiłaś się ty.

Medison wskutek czystego zbiegu okoliczności znalazła się w tym samym klubie co Max. Przyjaciel Daniela, pewny, że wygra, rozgłaszał to wszem i wobec.

- Pamiętasz? - spytał.

- Tego nie da się zapomnieć.

- Też tak uważam - ponownie się uśmiechnął. - Wtedy na moście... Spodziewałem się kogoś zupełnie innego, jakiejś pięknej, długonogiej modelki. Byłem przyzwyczajony do takich kobiet. A zjawiłaś się ty - w stanie gorszym niż żałosny.

To ubranie, ta mina... Ten wyraz twarzy. Byłem mistrzem w odkrywaniu oszustów. Ty nie miałaś maski na twarzy. Stałaś się odporna na docinki. Życie wiele cię nauczyło. I przystałem na propozycję.

Daniel zamilkł. Nie wiedział, o czym teraz mówić, a ona nie miała pojęcia, o co pytać. Ale tyle się o nim dowiedziała...

Zapragnęła usiąść obok niego, wtulić się i pomyśleć, że jest bezpieczna. Ale nie miała odwagi. Bała się odrzucenia.

- Chcąc nie chcąc, wprowadziłem cię w świat, którego sam nienawidziłem, ale przed którym nie uciekałem. Na początku wiele mnie nie obchodziłaś - byłaś po prostu kolejną kobietą w tym domu. Tyle że w nim mieszkałaś...

- Kolejną? KOLEJNĄ?! - wrzasnęła Medison - To ile ich było? Gadaj.

Daniel zaśmiał się - tak uroczo i szczerze, że Medison oblała się rumieńcem, uświadomiwszy sobie swój wybuch zazdrości.

- Szczerze? Nie liczyłem - Daniel chyba chciał ją rozzłościć.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknęła Medison.

- Więc dlaczego pytasz?

Ups... Chyba ją przejrzał.

- Lepiej mów dalej.

Daniel zamyślił się na chwilę, po czym powrócił do przerwanej wątku:

- Codziennie cię obserwowałem i widziałem, jak bardzo odstajesz od tego świata. Byłaś jak istota z innej planety.

Jakbyś urwała się z księżycy. Taka szczerą, krucha osoba pośród tylu harpii... Byłem na siebie zły, że tak cię oceniam.

Nie powinnaś nic dla mnie znaczyć. A jednak z czasem zaczęłaś zajmować coraz wyższe miejsce na mojej liście priorytetów. I ten pamiętny dzień, kiedy wracaliśmy od Madeleine. Srebrny samochód...

- Dlaczego tak się go bałaś? - spytała Medison. -

Zachowywałaś się tak...

- Zachowywałem ostrożność.

- Ostrożność?

- Ten srebrny samochód... W naszym świecie to jakby fatum. Jak czarny kot albo pechowa trzynastka. Słuczone lustro. Nieszczęście.

Daniel rzucił gazetę na kolana Medison.

- Te osoby... Chociaż wszyscy wiedzą, każdy z nas ma świadomość, jaki samochód wcześniej za nimi podążał. Po prostu bałem się - Daniel zawahał się - o ciebie.

Medison zabrakło powietrza. Czy to mówił Daniel?

- O... mnie? - wykrztusiła.

Wstała. Zaczęła chodzić po pomieszczeniu, obgryzając paznokcie. To nie miało sensu. Sam mówił, jak

jej bardzo nienawidził za to, że kazała mu być taka jak jego ojciec, Za to, że wyzwoliła w nim negatywne emocje. A teraz...

Kiedy przechodziła obok Daniela, złapał ją za rękę. Lekko pociągnął ją i usiadła koło niego na łóżku. Spojrzała mu w oczy. A on objął ją ramieniem.

Serce zaczęło jej bić tak szybko, że nie sposób było tego nie usłyszeć.

- Nie jesteś mi już obojętna, Medison.

Ta chwila była taka cudowna, a zarazem ulotna... Miała trwać wiecznie, ale Medison wiedziała, że w końcu Daniel powróci do swej opowieści.

I wtedy coś jej się przypomniało.

- Michael - powiedziała. - Jego samochód jest srebrny.

Daniel zaśmiał się.

- Tak, jego samochód budzi powszechną grozę. Tyle że nas śledziła honda, a nie mercedes.

Daniel wziął prawą dłoń Medison i położył na swoich kolanach. Jej bijące serce chyba była widać przez cienką koszulkę.

- W końcu jednak się przeraziłem. Pamiętasz tę rozmowę... przez telefon?

Potem zemdląłeś.

- Tak - Medison z trudem wymawiała słowa. - Myślałam, że chcesz mnie zlikwidować.

Daniel zdziwił się.

- Myślałaś, że... - urwał. - Tak, to mogło tak zabrzmieć.

W każdym razie nie chodziło o ciebie. Chodziło o tę hondę.

Tak się złożyło, że obudziłem się bardzo wcześnie. A ten samochód stał przy oknie. Zdenerwowałem się bardziej, niż powinienem. Ale wiedziałem, co to znaczy. Wiedziałem, że ty albo ja - albo my oboje - jesteśmy na celowniku. Zadzwoiłem do zaufanego ochroniarza. Powiedziałem, żeby przyjechał, bo „ona mnie denerwuje” czy jakoś tak. A potem ten zakaz wychodzenia z domu...

Tak to ją ciekawiło.

- Więc był jakiś konkretny powód? - zapytała Medison.

- Nie byłem sadystą. Nie więziłem cię dla przyjemności albo by uświadomić ci, kto tutaj rządzi. Robiłem to dla twojego dobra. Pomyślałem, że ja mogę ryzykować - wychowałem się tutaj, znałem ten świat i umiałem sobie tu radzić. Ale nie ty. Nie miałem prawa tak cię narażać. I tak cię w to wciągnąłem i za daleko zabrnąłem w tym związku.

Wszystko się skomplikowało. Jeszcze ten samochód...

Zamknąłem cię w domu dla twojego dobra. Według mnie tutaj byłaś bezpieczna. Zamknięty dom, jego silne, grube mury - takie to wszystko dawało wrażenie. Nie mogłem dopuścić do siebie myśli, że ani mury, ani zamki cię nie obronią - ci od brudnej roboty złamią każde zabezpieczenie. Ale musiałem w to uwierzyć, bo w przeciwnym razie skazałbym cię na moją obecność. Nie odstępowałbym cię na krok, a w nocy zapewne więził w swoim pokoju. Aż sama byś mnie zabiła. To jednak mało mnie obchodziło. Pewnego dnia zażądałaś rozwodu.

Nawet nie wiesz, jak się przeraziłem. Nie byłbym w stanie cię chronić - za drzwiami tego domu byłaś w niebezpieczeństwie.

Nie mogłem pozwolić, abyś odeszła. Byłem egoistą, nie brałem pod uwagę tego, czego chciałaś. Pragnąłem, żebyś została w tym domu. I to się najbardziej liczyło.

Nie wyobrażasz sobie, jaki byłem na ciebie zły - za to, że mnie zmieniasz. A potem uciekłaś. Miałem właśnie wyjść na spotkanie, sprawdziłem twój pokój - a ciebie tam nie było.

Przeszukałem każdy kąt w tym domu - i nic. Nawet nie masz pojęcia, co wtedy wywrzaskiwałem, na pewno byś się uśmieła. Objechałem całe miasto, ale cię nie znalazłem.

Szcześnie trafem przyjechałem do domu w tym samym momencie, w którym wróciłaś. Gdyby wtedy ktoś cię dorwał, gdyby coś ci się stało... Dopiero gdy zobaczyłem podziurawione ciało Rebeki i ciebie

w stanie gorszym niż oplakany, zrozumiałem, że nie będę w stanie dłużej tego ciągnąć. Ale nie miałem odwagi ci tego zdradzić. Do dzisiaj.

Daniel skończył mówić. Ale Medison miała jeszcze jedno pytanie - pytanie, na które musiała uzyskać odpowiedź. Było najtrudniejsze i z pewnością wymagało najdłuższego wyjaśnienia. Ale mimo to zadała je: - Dlaczego mnie wtedy pocałowałeś?

Daniel zamknął oczy. A potem oparł swoje czoło o czoło Medison i wyszeptał:

- Bo nie byłem w stanie dłużej ci się opierać. Nie mogłem. Za bardzo cię wtedy kochałem.

To, co powiedział, nie było możliwe. Ale jednak powiedział to: powiedział, że ją kochał.

- Kochałeś... mnie - mimo wszystko nie mogła w to uwierzyć.

- Kochałem... I nadal kocham - odpowiedział. Chyba zrobiło mu się lżej na sercu, w przeciwieństwie do Medison, której serce było ciężkie niczym głaz. - Jednak byłbym zbyt pewny siebie, gdybym spytał, czy odwzajemniasz to uczucie.

- Nie wierzę ci - odparła. To wszystko było zbyt cudowne, aby było prawdziwe. Przyzwyczaiła się, że jej życie jest pasmem niepowodzeń i wiecznym cierpieniem. Aż nagle...

- Ja naprawdę nie chcę cię zabić! - jęknął Daniel. - Jak nawet możesz tak myśleć...

- Nie o to mi chodzi - powiedziała Medison. - Nie wierzę, że mnie kochasz. Że odwzajemniasz to, co czuję. To niemożliwe.

- Naprawdę? - spytał. I po raz drugi ją pocałował.

Tyle niesamowitych rzeczy! To przecież niemożliwe, aby ktoś tak dobrze całował! Tego się uczy czy jak? Ona w każdym razie na pewno była beznadziejna. Ale skoro to, że ją całował (tak cudownie, że prawie zemdląca, ale starała się o tym nie myśleć), było prawdą, to może to, że ją kocha...

- Kocham cię - powiedział.

A potem coś rozwiało tę cudowną, romantyczną atmosferę.

- Michael - wysyczała Medison. Była tak wściekła, że aż wstała z łóżka. Miała ochotę zabić Michaela. Za to, że teraz wkraść się do jej myśli. Za to, że przerwał ten pocałunek.

Rozdział XVII

Błysk srebrnego światła

Michael? - powtórzył zdezorientowany Daniel. Medison zaczęła tak szybko wyrzucać z siebie słowa, że sama ledwo rozumiała, co mówi.

- Nie ufaj mu! To wszystko jego sprawka. Od dawna planował to z panem Starkiem i jakimś Hektorem.

Podśluchałam ich ostatnio, jak u ciebie byli. Mówili coś o jakimś planie, coś o jakiejś firmie... Firmie, która jest żyłą złota... Musieli rozmawiać o twojej firmie. Wiem, że Michael miał na nią chrapkę...

- Medison... - Daniel chciał jej przerwać, ale nie pozwoliła mu na to.

- Pozwól mi skończyć! To wszystko składa się w logiczną całość. Michael wie, że nie podzielisz się swoim interesem, więc chce przejąć go siłą. Gadali ze Starkiem coś o trzech...

Że kolejne dwa to będzie za dużo... Ale że Hektor coś poradzi.

Gadali o tych morderstwach! Brian, Amanda i Max... To o nich chodziło. To przecież dlatego nie rozwikłano tych morderstw, prawda?

A na weselu... - Medison przypomniała sobie to spojrzenie, spojrzenie człowieka, który coś wie. - On się dowiedział. Jakimś cudem dowiedział się, skąd jestem!

Pamiętam każde słowo z tej rozmowy. Powiedział, że nikt jeszcze o tym nie wie, ale każdy może się dowiedzieć... A teraz chce zabić nas oboje. Daniel, to jest ten plan. To jest ten interes...

- Jaki interes?! - zdziwił się Daniel.

- On i Stark są zamieszani w jakiś plan. To dlatego mnie ostrzegał. Mówił, żebym była lojalna wobec odpowiedniej strony... On chce przejąć twoją firmę. Będąc twoim przyjacielem, zyskał zaufanie, więc to jasne, że nawet jeśli rozgorzeje walka o jakieś udziały, to... to on przejmie władzę, rozumiesz? A

ostatnio... Ostatnio chciał mnie wystraszyć.

Żebym pamiętała. Przyjechał tym samochodem, widocznie widział, jak zareagowałam na tamtą honde... Musiał liczyć na przypadek, na to, że nie rozpoznam marki. To... To on prowadził...

- Nie - przerwał Daniel stanowczym tonem.

- Jak możesz?! - krzyknęła Medison. Czy to nie było oczywiste? - To przecież...

- Nie twierdzę, że Michael jest czysty jak... śnieg czy coś w tym rodzaju. Ma swoje za uszami. Ale wobec mnie zawsze był lojalny. A na moją, hmm... na moją firmę leci bardzo wiele osób. To tylko pozornie do siebie pasuje.

- A te ostrzeżenia?! - Jęknęła Medison.

- Uważam, że Michael może mieć coś wspólnego z jakimś interesem, który w twoim mniemaniu może być obrzydliwy. Ale nie chodzi o mnie. Nie chodzi o ciebie.

Owszem, wpadłaś mu w oko, więc nie dziw się, że może czasami gapi się na ciebie z wywieszonym językiem. A teraz zaufaj mu. Ja mu ufam.

Jeszcze przez chwilę na niego patrzyła. Czy to rzeczywiście mógłby być przypadek?

Daniel jakby czytając w jej myślach, powiedział: - W tym świecie wszystko oparte jest na przypadku.

- Ale...

- Zaufaj mi - powiedział. Wstał z łóżka i podszedł do niej.

- Ufam ci. Kocham cię - powiedziała Medison. Bo teraz nie miała powodów, aby mu nie ufać. Nie brała pod uwagę tego, że mógłby ją omotać dla własnego interesu. On nie kłamał. Był przy niej i kochał ją, chciał ją chronić przed nieznanym im niebezpieczeństwem.

Daniel uśmiechnął się.

- Czy mogę być pewny, że gdy cię obejmę, nie będziesz się wyrywać i nie wyzwiesz mnie od zбочeńców? - zapytał z błyskiem w oku. Atmosfera w końcu się rozluźniła.

- Chyba... Chyba tak - odrzekła Medison.

Daniel objął ją. Teraz chyba rozumiała, dlaczego kobiety nie miały go dość. Był taki prawdziwy, tajemniczy, intrygujący... Nieziemsko przystojny.

To był sen. To z pewnością był sen, z którego nie zamierzała się budzić.

Jednak po chwili spojrzała na wygniecioną gazetę, która leżała na ziemi. Na pierwszą stronę. Na nagłówek.

Z westchnieniem odsunęła się od Daniela i sięgnęła po gazetę

- Więc nic nie da zrobić? - wskazała na artykuł, który wcześniej czytała.

- Nie. Nie, jeśli na czele sądu stoi Janson Roberts, a policją w naszym mieście rządzi Hektor Terse.

Hektor Terse? Hektor?

- Oni rozmawiali o Hektorze. Michael mówił, że Hektor wie, co robi. Pewnie o niego chodziło.

- Przestań się tym przejmować - zachnął się Daniel. -

Bardzo możliwe, że chodziło im o Hektora Terse'a. Ci, którzy chcieli zabić... którzy zabili Rebekę, też mają coś wspólnego z Hektorem. Te wszystkie morderstwa... a raczej nierozwikłane sprawy to jego sprawka. Wiesz, jakie pieniądze na tym zarabia? A Janson Roberts? To on decyduje o wysokości wyroku. Zabiłeś, ale masz w Jansonie przyjaciela? Dostajesz dwa lata w zawieszeniu albo i mniej. Ale jeśli masz w nim wroga, wymyśli ci jeszcze dziesięć innych zarzutów i na stałe przeniesie cię za kratki.

- Mam dość. Ja... mam dość tych rewelacji. Musze się położyć - wyjaśniła Medison.

Daniel przyjrzał się jej.

- Nie wyjdiesz? - upewnił się.

- Nie mam zamiaru - Medison zdobyła się na uśmiech.

Sztuczny i wymuszony. Nie uszło to uwadze Daniela.

- Wiesz, mam dość tej radosnej maski, którą czasami na siebie zakładasz. Może i jesteś dobrą aktorką, ale i tak cię przejrzę. Siedzę w tym dłużej od ciebie.

Medison zdjęła z twarzy sztuczny uśmiech - nareszcie nie musiała udawać. Bez słowa wyszła z pokoju Daniela.

Tak wiele się wydarzyło. Tyle się tego dnia dowiedziała.

A najważniejszą rzeczą nie było to, że to nie Daniel czyha na jej życie - ta informacja schowała się głęboko w jej głowie, wypychając na wierzch inną, ważniejszą i najbardziej absurdalną. Prawdziwą: Daniel ją kochał.

Nie wiedziała jednak, czy życie będzie przez to trudniejsze, czy łatwiejsze. Krępować się go - w końcu niegdyś był jej największym wrogiem.

Świat zwariował - nie dało się tego nie zauważyć.

Nadszedł kwiecień,

niebywale gorący,

termometry wskazywały dwadzieścia cztery stopnie, ktoś pragnął jej śmierci, ludzie ginęli w niewyjaśnionych okolicznościach, a ona... ona poczuła się szczęśliwa.

„To nie fair” - pomyślała.

A jednak. Kiedy ja płakałam, kiedy nie chciało mi się żyć, nikogo to nie martwiło. Dlaczego nie mam być szczęśliwa?

Dlaczego inni skakali z radości, podczas gdy ja cierpiałam, a mi nie jest to dane?

To sumienie.

I chociaż mam pełne prawo być szczęśliwa, choć kocha mnie człowiek, który jest dla mnie najważniejszy pod słońcem - nie mogę być tak szczęśliwa, jakbym chciała.

Bo do mojego świata wkradły się cienie - a jednym z nich była śmierć Rebeki. I ktoś, kto najbardziej na świecie pragnął mojej śmierci.

Medison skrzywiła się. Już chciała pomyśleć o Michaelu.

Ale przecież Daniel darzył go takim zaufaniem... Czy i ona nie powinna wreszcie mu uwierzyć? Czy rzeczywiście przestrzegał ją dla jej dobra, a nie dlatego, że chciał jej śmierci, bo mu zagrażała?

Z westchnieniem odrzuciła myśli o Michaelu. Chciała szukać innego winowajcy.

Ale przecież Michael... Wszystko do siebie pasowało! Czy to możliwe, aby przypadek za przypadkiem układały się w logiczną całość?

Jeśli nie Michael - to kto?

Nawet jeśli jest niewinny, to i tak nie będę już na niego patrzeć tak jak kiedyś. Bo jest w coś wplątany. I najwyraźniej planuje pozbawić kogoś życia.

Żałowała, że nie spędza teraz czasu z Danielem. Że tak marnotrawi największy prezent, jaki dostała od losu. Ale nie mogła, po prostu nie mogła być z nim teraz w jednym pomieszczeniu. Po pierwsze: za bardzo by ją rozpraszał. Po drugie: musiała sama zmierzyć się ze swoimi myślami.

W pokoju było duszno, Medison otworzyła okno i ponownie położyła się na łóżku. Zamknęła oczy. Do sypialni wtargnął ciepły powiew wiosennego wiatru. Dzień był najwyraźniej ciepły, ale wietrzny - jednak naprawdę nie miała ochoty sprawdzać tego na własnej skórze. Może później... Jak Daniel jej pozwoli... Nie czuła już gniewu, tylko... Nie, sama nie wiedziała, co czuła.

Nagle usłyszała dźwięk telefonu. Tak, ktoś dzwonił już od dłuższego czasu, ale ona nie zwracała na to uwagi. Wstała.

Telefon ucichł.

Iść i zorientować się, kto dzwoni, czy poczekać?

Nie musiała ani iść, ani czekać. Dobiegło ją wołanie.

- Medison! - wołał Daniel.

Jak cudownie się czuła, gdy zwracał się do niej po imieniu! Już nigdy więcej wyzwisk, zdań, typu: „Carpen, zejdź mi z drogi”. Co najwyżej: „Medison, kochanie, czy mogłabyś się przesunąć?”.

Uśmiechnęła się do swych głupich myśli - chyba naprawdę była płytka i próżna - tak jak te inne kobiety. Zeszła na dół.

Daniel czekał na korytarzu z telefonem w dłoni.

- To Madeleine - wyjaśnił. Nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego.

Medison wzięła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

- Słucham? - zapytała.

- MEDISON! MEDISON, NIE UWIERZYSZ! - Medison szybko zwiększyła odległość pomiędzy słuchawką a swoim uchem. Madeleine krzyczała tak głośno, że i bez telefonu bardzo dobrze by ją słyszała.

- Mów ciszej - syknęła.

- Oj, przepraszam - teraz z kolei Madeleine szeptała. - Nie uwierzysz, nie uwierzysz, ja ci to mówię! Super, prawda?!

- Co: „super”? - zdziwiła się Medison.

- No to, co ci powiedziałam - Madeleine wyjaśniała jej to takim tonem, jakby była to najprostsza rzecz na świecie.

Tymczasem Daniel stanął za Medison i objął ją w tali jedną ręką, a drugą odgarniał jej włosy z twarzy...

- Powiedziałas mi tylko tyle, że nie uwierzę - zniecierpliwiła się Medison. Była ciekawa, co przyjaciółka ma jej do powiedzenia. Czekwała, niecierpliwiąc się, tym bardziej że Daniel całował ją już po szyi...

- Damy jej na imię Keira, wiesz, jak ta aktorka, co grała w Dumie i uprzedzeniu...

- Zaraz, zaraz - serce Medison przyśpieszyło. Nie wiedziała tylko, czy to z powodu Daniela, czy nowiny, jaką chciała jej ogłosić przyjaciółka. - Chcesz mi powiedzieć, że jesteś w ciąży?

- No, a nie powiedziałam ci tego? Kurczę, jestem taka roztargniona, serio. Tak się denerwuję! Ale jestem głupia!

- Nie jesteś głupia - Medison cieszyła się razem z Madeleine. Jednocześnie przez naganne zachowanie Daniela (którego nie miała zamiaru skarcić) była troszkę zdezorientowana. - Tylko mi nie mów, że to synek.

- Nie, córeczka! - wypiszczczała do telefonu przyjaciółka.

- To już wiecie? - zdziwiła się Medison. W którym miesiącu ciąży mogła być Madeleine?

- Nie, nie wiemy, ale takie ładne imię można dać tylko dziewczynce, prawda? Więc postanowiłam, że to będzie córeczka.

- A jeśli jednak urodzi się chłopiec?

- Nie, nie. Ja już wszystko zaplanowałam. Chłopca to będziesz mieć ty i Daniel, żeby potem moja córeczka i wasz synek mogli się pobrać. Super, co nie? Tak sobie myślę, widziałam ostatnio w mieście taką ładną suknię ślubną...

- Błagam! - jęknęła Medison. - Nie wiesz nawet, czy to dziewczynka, ja nie jestem w ciąży, a ty już planujesz ślub?

- No wiesz - Madeleine była niepokieszona. - W każdym razie będziesz matką chrzestną, dobrze?

- Nie ma sprawy. Jeśli dożyje.

- Muszę kończyć - powiedziała Madeleine. Jeszcze nie powiedziałam o tym Chrisowi. Na pewno się ucieszy!

- Nie powiedziałaś... Mniejsza o to. Do zobaczenia!

Medison odłożyła słuchawkę.

Westchnęła.

- O tym, że w ogóle coś dla ciebie znaczę, dowiedziałam się chyba pół godziny temu, a ty już tak zaczynasz... No, no, nieładnie...

- Wiedziałaś, co brałaś.

- Niezupełnie...

- Nie pasuje ci to, jaki jestem?

- Hmm...

- Niestety, ale będziesz musiała tak pożyć jeszcze kilkadziesiąt lat...

- Kilkadziesiąt lat... - powtórzyła Medison. - Albo i nie - poczuła, że tętno jej przyspiesza, że wpada w histerię. - Albo i nie. To niemożliwe. Mogę przeżyć kilkadziesiąt lat, a może kilka dni. Daniel - głos zaczął jej drżeć - nie chcę tak. Nie mogę. Muszę zniknąć. Może i Michael nie chce mnie zabić, ale wie, kim jestem. Daniel, on może komuś powiedzieć. A może już powiedział? Dlaczego ci ludzie na mnie polują?

Muszę się ukryć.

- Przestań panikować - Daniel przytulił ją. Medison wzięła kilka głębszych oddechów. Podziałało.

- Chodźmy na obiad - zaproponował.

- Tak... Ale nie sądzę, aby Olivia coś dla mnie przygotowała. Może nie zauważyłaś, ale ta kobieta nie pała do mnie wielką miłością...

- To się da załatwić.

Medison podążyła do jadalni z Danielem u boku.

Dzień był interesujący. Może nie było to odpowiednie słowo, zważywszy na to, co się działo. Ale jakie inne by pasowało?

Tak jak Medison myślała, na stole w jadalni był postawiony tylko jeden talerz. Daniel kazał usiąść przy nim Medison. Choć ta ostro protestowała, siłą posadził ją na krześle. Następnie zawołał Olivię i zapytał, dlaczego nie przygotowała mu obiadu. Zdziwiona kobieta oznajmiła, że talerz Daniela z nieznanym jej przyczyn stoi przed Medison.

Daniel podniósł dłoń żony, na której miała obrączkę, i zapytał: - Czy to ci coś mówi, Olivio?

Służąca spojrzała najpierw na Medison, która posłała jej swój najpiękniejszy uśmiech, a potem na pierścionek, po czym oznajmiła, że zaraz przyniesie drugą porcję.

Następnie razem z Danielem poszli się przejść. Medison była bardzo nerwowa - cały czas oglądała się za siebie, pewna, że na parkingu błysnie srebrny lakier luksusowej hondy.

Wstąpili do sklepu zoologicznego, a potem do schroniska dla zwierząt.

- Zobacz, jaki on jest cudowny! Zawsze chciałam mieć psa! Spójrz, biedaczek ma obandażowaną łapkę. Jejku, ile ty musiałeś wycierpieć, mój kochany! Spójrz Daniel, on ma dokładnie takie same oczy jak ty!

- Tak - przytaknął Daniel. - Uderzające podobieństwo.

Zaraz zacznę szczeukać i wywieszę język. Wtedy też uznasz, że jestem cudowny?

- Ja już tak uważam! I chodzi mi o kolor oczu, a nie o ogólne podobieństwo. Mój syneczek, zobacz, jaki kudłaty!

- Boże, w kim ja się zakochałem... - westchnął Daniel.

Potem poszli do parku, a następnie na cmentarz. Odwiedzili grób Rebeki i ojca Medison.

- Przyznasz, że zachowałem się jak cham - powiedział.

- Dlaczego? - Medison chciała zapalić świeczkę, jednak dość opornie jej to szło. W końcu zapałka skróciła się na tyle, że oparzyła się o ogień. - Ała!

- Daj, ja to zrobię - zaproponował Daniel. - Nie pozwoliłem ci przyjść na pogrzeb ojca i Rebeki.

- Tak. Ale to chyba dobrze. Nie wiem, czy bym wytrzymała - odpowiedziała, widząc jego pytające spojrzenie.

- Ale świetnie to urządziłaś. To znaczy - jeśli pogrzeb można świetnie urządzić. W każdym razie - załatwiłaś nawet pomniki...

- Tak - Daniel odłożył zapaloną świeczkę na grób. - Ma się wprawę.

W końcu wrócili na tyle późno, że Daniel postanowił zabrać żonę na kolację. Medison strasznie bolały nogi. Gdy zaczęła jęczeć, dlaczego nie przyjechali samochodem, Daniel wziął ją na ręce. Ale po chwili postawił na ziemi i powiedział, że on także jest zmęczony. I że chyba powinni zacząć biegać razem po parku.

- O nie. Spaliłabym się ze wstydu - zaprotestowała Medison. - Nie mam kondycji.

Daniel zmierzył ją od stóp po czubek głowy krytycznym spojrzeniem.

- To akurat widać.

Przez następne pół godziny w restauracji namawiał ją, aby przestała się obrażać. Drugie tyle czasu poświęcił na zachęcanie jej do jedzenia.

Po kolacji zaczęło lać, więc wrócili do domu taksówką.

Rozeszli się do swoich pokoi.

Medison nie mogła zasnąć. Zbyt dużo się wydarzyło.

Daniel opowiedział jej całą prawdę o swoim życiu, wyznał miłość, pocałował (to był bardzo ważny fragment dnia), obiecał w najbliższej przyszłości kupić psa (Ale dopiero gdy upewnię się, że naprawdę mnie kochasz. Bo, uwierz, zazdrosny Daniel jest bardzo męczący). No i dowiedziała się, że jej najlepsza przyjaciółka jest w ciąży.

Daniel potrafił być taki zabawny. Niemal cały czas się śmiała, gdy opowiadał, jak w drugiej klasie gimnazjum podłożył swojej znieawidzonej nauczycielce (której był ulubieńcem) pinezkę na krzesło. Efekt był jeszcze lepszy od zamierzonego, ponieważ kobieta nawet nie poczuła pinezki i całą lekcję chodziła z tymże przedmiotem wbitym we własne siedzenie.

W końcu zasnęła. O dziwo nie przyśnił się jej żaden sen.

Ani dobry, ani zły. A była pewna, że jej wyobraźnia będzie w tych godzinach wypoczynku podsuwać przeróżne barwne obrazy!

Obudziła się o świcie i nie miała zamiaru spać dalej. Nie zasnęłaby. Wstała, wyjrzała przez okno. Dochodziła siódma.

A więc nie było tak wcześnie, jak się jej zdawało.

W pokoju było duszno, nawet otwarcie okna nie dało jej za dużej satysfakcji, więc ubrała się i postanowiła wyjść z domu.

Założyła buty na wysokim obcasie - ostatnimi czasy czuła się w nich pewnie - brązowe spodnie, czerwoną bluzkę oraz czarny żakiet. Coraz lepiej radziła sobie z modą.

Postanowiła zajrzeć do Daniela. I ogarnął ją strach. A jeśli to wszystko się jej przyśniło? Jeśli wczorajszy dzień nie miał miejsca?

Spojrzała na swój kciuk i zauważyła maleńką bliznę po oparzeniu, na której tworzył się pęcherz. Piekąca blizna była dowodem na to, że wczoraj była w mieście. Na cmentarzu. W restauracji. Nie sama. Z Danielem. Odetchnęła z ulgą.

Cicho otworzyła drzwi od sypialni Daniela. Było cicho.

Weszła do pokoju. Daniel spał. Wyglądał tak słodko - jak dziecko. No, może nie jak dziecko - miał zdecydowanie poważniejsze rysy, pomiędzy brwiami widniała maleńka zmarszczka. Najwyraźniej męczył go jakiś nierealny sen i zastanawiał się (z cynicznym uśmieszkiem na twarzy): „Jak to możliwe?”.

Nie zamierzała go budzić. Nie miała sumienia. Wzięła z jego szafki nocnej jedną z karteczek i napisała: Nie mogłam zasnąć. Postanowiłam wyjść do miasta, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Jeszcze spałeś i nie miałam sumienia Cię budzić. Wrócę najdalej za godzinę.

Kocham Cię.

Zawsze Twoja

Medison

Godzina 7:00

Oparła kartkę o zegarek i spojrzawszy po raz ostatni na ukochaną twarz, wyszła z pokoju Daniela.

Ranek był wietrzny.

Resztki kałuż z poprzedniej nocy lśniły w słońcu.

Gdzie iść? Do parku? Na cmentarz? A może po prostu przejść się po mieście? Medison wybrała park - ze względu na wspomnienie pocałunku, jakim obdarzył ją w tym miejscu Daniel...

Piętnaście minut później była na miejscu. Rozejrzała się po schludnym otoczeniu - ten park w niczym nie przypominał tego, w którym niegdyś spędziła noc. Tutaj było tak czysto i przyjemnie. Ale nie było cicho.

Za ławką, na której siedziała Medison, posadzony był żywopłot, oddzielający ją od ławki z drugiej strony.

Był gęsty i wysoki, nie widać było zza niego nawet stojącej osoby. Ale po drugiej jego stronie ktoś był.

Do Medison docierały mruknięcia, zniekształcone jednak przez wiatr i zbyt odległe, aby mogła rozróżnić słowa i zidentyfikować głos. Wstała. Jakaś część jej świadomości mówiła: „Usiądź! Siedź cicho. A najlepiej wróć do domu”.

Druga kusiała: „Zobacz, kto to jest!” A trzecia szeptała: „Ja się tam nie wtrącam...”

Medison podeszła do żywopłotu. Na ławce nikt nie siedział - musieli stać jakiś metr od niej. Przeszła tam na palcach, pewna, że nikt jej nie widzi, i niczym szpieg zaczęła podsłuchiwać.

- ...A więc... - mówił męski głos.

- ...Dzisiaj. Charles zgodził się przyjąć na siebie winę, Janson da mu wyrok w zawieszeniu za nieumyślne spowodowanie śmierci. Z Medison nie będzie problemu. Albo się nam podda - albo nie. To od niej zależy, czy wybierze drogę ku światłu, czy nie - Michael zaśmiał się.

- Więc mówisz... Dzisiaj?

- Dzisiaj. Jesteście gotowi? Daniel o dziesiątej wyjeżdża do pracy...

- Już jesteśmy gotowi. Nasze słynne srebrne auto czeka - mężczyzna z niskim głosem zaśmiał się ochryłym głosem.

Medison miała nogi jak z waty.

A jednak. Nie myliła się. Za tym wszystkim stał Michael.

Oddany przyjaciel, a w rzeczywistości najgorszy wróg Daniela.

To koniec. Sielanka jeszcze się nie zaczęła, a już dobiegła końca. Medison musiała coś zrobić. Zanim dobrze się zastanowiła, co, mężczyźni wznowili rozmowę.

- Na pewno nie chcesz kobiety? Zamierzasz ją zabić?

- Uwierz mi, nie będę żałował. Medison może jest ładna, ma swoje zalety, ale to, skąd pochodzi, ma większe znaczenie.

Jeśli okaże się lojalna, może zostanie wdową i ponownie wyjdzie za mąż... Ale wszystko zależy od niej. Najpierw Daniel. On jest teraz najważniejszy. Zrób to szybko i sprawnie. Tak aby wyglądało, jak trzeba.

Medison trzęsącymi się rękoma trzymała gałęzie żywopłotu. Daniel. Jej Daniel miał zginąć. A zaraz po nim ona, chyba że wybrałaby Michaela.

Razem z rękami Medison trzęsły się także gałęzie żywopłotu. Dziwne, że jeszcze tego nie zauważyli.

- Jeden dzień i firma będzie moja - wyszeptał z obłędem w głosie Michael.

Tego było za wiele. Niedoczekanie! Ten psychopata nie miał prawa...

Nie odpowiadając w pełni za swoje czyny, nie panując na sobą, rzuciła się do biegu. Chciała tylko dorwać Daniela, potrząsnąć nim, powiedzieć, co usłyszała, i wyjechać, uciec gdzieś daleko, gdzie nikt by ich nie znalazł, gdzie żaden psychopata, taki jak Michael, nie groziłby im...

Nie przewidziała jednak, że usłyszą ją i zauważą. W butach na wysokim obcasie nie miała szans. Już po kilku krokach żywopłot skończył się. Usłyszała krzyk: - To ona! Co robimy?

Odwróciła się w ich stronę.

Michael patrzył się na nią z szeroko otwartymi oczami i szybko mówił coś do telefonu komórkowego. Nikt jej nie gonił. A przecież z łatwością mogli ją złapać!

Biegła szybciej niż kiedykolwiek przedtem, wybiegła z parku i zatrzymała się na przejściu dla pieszych. Nie mogła teraz zginąć pod kołami samochodu, najpierw musiała powiedzieć Danielowi, ochronić go! Nie mógł podzielić losu rodziców, Medison nie pozwoli na to.

Nikt nie jechał ulicą, była pusta, tylko na chodnikach stały zaparkowane samochody. Wśród nich jeden, połyskujący srebrem...

Nie mogła się zastanawiać, jakiej marki jest ten samochód.

Wbiegła na pasy. A potem wszystko potoczyło się szybko, zbyt szybko.

Głośny warkot silnika, pisk opon, gdy samochód nabrał rozpędu, błysk srebrnego światła, okropny ból w dole pleców, w głowie, w całym ciele.

Ciemność.

Umarła. I zostawiła Daniela na pastwę losu.

Rozdział XVIII

Ostatni dźwięk będzie moim wyrokiem Ból. Znowu ból. I przebłysk świadomości. Ciemność.

Nicość i ukojenie bólu. Znowu świadomość i ból.

Szepty. I zamazane kształty. Zdenerwowanie. I znowu ból.

Dlaczego świadomości zawsze musi towarzyszyć ból?

Ponownie zapadła ciemność. I znowu nic. Tak spokojnie i cicho... Nie chciała wynurzyć się na powierzchnię ciemności.

Tam za bardzo bolało. Ale tam były te szepty, te zamazane kształty. Była ich zbyt ciekawa.

Otworzyła oczy. Miała takie ciężkie powieki. Czowała, że ktoś ją na czymś wiezie. Tak, na czymś miękkim. Słyszała głośne rozmowy, z każdą chwilą coraz wyraźniej do niej docierały. Widziała nad sobą światło, czasami przysłaniane przez jasną plamę.

W końcu w tej jasnej plamie mogła rozróżnić dwa czarne punkty. Jakiś czerwony łuk, który otwierał się i zamykał. Była też granica pomiędzy czymś białym i owalnym a jasnożółtym i bezkształtnym.

Głosy były coraz wyraźniejsze. Mogła rozróżnić słowa, ale były one przytłumione. I ten ból nie pozwalał jej skoncentrować się...

- Odzyskuje przytomność - powiedział ktoś znad jej głowy. Jakiś nieznamy głos.

A potem ktoś, kto chyba wcześniej szeptał jej imię („Medison”, tak, tak chyba się nazywała), zapytał: - Medison, słyszysz mnie? Odpowiedz, jeśli możesz!

Medison...

- Proszę jej nie niepokoić - zbeształ go ktoś.

- Zamknij się! - krzyknął pochylający się nad nią kształt.

A potem jego rysy wyostrzyły się i zobaczyła go - to był

Daniel. Tak, to z pewnością on. Jego kontury lekko się rozmywały, ale wszędzie poznałaby tę twarz. A potem poczuła, jak jej oczy się zamykają...

I znowu wszystko ucichło.

Nie było bólu, ale nie było też Daniela. A bez niego świat nie był nic wart. „A co mi tam ból” - pomyślała Medison. I chciała otworzyć oczy.

Jak wiele siły ją to kosztowało! Powieki były niczym z ołowiu, ale w końcu udało się. Gwar powrócił.

- Medison, nie zamykaj oczu! - głos Daniela powrócił, było w nim słyszeć błagalną nutę.

Chciała go posłuchać, ale jej powieki same się zamykały.

Poczuła na twarzy jego drżącą dłoń. A potem uświadomiła sobie, że ma na twarzy jakąś ciepłą, kleistą

substancję. Krew?

Ale dlaczego... Ach tak, coś się stało. Michael rozmawiający przez komórkę, srebrny samochód, srebrne światło...

- Zostań tutaj! Medison, zostań ze mną!

Ale przecież ona nigdzie nie uciekała, nawet gdyby chciała, nie mogła. Ból był wszechogarniający.

Ostatkiem sił rozwarła oczy na całą szerokość. Ale musiała strasznie wyglądać, pewnie już nie będzie mu się podobać. Jednak powiedział, że ją kocha. A kocha się nie za urodę, lecz za serce.

- Medison, widzisz mnie? Odpowiedz! - krzyczał Daniel.

A potem odpłynęły z niej wszystkie siły. Nie mogła zamknąć oczu. Ale powieki tak ciężko opadały.

- Medison, nie zamykaj oczu, Medison! Nie zamykaj oczu. Nie zamykaj...

Głos słabł, ciemność narastała.

- Medison...

I Daniel zniknął.

- Stan jest stabilny.

- To niedobrze...

Pierwsze, co wniknęło do jej świadomości, to że Daniel by tak nie powiedział. Potem zrozumiała, że odzyskała świadomość. Następnie - że ból zniknął.

Czuła się całkiem nieźle. Chciała otworzyć usta, ale nie mogła. Spróbowała drugi raz - otworzyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Tym razem spróbowała otworzyć oczy - udało się za pierwszym razem. I wtedy zobaczyła go.

Ubrany w brązową skórzaną kurtkę i ciemne dżinsy. Jego widok sprawił, że przerażona Medison natychmiast odzyskała głos.

- Daniel! Daniel! Gdzie jesteś?!

- Cichutko - szepnął Michael.

- Gdzie jest Daniel?! - krzyknęła Medison. - Zostaw mnie, zboczeńcu! Kurde...

- No, no, no - zacmokał Michael. - Medison, naucz się odzywać, jak na damę przystało...

- Nie jestem damą!

- Wiem - uśmiechnął się Michael. - Ale jesteś ładniutka.

Medison próbowała wstać, ale nie mogła. Co prawda nic ją już nie bolało, ale była podłączona do aparatury szpitalnej jakimiś kablami, w jej ręce miała powbijane igły...

- Jak myślisz, Medison, skąd wiem? - droczył się z nią Michael. Dlaczego lekarz, który stał niedaleko, tylko się uśmiechał?!

- Nie wiem! - jęknęła Medison. - Przyrowadź tutaj Daniela.

Jeden z monitorów zaczął pikać w szaleńczym rytmie jej serca.

- A więc muszę powiedzieć Danielowi, że ma naprawdę bardzo usłużną sprzątaczkę. Ta gruba, chyba Olivia, prawda?

Chyba nie pokochała cię od pierwszego wejrzenia... No cóż, w każdym razie mnie polubiła, a że co nieco wiedziała... Nawet nie wiesz, jak przydatne były jej informacje...

- Olivia...

Tak, mogła się tego spodziewać. Ta Olivia, tak oddana Danielowi, tak nienawidząca Medison, zabijała ją samym spojrzeniem... A teraz naprawdę ją zabiła.

Tak, to się zaraz stanie.

- Tak, Olivia! Jestem z ciebie dumny. Pomimo nieszczęśliwego wypadku pamiętasz tyle rzeczy...

- To nie był nieszczęśliwy wypadek i dobrze o tym wiesz - wycedziła Medison.

- Tak - potwierdził Michael - ty to wiesz, ja to wiem, wie to jeszcze parę wtajemniczonych osób... Do

Rebeki nawet nie zagadałem - widziałem, jak cię lubi, była jak matka. Cóż, sama nie miała dzieci, żadnej rodziny, więc nikt nie poniósł straty, gdy umarła...

- To ty!

W Medison wszystko już wrzało. Nie mogła nawet wycisnąć z siebie paru łez na wspomnienie Rebeki. Była po prostu tak wściekła na Michaela, że zabiłaby go własnymi rękoma.

- Uwierz, to był tylko zbieg okoliczności. Kiedy podsłuchiwałaś mnie i pana Starka... Musieliśmy podjąć decyzję. Ale nasi ludzie nie znaleźli w twoim pokoju ciebie, tylko sprzątającą Rebeke. Gdybyś to słyszała, nagrali mi to jako dowód... „Ona nic nie wie, ona nic nie wie!” - Michael zachichotał. - Może wtedy jeszcze tego nie wiedziałaś, ale ona - owszem. To było tylko kolejne morderstwo - zagadka.

A więc Rebeka wiedziała... I oddała za Medison życie.

- A teraz, Medison, powiem ci coś, co cię może uraduje - szepnął Michael, gładząc ją ręką po policzku. Odwróciła głowę ze wstrętem. - Nie zabiję cię, chociaż wiem, po której jesteś stronie. Co najwyżej - przywołał gestem doktora - zbliżę cię do śmierci.

- Wsadzą cię do więzienia - powiedziała Medison. -

Spędzisz tam resztę życia. Gdzie doktor Hogans?

- Nie jesteś w szpitalu, w którym pracuje doktor Hogans, Medison - wyjaśnił Michael. - Jesteś w moim szpitalu. A raczej w szpitalu mojego kuzyna - zaśmiał się, wskazując na doktora.

A więc oni byli spokrewnieni... Przecież byli tacy podobni: te same spojrzenia, te same rysy twarzy, kolor włosów, uśmiech.

Więc Michael to ktoś w rodzaju Hektora Tersea - nie był zarządcą szpitala, ale najwidoczniej miał tutaj „znajomych”. I nic dziwnego - skoro jego kuzyn kierował szpitalem.

- Daniel ufał mi na tyle, że od razu przewieźliśmy cię do tego szpitala. A teraz przepraszam cię na chwilę - odsunął się od niej i podszedł do kuzyna. - Masz to, o co cię prosiłem?

- Tak, ale uprzedzam, że pierwszy raz to zastosujemy.

Powinno działać tyle, ile trzeba, ale...

- Mniejsza o to. Zaaplikujmy jej to.

- Co chcecie mi zrobić?! Co to jest?! - krzyczała Medison.

W oczach stanęły jej łzy.

Doktor podszedł do niej ze strzykawką w ręce. Był w niej jakiś przezroczyisty zielonkawy płyn.

- Twój stan jest stabilny, co nie bardzo nam odpowiada - wyjaśnił Michael. - A że polubiłem cię, nie umrzesz, tylko przybliżę cię do śmierci. Za resztę sama odpowiesz. To - wskazał na strzykawkę z płynem - jest środek, który na tyle spowolni twoje procesy życiowe, że będą ledwo wyczuwalne.

Tak więc kilka dni będziesz pogrążona w głębokim śnie, a na wierzchu będziesz przypominać trupa. Twoje serce zwolni na tyle, że nie będzie można go wyczuć - nie żeby ktoś się fatygował, ale jednak...

A więc tak to sobie zaplanował... Pogrąży się w głębokim śnie na kilka dni, a Daniel będzie myślał, że umarła. Ale gdzie się obudzi? Po co ma przypominać trupa?

Odpowiedź spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Miała się obudzić już pod ziemią. W trumnie.

Mimo kabli zaczęła rzucać się na łóżku. Ktoś złapał ją za nadgarstki i przytrzymał, jednak Medison nadał walczyła.

- Psychopata! Sadysta! Co ci to da?!

- Satisfakcję - odrzekł Michael. Doktor już zbliżał się do niej.

- Psychopata! Jesteś nienormalny! Daniel! DANIEL! - krzyczała. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu i popłynęły po policzkach.

A potem poczuła, jak coś zimnego przebija jej skórę na szyi. W żyłach zaczął krążyć lodowaty płyn. Stopniowo traciła siły. Przestała się rzucać.

- A więc do zobaczenia na pogrzebie, Medison - powiedział Michael. - Teraz pójdę powiadomić Daniela o tej wielkiej stracie. Kto jak kto, ale mąż powinien wiedzieć. I nie martw się - myślę, że będzie

chciał zobaczyć twoje... ciało.

Wyszedł razem z doktorem. A Medison poczuła straszne zmęczenie, zaczęły jej drętwieć kończyny. Nie wiedziała, gdzie jest jej głowa, a gdzie ręce, nie mogła zlokalizować powiek, które właśnie się zamknęły, ani ust, aby je otworzyć.

A potem po raz kolejny zapadła ciemność, za którą nic się nie kryło.

Jakieś śpiewy... Szepty i łkania... Było tak zimno i

duszno... To nie był szpital. W szpitalu było ciepło. I nie było duszno. A tutaj...

A potem dotarły do niej słowa - gdzieś z góry: - Módlmy się za duszę, aby Pan obdarzył ją łaską zbawienia. Módlmy się za duszę, aby Pan obdarzył ją łaską zbawienia...

Zmarła. Albo raczej - zamarła. Te słowa, te szmery, te łkania, szlochy, ta odurzająca woń kwiatów... To był sen. A raczej koszmar najgorszy z możliwych.

Obudziła się. W trumnie,

A więc jednak... Preparat, który kuzyn Michaela wstrzyknął jej wtedy w szyję, nie zadziałał, tak jak powinien.

Nie obudziła się pod ziemią. Zbudziła się przed czasem.

Prototyp - nigdy wcześniej niewykorzystany. Niepewny.

Czyżby to była jej szansa?

Daniel gdzieś tam był - może trzymał rękę na trumnie, a obok niego stała Madeleine z Christopherem, Salomea z Edwardem, Michael. Tak, ten psychol na pewno tam był. I udawał żałobę, wierne oddanie.

Ciekawe, jak oni wszyscy znieśli tę wiadomość. Fałszywą wiadomość. Że ona - Medison - nie żyje. Co zrobiła Madeleine, która chciała, aby Medison była matką chrzestną jej córeczki? A co czuł Daniel - Daniel, którego dopiero teraz odzyskała, zdobyła?

Medison była jak róża - spalona róża. Jej kobieca, delikatna natura była jak ów kwiat. Spalona róża, niszczone przez silniejszy od siebie ogień - mężczyzn. Spalona róża, wyniszczona, naznaczona bliznami - ale była różą. Różą, która miała kolce. I zamierzała walczyć.

Wystarczyło zacząć krzyczeć i rzucać się w trumnie.

Ale z przerażeniem stwierdziła, że nie może. Bo...

Była sparaliżowana!

A więc środek, który spowolnił jej procesy życiowe, częściowo spełnił swoją funkcję. Nie mogła ruszyć ręką, nie była w stanie krzyknąć. Mogła tylko oddychać.

Wiedziała, że niedługo skończy się jej powietrze. Starła się jakoś zapanować nad oddechem, ale nie miała żadnej władzy na płucami. Unosiły się już w normalnym tempie, oddychała jak zdrowy człowiek.

Ale nagle wpadła w panikę. Jej oddech przyspieszył. Serce również. Dlaczego nikt tego nie słyszy? Przecież bije tak głośno, obija się o żebra, zaraz wyskoczy!

Marnowała niezbędny do życia tlen. Musiała żyć! Dla Daniela, dla niego, aby móc powiedzieć mu wszystko o Michaelu...

A potem rozległy się tony jakiejś pogrzebowej muzyki.

Nie знаła słów tej pieśni. Co za ironia - pierwszy pogrzeb w jej życiu - jej pogrzeb. Pogrzeb, na którym była w pełni świadoma.

Trumna podniosła się.

Zaraz to się stanie. Zakopią ją kilka metrów pod ziemią, a ona będzie się dusić. Jak długo to będzie trwać? Jak długo będzie konać samotnie w ciszy? Być może będzie mogła krzyczeć, wzywać pomoc, ale czy ktoś ją usłyszy?

Starła się otworzyć usta, próbowała z całych sił, aż na jej czoło wystąpiły kropelki potu. Nie było sensu oszczędzać na niezbędnym, życiodajnym tlenie, musiała zrobić wszystko, aby się ratować.

W końcu odłożono gdzieś trumnę, bo kołysanie ustało. A potem coś ruszyło. Wolno. Musiał to być jakiś

powóz, na którym była położona trumna.

To niemożliwe. To nie dzieje się naprawdę.

Medison słyszała kroki ludzi, którzy szli za powozem. Za trumną. Za nią. Nie, nie mogą jej tak zostawić, muszą ją usłyszeć. Choćby ten szybki oddech albo głośne bicie serca.

Moje serce bije! Usłyszcie to! Banda głuchych pacanów!

Ja żyję!

Ale nikt nie zareagował na jej błagalne myśli.

- Danielu - usłyszała lekko zachrypnięty kobiecy głos.

Madeleine. Szła zaraz za trumną. - Danielu, nie martw się. To nic nie da. Jej już nie ma. Musisz się pozbierać. Ona nie chciałaby widzieć cię w takim stanie.

A potem usłyszała szlochanie. Madeleine płakała. Przez Michaela.

„Musisz się pozbierać”. Tak mówiła do Daniela. Ten natomiast załamał się.

Jak nigdy zapragnęła go przytulić. Wyszeptała przez twarz zalaną łzami: „Już dobrze. Już wszystko dobrze”. Chciała go pocieszyć, tak jak on wspierał ją, gdy umarła Rebeka.

Medison nienawidziła siebie za swoją słabość. Za to, że nie miała dość siły, aby zacząć się wydzierać na całe gardło, aby dać znać, że żyje.

Nie wierzyła, że to się tak skończyło. W tak potworny sposób. Nie myślała, że ich wielka miłosna historia będzie trwać przez wieki. Liczyła na lata, choćby kilka marnych miesięcy - aby mogła się nacieszyć ukochanym. A minął zaledwie jeden dzień.

Dzień, w którym wszystko się zmieniło.

Powóz stanął.

Medison nadal leżała z zamkniętymi oczami, spod których wypływały żywe łzy. Może Daniel będzie kazał po raz ostatni otworzyć trumnę, by spojrzeć na jej twarz, na której będą błyszczały łzy. Może zaniepokojony zacznie przysłuchiwać się jej bijącemu sercu...

Gdyby tylko wiedział, że żyje, nie chciałby oddać jej Matce Ziemi.

Trumna ponownie się zakołysała. Podniesiono ją.

Jeszcze tylko kilka sekund dzieliło ją od ostatecznego rozstania z Danielem. Miała ich oddzielić ziemia, ziemia, która pochłonie wszystko.

Medison przypomniała sobie dzień wesela. Rozmowę z Michaeliem.

Niektóre miejsca są przeznaczone dla ludzi na wysokiej pozycji, inne dla tych na niższej. Każdy może wzbąć się w górę, ale równie dobrze - wziął kieliszek od przechodzącego barmana - można spaść w otchłań - upuścić kieliszek na podłogę. Zbił się, a czerwony, przypominający krew płyn rozlał się po podłodze - i już nie wstać.

Ziemia nie jest wybredna. Przyjmie wszystko. Zarówno złoty puchar, jak i brudnego śmiecia. Nie mam nic przeciw tobie - taka śliczna, inteligentna osoba.

Tak, ziemia z pewnością nie była wybredna.

Nie mogła uwierzyć, że Michael stoi sobie przy Danielu jak gdyby nigdy nic, wiedząc, że w trumnie leży żywa osoba, która za chwilę zostanie zakopana kilka metrów pod ziemią.

Żywy człowiek - z krwi i kości.

Medison płaciła za swój wybór - wybrała srebro zamiast złota.

Trumna znowu się podniosła. Medison usłyszała słowa kapłana:

- Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz - mówił grobowym tonem.

Rzucił na trumnę garść piachu.

A potem zaczęło się.

Trumna zaczęła zjeżdżać w dół. Opuszczano ją na metalowych łańcuchach, słyszała ich brzęczenie. Dół był głęboki - Medison wydawało się, że nie ma końca.

I nagle wpadła w prawdziwą histerię. Z całych sił zaczęła otwierać usta. Nie udawało jej się, ale nie

mogła się poddać.

Walczyła o siebie, o swoje życie. Chciała zacząć rzucać się w trumnie, ale nie była w stanie tego zrobić. Jej serce wystukiwało nierówny rytm, słyszała tylko wyraziste szlochanie Madeleine.

Nadal nie udało jej się otworzyć ust. Ale otworzyła oczy.

Leżała w ciemnej trumnie, ręce miała złożone na brzuchu jak prawdziwy trup, była blada - jednak nie dość, aby uznać, że nie żyje. Czuła pod głową małą poduszeczkę. Nagle zastanowiła się, ile dni leżała w kostnicy pomiędzy pozbawionymi życia ciałami... Ciarki przeszły jej po plecach.

Nie. To nie mogło się tak skończyć.

Jej życie nie miało mieć szczęśliwego zakończenia.

Zacząła rozpamiętywać wszystkie chwile, które w tym momencie bardzo wiele znaczyły, a które wydawały się wydarzyć w innym życiu. Odległym od niej o miliony, miliardy lat. Czy to się w ogóle wydarzyło?

Wesele. Jej „tak”, które wtedy uważała za obelgę i kłamstwo przed Bogiem, dzisiaj nabrało sensu. Ich ślub miał znaczenie. Chwila, w której myślała, że ją pocałuje. I ta, w której naprawdę się to wydarzyło: ciemny salon, oni otoczeni dymem z kadzideł, cień, miejsce, gdzie nie dosięgał blask ognia z kominka, on tak blisko niej. Ten pocałunek, którego nie mogła zapomnieć, ta chwila była tak realistyczna, jakby właśnie trwała. Ten moment, kiedy wyznał jej, że ją kocha.

Rozmowa z Madeleine - tą Madeleine, która teraz płakała na górze. Usta Daniela na jej szyi, to, jak ją wtedy rozpraszał...

W końcu trumna obijała się o twardą ziemię. Łańcuchy zostały wciągnięte.

To koniec.

Jej próby otwarcia ust spełzły na niczym. Nie pomagała histeria ani to, jak bardzo tego chciała. Była sparaliżowana.

Ostatnie, co usłyszała, to dźwięk łopaty, którą ktoś uniósł, a potem nabieranie piasku.

Pierwsze okrucy ziemi odbiły się od trumny, wydając na nią wyrok.

A ona otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

Paraliż ustał, zaczęła uderzać rękami o wieko trumny i wydzierać się na całe gardło. Ledwo słyszała popłoch na górze, krzyki, odwalanie łopat.

- Wciągnąć ją na górę! - wrzasnął Daniel.

Łańcuchy ponownie zahaczyły o trumnę. Uniosła się w górę.

Skończyło się, ale Medison nie mogła przestać krzyczeć.

Jej głos odbijał się echem od ścian trumny, raniąc jej uszy. A potem trumna znowu przestała się kołysać, postawiono ją na ziemi i otwarto wieko.

Zimno chłodnego kwietniowego dnia zaczęło ją zewsząd atakować. Nie była w stanie otworzyć oczu, mogła jedynie wyczuć na twarzy zimne krople deszczu. Ktoś wyjął ją z trumny i trzymał na rękach, a ona zaczęła łkać. Teraz to, że jest na cmentarzu, nie miało znaczenia, bo była przy nim - chociaż nie otworzyła oczu wiedziała, że to on, czuła to.

Kilka osób krzyknęło, ktoś niedaleko niej westchnął i zemdlał, było słychać kroki szybko oddalającego się mężczyzny.

- Ona żyje! - słyszała szepty.

- Medison - usłyszała cichy, słaby głos Daniela. Przytuliła się do niego mocniej.

- Kocham cię - wyszeptala.

Postanowiła zamknąć oczy i pójść w ślady osoby stojącej (teraz leżącej) niedaleko niej - zemdlała.

Wszystko wróciło do normy. Dla niektórych. Medison

trafiła do szpitala doktora Hogansa, a gdy znowu się obudziła, opowiedziała o wszystkim Danielowi.

- Wiem o tym - a widząc zdziwienie wymalowane na jej twarzy, dodał: - Twój... pogrzeb to była

przysłowiowa kropla, która przepełniła czarę goryczy. Gdy w gazetach rozeszły się plotki, że o mało nie pochowaliśmy żywej osoby, policja z sąsiedniego miasteczka, bardzo interesująca się tą sprawą, postanowiła sprawdzić szpital, w którym pracował kuzyn Michaela. Nie będę ci mówił, co oni tam robili, bo nie ma blisko toalety, a uwierz mi, zwróciłabyś dzisiejszy obiad równie szybko, jak go zjadłaś. W każdym razie Michaelowi, jego kuzynowi, Jansonowi Robertsonowi i Hektorowi Terse'owi postawiono tyle zarzutów, że najwyraźniej odsiedzą dożywocie. I dobrze tak temu... - Daniel zaklął szpetnie.

Medison nie zwróciła na to uwagi. - Więc... uwierzyłeś mi?

Daniel spojrzął na Medison. Schował twarz w dłoniach.

- Byłem głupcem. Bardziej ufałem jemu niż tobie.

- Nie mam ci tego za złe. Michael miał w sobie coś takiego...

- Ale to mnie nie usprawiedliwia! - krzyknął. - Nie rozumiesz? Odesłałem cię do szpitala, którego personelu w ogóle nie znałem, zamiast oddać cię w ręce dobrze znanego mi doktora Hogansa. Przytaknąłem, gdy zaproponował, aby zamknąć trumnę, chociaż wcale nie chciałem tego robić.

- To normalne - powiedziała Medison. - Słyszałam, co mówiła Madeleine... Wtedy...

- Co to było? - zapytał Daniel - Co on ci podał? Policja bada tę sprawę, szuka dowodów...

- Jakiś środek... Prototyp... Wstrzyknął mi go, gdy się obudziłam. Środek na tyle spowalniał procesy życiowe, żeby można było stwierdzić zgon. No, wiesz, ledwie wyczuwalne tętno, bladość... Dokończę kiedy indziej - zaproponowała Medison, widząc, jak Daniel blednie.

Daniel zamknął oczy, wziął głęboki oddech i zacisnął dłonie na poręczy szpitalnego łóżka.

- Już dobrze. Mów. Muszę wiedzieć.

- No i... miałam obudzić się dopiero potem... Pod ziemią -

Medison nie chciała być nadopiekuńcza. Wiedziała, że Daniel zniósł w swoim życiu dużo i że z pewnością go to zahartowało. - Ale nie zadziało, tak jak powinno...

Obudziłam się dokładnie w momencie, gdy ksiądz mówił: „Módlmy się za jej duszę, aby Pan obdarzył ją łaską zbawienia” - Medison zaśmiała się, aby podkreślić, że w tej chwili trochę ją to bawi, ale Daniel nie zwrócił na to uwagi. -

No, ale byłam jak sparaliżowana. Nie mogłam nic zrobić, ani otworzyć oczu, ani ust, ani wydać z siebie dźwięku... I dopiero jak... zaczęli mnie zakopywać...

- ZABIJĘ CHAMA! - wrzasnął Daniel i zerwał się na nogi. Podbiegł do drzwi, z rozpędu zapomniał je otworzyć i rąbnął się w głowę.

Chwilę potem weszła pielęgniarka.

- Trzy dni i panią wypiszemy - uśmiechnęła się do Medison, a potem zwróciła do Daniela: - Jeszcze raz wyjdzie pan taki wściekły, a dostanie pan zakaz wstępu.

- Ja nie wyszedłem, ja chciałem wyjść - mruknął Daniel.

- Właśnie widzę - prychnęła pielęgniarka, wskazując na czerwony ślad na jego czole - a teraz proszę usiąść i dać spać pacjentce.

Wstrzyknęła jej jakiś środek - bezbarwny, ale Medison i tak się skrzywiła - i wyszła. Medison ogarnęła senność.

- Wiesz, co - szepnęła niewyraźnie.

- Słucham? - spytał Daniel.

- Musimy mieć synka, żeby ożenił się z córeczką Madeleine.

I zamknęła oczy, ignorując zdziwienie na jego twarzy.

Epilog

Mają się ku sobie

Upalny lipiec, ani kropli deszczu czy chmury na niebie.

Dwadzieścia siedem stopni w cieniu i ani chwili wytchnienia.

Medison spacerowała po ogrodzie. Spojrzała na dom -

Boże, jaki on był piękny! Wybudowany na łące niedaleko lasu. W powietrzu unosiła się woń kwiatów.

Nieopodal leniwie płynął strumień, a w nim czysta woda i nieporośnięte glonami kamienie. Idealne miejsce do kąpieli w tak gorące dni jak ten.

Sam dom był koloru zielonego, idealnie wtapiał się w otoczenie. Duży, ale przytulny.

Pamiętała tę kłótnię, a raczej wojnę, którą stoczyła z Danielem trzy lata temu, gdy budowali ten dom.

- Oświadczam ci, że nie zgadzam się na wybudowanie takiego salonu. Nie mogę tam wytrzymać - wysyczała Medison.

- A ja nie mogę wytrzymać bez tego salonu! - jęknął

Daniel.

- Twój problem - Medison miała go czasami po dziurki w nosie. - Nie zgodzę się na to, żebyś codziennie kopał w nim te okropne kadzidła.

- A ja się nie zgodzę, żebyś zasmrodziła ogród tym swoimi kwiatami.

W końcu wybudowali duży dom z salonem, w którym był kominek i półka na kadzidła, oraz ogrodem pełnym wonnych kwiatów.

Gdyby nie to, że oczekiwali goście, chyba zaraz wskoczyłaby do rzeki. Było niemiłosiernie gorąco.

Westchnęła i wróciła do ogrodu. Daniel siedział na jednym z krzeseł przy drewnianym stole z twarzą zwróconą ku słońcu. Niedaleko niego na trawie leżał biały pies.

- Od kiedy to polubiłeś wygrzewanie się na słońcu? - spytała Medison.

Daniel otworzył oczy. Spojrzał na Medison i uśmiechnął się.

- Ślicznie ci w tej sukience - powiedział, ignorując jej zaczepne pytanie.

Medison spojrzała na puste dziecięce krzeselko.

- Gdzie Alex? - spytała.

Daniel spojrzał najpierw na Medison, a potem na krzeselko. Potem znowu na Medison i znowu na krzeselko, a potem na klomb margaretek.

- Alex! Nie jedz kwiatów! - i pobiegł w stronę blondwłosego malucha.

Tymczasem ktoś zmierzał ku nim od bramy. Kobieta z długimi czarnymi włosami, o pięknej śniadej cerze i twarzy Kleopatry (jeszcze nie można było tego zobaczyć, ale Medison to wiedziała). Obok niej skakała mała dziewczynka - jakby jej miniaturowe lustrzane odbicie. Koło Madeleine szedł

Christopher.

Medison podbiegła ku nim, potykając się w połowie drogi (Chyba zgłupiałam! Na tym terenie nie nosi się szpilek!) i rzuciła się Madeleine na szyję.

- Kurczę, sto lat się nie widziałyśmy! - krzyknęła Madeleine.

- Szczerze mówiąc, mieszkasz w domku tuż obok naszego - sprostowała Medison.

- Niby tak - przyznała Madeleine. - Zaprosisz nas na lemoniadę albo coś w tym rodzaju? Konam z pragnienia.

- Tak, jasne. Wszystko jest już gotowe. Medison zawróciła... i znów się potknęła.

- Musicie zainwestować w płytki. Tak jak my - zachichotała Madeleine.

- A idź mi - warknęła Medison.

Cała czwórka podeszła do stołu, przy którym siedzieli Daniel i Alex. Chłopiec za pomocą ojca zeskoczył z krzesła na ziemię i podbiegł do małej Keiry.

Madeleine usiadła z Chrisem koło Daniela. Zaczęli o czymś gadać. Medison poszła do domu po lemoniadę. Jak tam pięknie pachniało - kwiatami, ciastem (kupionym - do gotowania Medison miała dwie

lewe ręce) i owocami...

Płynący nieopodal chłodny strumień wydawał takie urocze dźwięki!

W końcu wstawiła na tacę szklanki, ciasto, talerze i dzban z lemoniadą, po czym dołączyła do gości i Daniela.

- Ty piekłaś? - spytała Madeleine, wskazując na ciasto.

- No co ty! Jak ostatnio chciałam coś upiec, to potem musieliśmy wietrzyć cały dom, tak śmierdziało spalenizną...

Dałam sobie z tym spokój.

- Jesteś zbyt roztrzępana - westchnęła Madeleine.

- Tak? - zaśmiała się Medison. - A pamiętasz tę rozmowę telefoniczną? Bo chociaż minęły prawie trzy lata, ja nie mogę jej zapomnieć: „Medison! Medison! Nie uwierzysz! Super, prawda?!” - Medison naśladowała swoją przyjaciółkę.

- Taka moja natura - Madeleine wyszczerzyła w uśmiechu swoje śnieżnobiałe zęby. - A tak przy okazji, to nie mam zamiaru skazywać swojego synka na życie w samotności!

- O co ci znowu chodzi? - spytała Medison z rezerwą.

- Nie mówiłam ci? Jestem w ciąży! To synek! Medison westchnęła. Znowu to samo...

- A skąd wiesz, że to będzie synek? - tym razem odezwał się Daniel.

Madeleine zwróciła ku niemu swoją piękną twarz.

- Nie wiem, ale jak mogłoby być inaczej? Córeczkę już mam, prawda? Więc postanowiliśmy z Chrisem, że ty i Medison musicie mieć dziewczynkę, żeby nasz mały John nie był w przyszłości samotny. No bo spójrz tylko na Alexa i Keirę - mają się ku sobie.

Nie było po co tłumaczyć, że dzieci mają dopiero dwa lata. Madeleine już w pierwszym miesiącu ciąży wybrała suknię ślubną dla swojej córki.

- Widziałaś jak Alex na nią spojrzał? I jak Keira się zarumieniła?

Usłyszawszy to, Medison westchnęła, Chris ukrył twarz w dłoniach, a Daniel wybuchnął śmiechem.

- Tak, nie ma co, czysty Daniel - taki sam podrywacz - westchnęła Medison.

Daniel przestał się śmiać i spojrzał na Medison wilkiem.

- A jak tam twoja firma, Danielu? To dobrze, że nie musiałeś jej porzucać, jak się tutaj przeprowadziłeś - wtrącił szybko Christopher.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku - bąknął

Daniel, nadal niezbyt zadowolony z wypowiedzi Medison.

- W każdym razie to był super pomysł z tą przeprowadzką! To otoczenie jest... niesamowite! Takie... magiczne! - westchnęła Madeleine.

- Tak - przytaknęła Medison - wczoraj widziałam tu jedną małą wróżkę.

Tym razem wszyscy zaczęli się śmiać - nawet naburmuszony Daniel. Chyba przestał się obrażać, bo pochylił się nad Medison i pocałował ją w szyję - pewnie wiedział, jak ją to dezorientuje.

- Hej, nie przy dzieciach - skarciła go Medison.

- Raczej: „Hej, nie przy gościach!” - poprawiła ją Madeleine.

- W twoim przypadku to jedno i to samo - powiedziała Medison i mrugnęła do Chrisa. Madeleine naburmuszyła się.

Medison spojrzała na koniec ogrodu. Nowy dom nie przypominał tego, w którym mieszkali poprzednio - mrocznego i strasznego - ale na końcu ogrodu również znajdowały się groby. Tylko tym razem cztery Orchidea Broogins.

Armand Broogins.

Samuel Carpen.

I Rebeka Hudson.

Poprzedniego życia, smutnych chwil nie da się wymazać z pamięci. Wszystko zostaje, a pamięć to

jedyne, co może ożywić zmarłego. Spojrzała na Daniela - on również patrzył na groby swoich rodziców, ojca Medison i Rebeki. Bo to właśnie ona była dla Medison jak matka.

Przytulił ją, wiedząc, że właśnie tego teraz potrzebuje.

W sercu zawsze pozostają ślady. Żadna operacja ich nie usunie. Ale jest coś, co może złagodzić ból, zadziałać lepiej niż najskuteczniejsze lekarstwo.

To miłość.

Daniel jeszcze raz pocałował Medison, nie zważając na pojękiwania Madeleine, która głośno wyrażała swój protest.

Medison i Daniel otrzymali od losu kruchy prezent, który trzeba pielęgnować.

Otrzymali siebie.